

Ewa Białołęcka - Tkacz Iluzji

NOWA Fantastyka

NUMER 8 (143)

SIERPIEŃ 1994

CENA 20 000 ZŁ

HUGO
1992
NEBULA
1991

NOWA POWIEŚĆ
NANCY KRESS
HISZPAŃSCY
ZEBRACY

GALERIA • JOSH KIRBY • ŚWIAT DYSKU

The advertisement features two women. The woman in the background is framed by a film strip border and wears a red rose headpiece and red gloves. The woman in the foreground is smiling and holding a bouquet of white flowers. At the bottom, there are several boxes and rolls of Fujifilm film, including Super 8 and Fujicolor 35mm. The text 'FUJI MOŻE WSZYSTKO' is prominently displayed in the center.

FUJI
MOŻE WSZYSTKO

SPONSOR MISTRZOSTW ŚWIATA USA 1994
FUJIFILM

© FANTASTYKA & Zambini Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

WIELKI KONKURS NA GRAFIKĘ KOMPUTEROWĄ I PRZYJACIELE

DRUGA EDYCJA

Micrografx Designer

Plik Edycja Zmiany Wylwietlanie

ENTER
MAGAZYN KOMPUTEROWY

Praca
Janusza BOGUCKIEGO,
jednego z laureatów
poprzedniego konkursu

ESCULAP.TIF (RGB, 1:2)

Redakcje miesięczników NOWA FANTASTYKA i ENTER, Wydawnictwo PRÓSZYŃSKI i S-KA, Wydawnictwo LUPUS oraz najlepsze firmy komputerowe w Polsce organizują DRUGI KONKURS NA GRAFIKĘ KOMPUTEROWĄ. Tematyka prac dowolna. Jedyne ograniczenia wynikają z warunków technicznych druku. Nagrodzone i wyróżnione prace opublikujemy na łamach NOWEJ FANTASTYKI i ENTERA.

1. Prace powinny być zbiorami, które można naświetlić z rozdzielczością do 2540 dpi, w naświetlarce Linotronic 330.

2. Format prac: A4 – pionowe, A5 – poziome.

3. W zestawie powinny się znaleźć: plik demonstracyjny, wydruk z drukarki laserowej, na odwrocie którego należy podać typ komputera, nazwę programu, w którym praca została wykonana oraz GODŁO autora.

4. Prace opatrzone godłem oraz zaklejona kopertą z godłem na wierzchu, a nazwiskiem i adresem autora w środku należy nadsyłać pod adresem redakcji do dnia 1 GRUDNIA 1994 r.

Programy firmy MICROGRAFX: Designer 4,0a PL i Picture Publisher 4,0 oficjalnymi programami konkursu.

NOWA Fantastyka

NUMER 8 (143) SIERPIEŃ 1994

Opowiadania zagraniczne

Mike Resnick	3
Lato mego niezadowolenia	
Gábor Lövey	6
Sztuka poznania	

Galeria

Josh Kirby – Świat Dysku	17
--------------------------	----

Powieść

Nancy Kress	25
Hiszpańscy żebracy (1)	

Z polskiej fantastyki

Grzegorz Janusz	43
Miniatury literackie	
Marta Wieczorkowska	45
Wódz	
Ewa Białołęcka	46
Tkacz Iluzji	

Film i fantastyka

Bolesław Hołdys	57
Seks i erotyzm w filmie SF (2)	

Krytyka

Dominika Materska i Ewa Popiołek	65
Trzy gry Andrzeja Sapkowskiego	

Recenzje

Nauka i SF

Andrzej Marks	70
Niedosiężne gwiazdy (1)	

Felietony

Andrzej Sapkowski	74
Kocia magia	
Adam Hollanek	74
Czy starzy milczą?	
Lech Jęczynek	75
Świadomość określa byt	

Komiks

Piotr Kowalski	76
Macher	

Drodzy Czytelnicy!

W czerwcu było opowiadanie Francuza, w tym numerze dajemy bardzo dobrego Węgra, na jesień już teraz zapowiadamy ciekawą prozę i przejmujący szkic tłumaczone z rosyjskiego. Sami Państwo widzicie, że reagujemy na czytelnice pretensje i zamówienia.

Dlatego namawiam jeszcze raz. Zajrzyjcie do numeru lipcowego i spędźcie nieco czasu nad naszą ankietą. Z tym trochę jak z polityką: nie wypada narzekać na władzę, jeśli nie stanęło się do wyborów i nie dało poparcia swoim kandydatom. A przypominam, że nagrody dla uczestników sondażu są atrakcyjne.

W dziale polskim zwracam uwagę na znakomite babskie opowiadanie Ewy Białołęckiej. Mówię „babskie” w sensie krytyczno-literacko-psychologicznym, bez żadnych złych intencji. Bo wiem od kąd „Tkacz Iluzji” wpadł w moje ręce, sam zastanawiam się, ile byłoby w tym opowiadaniu skrzącego się wyborne go dowcipu, gdyby historię głuchego maga opowiedział Sapkowski? A ile trupów i aktów przemocy, gdyby temat dopadł Ziemiękiewicza? Ile zaś emocjonalnego szpanerstwa i przebojowości, gdyby pisał „Tkacz Iluzji” Przewodas?... I cieszę się, że wymyśliła rzecz ułaśnie Ewa i opowiedziała spokojnie, po babsku, a jednocześnie tak przejmująco, że ciarki chodzą po grzbiecie.

W dziale krytyki, po raz trzeci (po niżej podpisanym i w angielskim), dwie przedstawicielki młodej krytyki podejmują temat: Sapkowski jako twórca postmodernistyczny. Materska i Popiołek (znowu kobiety, a mówi się na mieście, że w „NF” siedzą zaciekle antyfeminiści) biorą się za rzecz metodycznie i kompetentnie. Toteż w tonie uzupełnienia raczej niż polemiki chciałbym zauważyć, że postmodernizm nie jest filozofią ani stylem, ale stanem ducha kultury. Otóż większość naszych emocjonalnych doświadczeń u schyłku XX wieku to doświadczenia lektur, filmów, spektakli, zdjęć, happeningów, prasowych i telewizyjnych reportaży, wielkich meczy, reprodukcji dzieł sztuki. Pisarz mógłby udawać, że tego wszystkiego nie było i pracować budować od zera (ale wtedy wygląda na naiwniaka), ale może też uczynić naszą kulturową pamięć przedmiotem szczególnej gry-zabawy, ciągu odwołań, zaprzeczeń, skojarzeń, cytatów i deformacji. Dlatego właśnie, czytając Sapkowskiego, jesteśmy zarazem na seansie u Disneya, gdzieś w świecie Tolkiena, w średniowieczu, u Sienkiewicza, na seminarium ekonomicznym, w krainie ponurych pogańskich obrzędów i... w politycznym kabarecie. To jest trans, zabawa, gra – na przemian podlegamy iluzji i oglądamy ręce iluzjonisty od kulis – ale nie musi to być gra nieznacząca. Często udaje się jednak przyporządkować opowieściom Sapkowskiego wyraźną ocenę moralną; stawka jest tu wysoka, gra serio („Mniejsze zło”, „Wiedźmin”, „Granica możliwości”, „Róża z Shaerrawedd”) – inna rzecz, że wybory moralne nie są u niego łatwe ani jednoznaczne. W życiu zresztą także. Oto specyfika postmodernizmu polskiego (i Sapkowskiego), który w przeciwieństwie do światowego szuka jednak autentyczności i ciągłości, nie likwiduje tragizmu, nie zaciera granic między kulturą masową i elitarną, wierzy w prawdę i sens.

Uważaj Sapek! Jeśli teraz zaprotestujesz, żeś światowicem i masz gdzieś etykę oraz tragizm – będę warczeć. Państwu zaś radzę, korzystajcie z wakacji, bo się kończą. I proszę pamiętać o sondażu.

Maciej Parowski

W następnym numerze:

Tolkien!

Szóstka!

Od dość dawna jestem Waszą czytelniczką. Piszę z podziękowaniem. Informacje i „nowinki” z „Fantastyki” bardzo przydały mi się na maturze pisemnej z polskiego. Pisałam na temat nawiązań do Mickiewiczowskiej tradycji w literaturze XIX i XX wieku. W swojej pracy umieściłam informację o „Historii przyszłości” Adama Mickiewicza, jak również wykorzystałam wywiad z Marią Janion, który ukazał się w „Nowej Fantastyce” (nr 1194). Wspominałam również ogólnie o SF i o światach alternatywnych. Dzięki tym zabiegom udało mi się dostać szóstkę! Polonistka przyznała, że wreszcie ktoś ją czymś zaskoczył. Jest ona (polonistka) spod znaku Bliźniąt, więc jest łasa na wszelkie nowinki. Ja też byłam zaskoczona (tą szóstką). Miło.

Joanna Roguska
Warszawa

Dawno, dawno temu...

To był genialny pomysł, aby w „Galerii” przedstawić okładki starych magazynów („NF” 4/94). Ta fantastyka sprzed lat, choć dziś wydaje się trochę naiwna, miała w sobie coś, czego brakuje dzisiejszym utworom. Dziś mimo porwijącej akcji, mimo wspaniałych, rozbudowanych wizji przyszłości – oryginalnych pomysłów jest niewiele, często jest to powielanie. Tymczasem w okresie niemowlectwa fantastyki temat był nowy, świeży, odkrywczy, pierwsze fantazje były jak objawienie.

Współczesne dokonania, przynajmniej te przedstawiane na Waszych łamach, niewiele uwagi zwracając na formę, nader często starają się przedstawić jakąś głębszą treść. Jest to pozytywne zjawisko, taka jest rola literatury, ale czasami żal tej starej fantastyki, której podstawowym celem było szokować i zadziwiać.

Paweł Kowalewski
Bogucin

Masłomęcz raz jeszcze

Dobrze, że temat Masłomęcza powrócił na łamy „Nowej Fantastyki” (nr 5/94). Nie stało się jednak dobrze, że dyskusja utknęła w nierozstrzygalnym punkcie: „Kto był pierwszy?” (...) Skąd przybyli Słowianie, gdzie żyli, dokąd sobie poszli – kim my właściwie jesteśmy? Każdy badacz ma inny pogląd (i broni go zaciekle). Wszystko dzieje się w myśl powiedzenia: gdzie jest dwu Polaków, tam są trzy poglądy.

Ale nie o tym chciałem tak naprawdę pisać. Od wielu już lat interesuję się białą bronią i historią wierzeń religijnych, od pierwszych kawałków zastrzonego metalu po szczytowe osiągnięcia w tej dziedzinie, to jest polskie szable husarskie i japońskie katany, od bóstw plemiennych, przez starożytność, po na przykład Białe Bractwo. Ważne miejsce zajmują tu Słowianie, a ich osiągnięcia są

naprawdę imponujące. Niestety, olbrzymia część tego dorobku uległa zaprzepaszczeniu, a to, co pozostało, często bywa przekłamywane. Dlatego szlag mnie trafia, gdy czytam „Mały słownik kultury dawnych Słowian” wznowiony po dwudziestu latach (teraz już 25), z którego wynika, że praktycznie to Ruś stworzyła kulturę słowiańską, Polaków jeszcze wtedy prawie nie było, a jeżeli inne ludy słowiańskie coś tam osiągnęły, to na pewno było to zapożyczenie. Jest tam postać Illi Muromca, a nie ma Liczrzępy ani co gorsza faceta o nazwisku jakby stworzonym dla fantasty – Walgerza Wdalego.

Janina Rosen-Przeworska wspomina o nim w kontekście Cuchulina w „Religiach Celtów”, nic więcej jednak o nim nie wiem, bo „Mitologia Słowian” Gieysztor milczy na jego temat, inne zresztą również – ktokolwiek coś wie, niech nie milczy, niech powie innym, niech niosą przesłanie.

I pierwotny tekst Lewandowskiego („NF” 1/94), i listy czytelników („NF” 5/94) to teksty na wysokim poziomie, muszę jednak wytknąć kilka błędów Tadeuszowi A. Olszańskiemu. Nieprawdą jest jakoby „ludy europejskie” nie znały pojęcia reinkarnacji. Należy wziąć „Mitologię Celtów” Gassowskiego, otworzyć na stronie 148 i już wiemy, że nie mieliśmy racji, no chyba że Gallów nie uznajemy za Europejczyków. A jeśli mężczyźni wychodzili jedynie w pole, to dlaczego nie odnajduje się ich grobów w proporcjach zbliżonych do kobiecych?

Bardzo chętnie nawiążę korespondencję z Jarkiem Tomaszewiczem i każdym innym zainteresowanym.

Maciej Czernik
ul. Wiejska 6 m. 24
33-100 Tarnów

Denuncjator zadenuncjowany

Protestuję przeciwko recenzjom takim jak „Świat bez magii” („NF” 5/94) niejakiego Denuncjatora. To tak jakbym recenzował kryminal i napisał, że mordercą jest ogrodnik. Po co mi czytać książkę, skoro Denuncjator streszcza wszystko w kilkunastu liniach tekstu? Po raz pierwszy zawiadłem się na dziale recenzji i mam nadzieję, że po raz ostatni. Sztuka recenzowania nie polega na streszczaniu, ale na ocenie książki i poleceniu jej lub odradzeniu.

Maksymilian Schreck
Ludwichowo

Piękno kobiecego ciała

Dawno, dawno temu napisałem do Was list („NF” 2/94). Ośmieliłem się wyrazić w nim zadowolenie z „Galerii” Jeffa Koonsa („NF” 11/93) i wątpliwości co do piękna kobiecego ciała odzianego w pancerz, ociekającego krwią i umięśnionego niczym goryl. W czerwcowym numerze „NF” zostałem okrutnie zbesztany przez panią Lucretię, która Koonsa

uznała za pornografię, mnie zaś za osobnika o wątpliwym guście. Czuje, że jestem coś winien p. Lucretii i innym nie-nawidzącym Koonsa czytelnikom „NF”.

W Stanach Zjednoczonych jednym z etapów kręcenia filmu jest dokładna analiza scenariusza. Czy aby nie razi on uczuć kobiet, Murzynów, weteranów wojennych, blondynów, Żydów, hydraulików, włoskich emigrantów i kogo tam jeszcze chcecie. Okazuje się, że w Polsce niedługo nie będzie można napisać listu do gazety nie nadeptując przy okazji komuś na odcisk.

Jeśli jesteś facetem, jeżeli podobają ci się kobiety delikatne i piękne to, na Boga, nie pisz o tym! Z listu p. Lucretii dowiedziałem się wreszcie, komu mogą się podobać kobietopodobne bestie obwieszane bronią białą – innym kobietom.

Przepraszam. Nie dość, że jesteśmy podli, że nie ustępujemy miejsca w autobusie, wracamy do domów pijani, gwałcimy i bijemy – to jeszcze zabrania my oglądać w „NF” obrazki przedstawiające samice-zabójców. Koonsa nie uważałem za dobrego artystę. Napisałem, że jest oryginalny, a jego prace to kicz niezakłamanym, z góry przygotowanymi jako tandeta. Dziwacznych konstrukcji Koonsa nie zobaczy się na ulicy, a umięśnione babska? Wystarczy włączyć „Eurosport” i popatrzeć na bułgarskie lekkoatletki.

Może zdziwi się pani Lucretia, ale również lubię Parkesa, a marsz „Nowej Fantastyki” na wojnę także uważałem za śmieszny. Rozumiem jednak, że jako wielbiciel kobiecego piękna i delikatności naraziłem się feministkom i wkrótce zginę roznieśiony na mieczach. Wolę na to nie czekać. Idę się powiesić.

ohydne indywiduum
samiec instrumentalista
Krzysztof Wszolek
Szczytno

PS. Ha! A więc takich zbrojeńców jak ja jest więcej! Ktoś przecież musiał uznać, że Royo nie namalował najlepszej okładki w roku 1993.

Spotkałem się na Waszych łamach z listami od czytelników, którzy okazywali swe oburzenie i niezadowolenie z powodu ukazywania przez Was na wpół nagich kobiet z mieczem w dłoni. Przeważnie dotyczyło to Luisa Royo. Chciałbym więc ująć się za panem Royo, choć z pewnością ktoś taki jak On, sam potrafi się wybronić.

Wielu osobom nie przypadają do gustu jego rysunki. Wielu dopatruje się tam tylko obnażonej kobiety. Prawda, wdzięki ciała tych kobiet są olśniewające, lecz według mnie przygasają w porównaniu z ich twarzami, mieczami, zwierzakami, tłem, czy też zaskakującą grą światła i cienia...

Bartek Nowak
Hel

Wydaje Prószyński i S-ka

Jacek Herman-Iżycki, Mieczysław Prószyński, Zbigniew Sykulski, Tadeusz Winkowski – spółka jawna. Adres: 02-569 Warszawa, ul. Różana 34. Tel. 45-12-56.

Łamanie: Piotr Dudek. Druk i oprawa: Zakłady Graficzne Sp. z o.o., 64-920 Piła, ul. Okrzei 5.

Nakład 100 000 egz.

INDEKS 358398

Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 Warszawa
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: tech., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., publicystyki).
Fax 25-20-89.

Redaguje „Fantastyka” sp. z o.o.: Andrzej Brzezicki (dział graficzny), Dorota Malinowska (dział zagraniczny), Marek Oramus (dział publicystyki), Teresa Pajdzińska (korekta), Maciej Parowski (dział literatury polskiej, redaktor naczelny), Hanna Sosinska-Balcer (dział techniczny), Krzysztof Szolginia (sekretarz redakcji).

Stali współpracownicy: Waldemar Czerniszewski, Adam Hollanek, Jacek Ingłot, Lech Jęczyński, Andrzej W. Kaczorowski, Sławomir Kędziński, Arkadiusz Nakoniecznik, a także Denuncjator, Inkwizytor, Karburator, Kunktor, Negocjator, Predator, Reanimator, Sekator, Wentylator i Wibrator.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

PL ISSN 0867-132X

© Copyright by „Fantastyka” sp. z o.o., Warszawa 1994

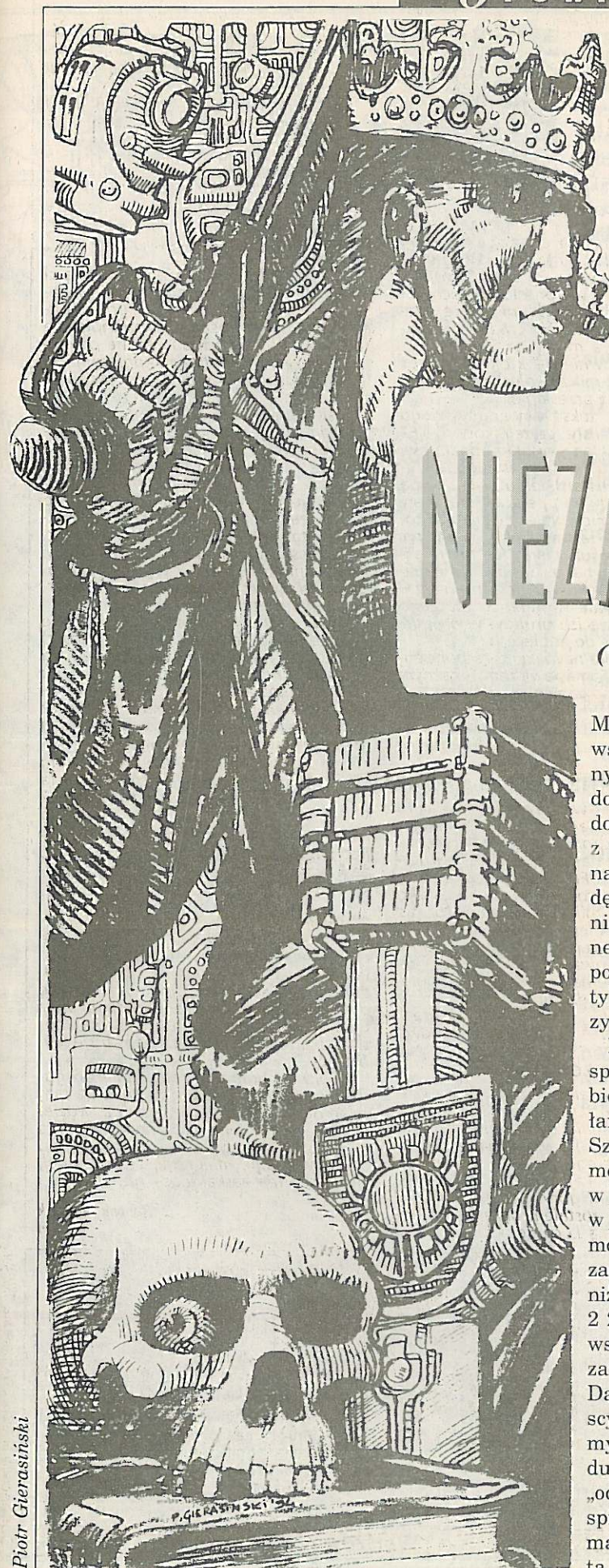
Mike Resnick

LATO MEGO
NIEZADOWOLENIA

(The Summer of My Discontent)

Mel zrobił „Hamleta”, film nie pada od razu, więc wszyscy jesteśmy pod presją, by wyjść z czymś podobnym i udowodnić, że też mamy klasę. Myron dzwoni do mnie i mówi, dziecinko, to coś dla ciebie, bierz się do roboty, a ja na to, Myron, co ja mam wspólnego z Szekspirem, ostatnio robiłem „Wyciruchy z Saturna”, a on, żebym do niego nie dzwonił, dopóki nie będę miał obsady, i żebym nie przekroczył piętnastu baniek, no, chyba że uda mi się zaangażować Stallone’a lub Schwarzeneggera, a on w tym czasie robi porządek z belgijskimi i czeskimi prawami, bo jakoś tylko w tych dwóch krajach „Wyciruchy” przyniosły zysk.

Dobra, rozumiem, że gdy ma się zamiar robić Szekspira, trzeba się brać za najlepszych, prawda? A więc biorę Arniego na przesłuchanie, a tymczasem wysłałam Gracie biegiem do biblioteki, niech zobaczy, czy Szekspir napisał jakieś sztuki, w których Conan mógłby wystąpić w przepasce na biodrach i może w hełmie z rogami, ponieważ te antyczności są bardzo w jego stylu, i gdy ona prowadzi poszukiwania, Damon, mój pedzio reżyser, robi próbę z Arniem, a kiedy kończą, zaczynam liczyć, dobra, jeśli damy mu 20 procent mniej niż szczytowa gaża, zrobimy na początek, powiedzmy 2 200 ujęć i jeśli wypuścimy kasę na wiosnę, kiedy wszystkie dzieciaki uczą się o Szekspirze, bo mają egzaminy, to może bilans nie będzie taki zły, a wtedy Damon się odzywa, wystarczająco głośno, żeby wszyscy słyszeli, Arnie, dziecinko, z tym akcentem możemy pracować, do szaleństwa podoba mi się jak skandujesz, ale naprawdę nie sędzę, żeby Makbet mówił „odwal się, ty dupku” i widzę po minie Arniego, że spieprzyliśmy robotę, pięć minut później już go nie ma, i podczas gdy ja staram się wydzwonić jego agenta, Gracie wraca z biblioteki i oświadcza, że w grę



Piotr Gierasiński

Oddano do składu 24 czerwca 1994 r.

wchodziłby „Trojlus i Kresyda”, którą to sztukę Szekspir musiał napisać, kiedy nikt nie patrzył.

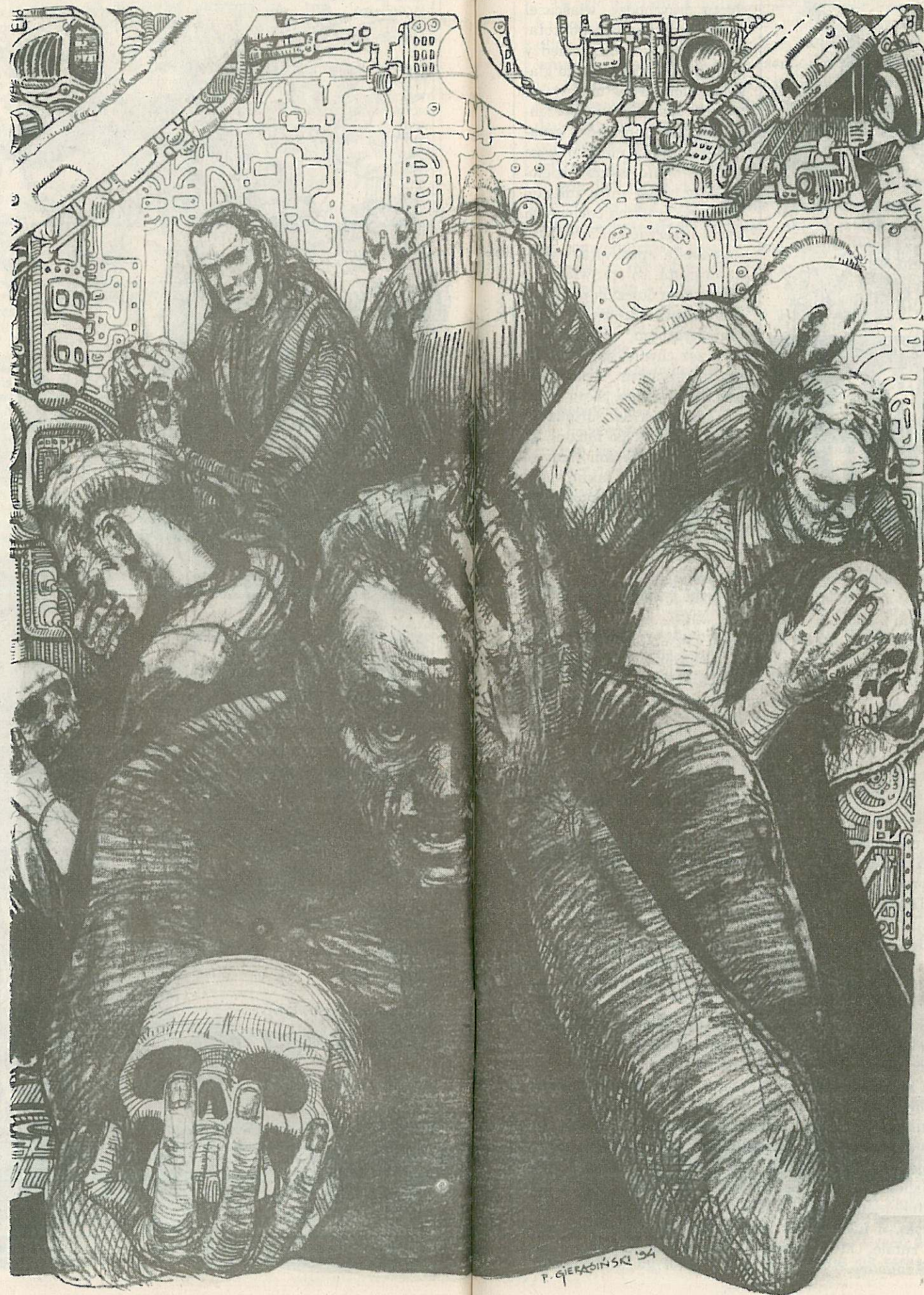
Agent Arniego nie odpowiada, lecz wtedy Sly oświadcza, że interesowałoby go zrobienie filmu z klasą, więc wywalam Damona, mojego pedzia reżysera, bo każdy wie, że Sly sam poprawia scenariusze i reżyseruje, i siadamy, żeby to omówić, a on zauważa egzemplarz „Trojłusa i Kresydy” leżący na moim biurku i pyta, czy może go pożyczyć do następnego dnia i czy będę się gniewał, jeśli zrobi kilka notatek na marginesie, więc mówię mu, Sly, słoneczko, rób, co chcesz, i tego wieczora dzwonię do Myrona, żeby mu powiedzieć, że straciliśmy Conana, ale najprawdopodobniej mamy Rocky’ego, na co Myron mówi, wspaniale, tylko nie pozwól mu powiedzieć „Yo” wcześniej niż w drugim akcie.

A więc cały zespół zbiera się rano na spotkanie ze Sly’em, a ten przychodzi i stwierdza, że najogólniej rzecz biorąc, scenariusz jest przyzwoity, nawet jeśli Szekspir zapomniał wpisać kąty ustawienia kamery, ale ma problemy z językiem, ponieważ ludzie w Brooklynie tak nie mówią, a ja na to, rzeczywiście, może i tak być, ale kręcimy w Grecji, a on, że nie, ponieważ to przerobił i Trojlus jest włoskim imigrantem, który zamiata salę gimnastyczną w południowym Brooklynie, więc ja mówię, dobra, jakoś sobie z tym poradzimy, na co on, że poprawił również zakończenie, bo skoro Rocky nie przegrał z Apollo Creodem ani z Wielkim Ruskie, nie ma zamiaru poddawać Trojłusa Achillesowi. Ktoś podpowiada, że Trojlus nie walczy z Achillesem, tylko Hektor, na co Sly krztusi się i oświadcza, dajecie mi poważny, graj albo płac, kontrakt na osiem baniek plus trzynaście procent od całości i mam nie walczyć?, co dla mnie nie jest całkiem bez sensu, bo ja z pewnością nie płacę mu za to, żeby grał, ale tego samego dnia odkrywa, że miejsce w Brooklynie, o którym myślał, zostało wyburzone pod nową knajpę, i nagle przestaje go interesować nasz film, za to zaczyna ganiać w poszukiwaniu ringów bokserskich do „Rocky IX”.

Dzwoni agent Cruise’a. Tom jest zajęty rozwijaniem swoich aktorskich umiejętności i tylko wtedy zgodzi się podpisać kontrakt z nami, jeżeli dostanie rolę Leara, więc myślę sobie, cholera, jeżeli to jedyna droga, żeby go dopaść, niech się rozwija – ale zaraz odkrywam, że Paramount też robi Leara z Pee Wee Hermanem, i już zaczęli główne zdjęcia, i będą w kinach dwa miesiące przed nami, więc musimy wyrzucić umowę do śmieci.

Sprawdzam, czy Eddie Murphy zagrałby Otella, ale mówi, że nie, skoro Orson Welles mógł grać Otella, nie widzi żadnego powodu, dla którego on nie może grać Shylocka, a poza tym jest już precedens, ponieważ Sammy Davis był Żydem, Whoopie to Goldberg, a prawie nikt w rodzinie Orsona nie był czarny, no i wiem, że Myron jest trochę przewrażliwiony z powodu deficytu „Wycieruchów z Saturna” i „Nimfomanki z Neptuna”, postanawiam więc, że nigdy więcej epiki science fiction nawet tak arystokratycznej jak „Kupiec wenecki”, obiecuję, że zadzwonię i zaczynam się rozglądać, kogo jeszcze mógłbym wykombinować.

Agent Bruce’a Willisa nie pozwoli mu zagrać Hamleta, chyba że dopiszemy sekwencję z karabinem ma-



zynowym, a Stephen Seagal po przejrzeniu scen batalistycznych w „Henryku V” stwierdza, że same tam słabizny i przydałoby się mniej gadania, a więcej siekaniny, i zaczynam dochodzić do wniosku, że zrobienie filmu z klasą wymaga nieco więcej pracy niż mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka, zwłaszcza że Gracie przeczytała już wszystkie 37 sztuk i twierdzi, że nie ma szansy na gołe cycki bez poważnych przeróbek, a ja łapię się na tym, że nie mogę zrozumieć, co ludzie widzą w tym Szekspirze, skoro nawet „Ja, Klaudiusz” pokazywał trochę golizny, a przeznaczony był do telewizji, na miły Bóg.

Cokolwiek by było, wpadam w prawdziwą depresję, siedzę w domu gapiąc się w te kretyńskie teksty, w których nie ma ani ostrych cięć ani przenikania, za to mam głowę nabitą jakimiś idiotycznymi rymami, a co gorsze, nie mogę znaleźć baru sushi, który dostarczałby po północy, i w końcu olśniewa mnie, do diabła z tym, muszę się oderwać od tego kretynstwa, więc dzwonię do Rona i Nancy, a oni zapraszają mnie na bardzo późną kolację, ale kiedy tam docieram, okazuje się, że to jest przyjęcie dla starych przyjaciół politycznych i w pierwszej chwili postanawiam posiedzieć tylko tyle, by mnie zauważono, a potem wyknąć się do jakiejś speluny z półnągą obsługą, ale wtedy mój wzrok pada na faceta, który właśnie wchodzi powłócząc nogami, jest lekko zgarbiony, ma głęboko osadzone paciorkowate oczka, i mówię sobie: dajcie temu gościowi garb i mamy Ryszarda III.

Okazuje się, że nawet nie liczył gry aktorskiej, ale ma już dosyć życia na odludziu i chętnie spróbowałby, i nagle okazuje się, że to chyba przeznaczenie, bo facet na imię ma Ryszard, i co więcej, jest w stanie wczuć się w rolę, ponieważ kilka lat wcześniej też stracił królestwo, chociaż sprawa zawisła tam raczej od brakujących taśm niż konia.

Reszta to już historia, film rusza, robi 17 baniek w pierwszy weekend, spada tylko o zwykłe 14 procent przez następne 5 tygodni, co wskazuje na to, że ma ręce i nogi, o których nikomu się nie śniło, a moje odkrycie robi taką furorę, że podpisujemy z nim umowę na dalszy ciąg, który pisze Tom Stoppard. Jeśli chodzi o mnie, nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy kręcić „Haldeman i Erlichman nie żyją”.

Przełożyła Ewa Łodzińska

MICHAEL D. RESNICK

Amerikanin, rocznik 1942. Zanim zajął się fantastyką, pisywał powieści popularne, sensacyjne, kryminały, a nawet pornografię. Niezwykle płodny, ma na swoim koncie kilkaset książek wydawanych pod kilkoma nazwiskami. Pierwszym jego utworem związanym z fantastyką był pastisz z Burroughsa „The Forgotten Sea of Mars” (1965). Jego twórczość jest bardzo różnorodna, z łatwością przechodzi od fantasy do SF. Naszym stałym czytelnikiem nie trzeba go przedstawiać. Drukowaliśmy już następujące opowiadania: „Łowy na jednorożca z karabinem i kamerą” („F” 10/87), „Bacon z komputera” („NF” 6/91), „Ja i mój cień” („NF” 10/92), „Ostatni pies” („NF” 3/93), „Zimowe przesilenie” („NF” 12/93). W utworach Resnicka znajdziemy nutę liryzmu i świetne poczucie humoru. Opowiadanie, które przedstawiamy w tym numerze, wydaje się być puentą toczonej na naszych łamach dyskusji o stanie kina SF. Zamieszczamy je tym chętniej, że najwyraźniej zdanie tego popularnego autora pokrywa się z naszym.

D.M.

Historia ta rozpoczyna się tak, jak mogłyby się zaczynać inne miłosne historie lub horrory, ale ostatecznie biorąc, to wszystko jedno. Był zimny, wietrzny wieczór, krople deszczu rozmazywały się bez wyrazu na okiennej szybie. W mieszkaniu nudno i ponuro, w telewizji nic interesującego. Był to taki wieczór, podczas którego nie ma się ochoty wychodzić z domu, ale pozostać w nim to coś o wiele gorszego. Dotyczyło to szczególnie mnie. Ostatnia kobieta odeszła trzy tygodnie temu, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by poszukać jakiegoś pretekstu. Zamknęła drzwi i koniec. Klamka od tamtej pory ustawiona jest trochę krzywo. Nie piję zbyt dużo albo przynajmniej nie piłem, ale podczas takich wieczorów rzeczywistość nie ma co robić. Najlepiej skoczyć do najbliższej knajpy, do takiej, którą się dobrze zna, wymamrotać coś tam o pogodzie i o piłce nożnej, wypić dwa-trzy piwa, szybko wrócić do domu i położyć się spać.

„Czerwony Kot” jest właśnie takim miejscem. Znajduje się nawet niedaleko, ale tego dnia powietrze było tak parne, niemal lepkie, że kiedy dotarłem na miejsce, wszystko miałem przemoczone, nawet odechciało mi się piwa, nie mówiąc już o rozmowie. Otworzyłem drzwi i nagle spowiły mnie ciepło, hałas i dym. Potrzebowałem kilku chwil, by oddzielić te doznania. Podeszedłem do baru i zamówiłem od razu dwa piwa. Usiadłem przy wolnym stoliku w rogu i starałem się robić jak najbardziej ponurą minę po to, by nikt się do mnie nie zbliżał.

Przyczyną nie był deszcz czy chłód, a samotność – tylko częściowo. No cóż, stuknęła mi już czterdziestka, dlatego też nie jestem w stanie przekonać samego siebie, że wszystko może się zmienić. A dlaczego miałoby się zmieniać? Z pracą nie mam kłopotów. Nie jest nudna, ale nie pobudza też zbyt moich ambicji. Wygodnie mi się żyje, nikt mnie nie nagabuje, nikt nie nienawidzi, mam dobrych kumpi i znajomych, prowadzę ładne, uporządkowane życie. Moja matka byłaby szczęśliwa, gdyby mnie widziała. Nic szczególnie mnie nie przysiębia. Nic szczególnie mnie nie rozwesela i w ogóle we mnie nie ma niczego szczególnego. Siedzę tu, bo wieczór jest okropny, a w domu nikogo i to też jest naturalne, w każdym razie nic takiego niezwykłego. Wystarczyło tylko rozejrzeć się dookoła, by stwierdzić, że rzeczywistość tak jest.

Zbierałem się do wyjścia, żeby na zewnątrz wykrzyknąć z siebie cały ten wieczór, całe moje życie, kiedy coś dotknęło mojego ramienia. Myślałem, że to ktoś znajomy i już chciałem go posłać do wszystkich diabłów, ale nie. O ramię ocierał mi się jakiś duży, pełen fałszu, rudy kot. Gospoda nazywała się „Czerwony Kot” – od kie-



ogona kokieterijnie tańczył w takt jego ruchów.

Nie będę zbyt oryginalny, jeśli powiem, że skojarzył mi się z kobietą. Taką, którą widuje się tylko w reklamach mydła lub w mrozących krew w żyłach bajkach z Hollywood. Rudawokasztanowe włosy, skóra biała jak mleko, a oczy tak zielone, jakich w rzeczywistości nigdy nie ma. W tym sensie są jednocześnie dzikim wyzwaniem i obietnicą natychmiastowej kapitulacji. W dodatku ta kobieta ma jakieś straszne biblijne imię w rodzaju Rachela lub Rebeka i nozdrza drżące z podniecenia. Nagle tak bardzo naszła mnie ochota kochania się, że aż mnie zemdlilo. I sprawił to kot! Oto do czego doszedłem. Sięgnąłem po drugie piwo i zamknąłem oczy. W ciemnościach natychmiast ukazał się trójwymiarowy wizerunek Racheli z Hollywood. Jej nozdrza drżały wprost zachwycająco.

Dlaczego nie pojawi się jakaś kobieta? Nawet jeśli akurat nie taka, ale też niekoniecznie matka dwojga dzieci ze sflaczałymi pośladkami, marząca, by choć przez jeden wieczór rozerwać się. Dlaczego nie może się pojawić ktoś, ktokolwiek, tak jak ten kot, miękko i naturalnie?

Krzyk, który wyzwoliło przybycie kota, znów cisnął mi się na usta. Zepchnąłem go z powrotem ostatnim łykiem piwa i szybko ruszyłem do wyjścia. Jeśli już trzeba krzyczeć, to lepiej to robić wśród własnych czterech ścian. Deszcz przestał padać, ale było zimno i mglisto. Humphrey Bogart w takich sytuacjach podnosi kołnierz płaszcza, zapala papierosa, światła tajemniczo rysują jego twarz, on zaś odwraca się półprofil. Niemal biegiem puściłem się do domu i byłem tak bardzo zajęty tłumieniem złości, że nie od razu usłyszałem za sobą kroki. W następnej sekundzie ktoś delikatnie ujął mnie za ramię. Odwróciłem się tak gwałtownie, jakbym miał złe zamiary.

Andrzej Grzechnik

To było marzenie z hollywoodzkiej reklamówki, Rebeka we własnej osobie. Jej rude włosy odbijały światła ulicy, usta miała lekko uchylone, miękko, tak jak powinno być. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami i delikatnie dyszała. Czułem się, jakby wszystkie moje dotychczasowe krzyki uwięzły mi w gardle. Nerwy działały niby postronek na moje struny głosowe, tłumiły powietrze wydostające się z gardła, język zaś mieszał tylko oddech i nie był w stanie uformować słów. Ona, słysząc mój nieartykułowany bełkot, a raczej rżenie, cofnęła się krok w tył, ale nie puściła mojej ręki. Patrzyła na mnie ufnie i łagodnie, tak, jak jej liczne filmowe poprzedniczki – tyle że teraz dzieliła nas odległość nie większa niż pół metra.

– Czy mogę w czymś pomóc? – wyjąkałem wreszcie. – Czy pani szuka właśnie mnie?

Zatrzepotała rzesami, lekko odwróciła głowę, wskazując knajpę.

– Ja też tam byłem. A pan, a ty, wydawałeś się taki samotny i nieszczęśliwy. Pomyślałam, że pójde za tobą i... pocieszę cię.

– Pocieszysz mnie? – cofnąłem się krok w tył i przyrzekałem jej dokładniej. Miała na sobie prosty szary płaszcz przeciwdeszczowy i buty na niskim obcasie. A jednak jej twierdzenie, jakoby była w knajpie, zakrawało na absurd. Po pierwsze, niemożliwe, żebym jej nie zauważył. Takiej dziewczyny?! A jeśli nie ja, to ktoś inny na pewno by ją poderwał. No i jeszcze, która samotna kobieta może przyjść do „Czerwonego Kota”? Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, roześmiała się.

– Widzę, że mi nie wierzysz. No dobrze. Siedziałeś tyłem do baru, w samym rogu. Nagle, kiedy piłeś drugie piwo, zerwałeś się z miejsca i wybiegłeś, tak jakby cię ktoś gonił. Niemal strąciłeś kieliszek z sąsiedniego stołu.

Wszystko się zgadzało, co do joty. Ale wzmogło to tylko moje podejrzenia.

– Taak... a gdzie ty byłaś?

– Przy barze. Wpadłam dosłownie na moment, żeby wypić coś słodkiego i pójść do domu – skrzywiła się przy tym nieco, dając do zrozumienia, że nie jest to najmilsza perspektywa.

Przez minutę w milczeniu przyglądałem się jej twarzy o idealnych rysach.

– W porządku. A teraz co mogę dla ciebie zrobić?

– Trudno powiedzieć – wykrzywiła nieco usta. – Myślałam, że się ucieszysz, kiedy podejdę. Wydawałeś się tak bardzo samotny.

– Nie mów, że taka kobieta jak ty nie ma z kim spędzić wieczoru! – warknąłem wściekły. – Coś takiego możliwe jest tylko w...

– ...bajce – dokończyła zdanie, flegmatycznie wznosząc ramionami. – A jeśli to jednak możliwe? Ja przecież jestem.

Znów przez minutę gapiłem się na nią, ona na mnie, jak kocica. Pohamowałem chęć odepchnięcia jej i zamiast tego przełknąłem ślinę. A zresztą, cóż właściwie miałem do stracenia. Najwyżej dadzą mi w głowę i okradną. Nie noszę przy sobie większych pieniędzy, a karty kredytowe i tak złodziejowi na nic. A możliwe, że... – wyszło mi w gardle – wszystko możliwe.

– No dobrze, powiedzmy, że cieszę się z twojej obecności. Jak ci na imię? – zapytałem. „Ale jak teraz po-

wie, że Rebeka, przysięgam na Boga, uderzę ją” – pomyślałem.

Może tylko mi się wydawało, że przez moment popatrzyła na mnie badawczo. Jakby dopiero teraz miała się zdecydować na swoje imię.

– Na imię mi Elisabeth – powiedziała wreszcie tak rzeczowym tonem, jakby dyktowała dane personalne na policji – ale przyjaciele mówią mi Beth.

– W porządku, Elisabeth. Możesz mnie kawałek odprowadzić, jeżeli masz ochotę, a potem zobaczymy.

Skinęła głową, wzięła mnie pod rękę tak, jak się bierze starego przyjaciela. Szliśmy powoli, w milczeniu. Nie miałem pojęcia, o czym mógłbym z nią rozmawiać. Ją zaś odstraszyła chyba moja początkowa gburowatość, nie wiem. Szedłem świadomie okrężną drogą, ale „Czerwony Kot” był przecież niedaleko. Stałem przed bramą, odwróciłem się do niej twarzą.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziałem.

Na dom zaledwie rzuciła okiem, a potem zawiesiła na mnie swoje spojrzenie.

– A teraz? Wejdiesz? Napijemy się czegoś? – ledwo co wymówiłem te słowa, już ich pożałowałem. Jasne, że byłoby dobrze, gdyby weszła, dobrze i to jeszcze jak, ale z drugiej strony nagle bardzo silnie zapragnąłem, żeby jednak nie wchodziła. Nie chciałem, by się okazało, że jest jakąś lepszą dziwką i przychodzi tylko na jeden wieczór. To już lepiej niech sobie pójdzie i pozostanie taka, jaka jest. Nieprawdopodobnie piękna.

Jeszcze nie zdążyłem przemysśleć wszystkiego do końca, kiedy odwróciła twarz. Pociągnęła palcem wskazującym po kracie na bramie wejściowej i uśmiechnęła się niepewnie.

– Myślę, że nie wejdę – powiedziała w końcu. – Nie, nie, już pójde – powiedziała nieco bardziej zdecydowanym tonem. – Dobranoc i nie gniewaj się, że zawracalam ci głowę.

Podążyła mi rękę i ruszyła ulicą z powrotem, w kierunku „Czerwonego Kota”. Kiedy się oddalała, nabierałem coraz większej pewności, że kiedyś już widziałem dokładnie to samo. Gapiłem się za nią bez wyrazu, wściekły z powodu uczucia bezsilności. Co za idiotyczna sytuacja. Ale głupiec ze mnie! Przepuścić taką kobietę, nawet jeśli jest dziwką, nawet jeśli tylko na jeden wieczór. Najpierw niepewnie, a potem coraz bardziej przyspieszając kroku, pobiegłem za nią. Słyszając moje kroki zatrzymała się, nieco się odwróciła, ale nie powiedziała ani słowa.

– Elisabeth, nie gniewaj się, proszę! Beth, bardzo się cieszę, że mogliśmy się spotkać. Musisz jednak przyznać, że okoliczności są trochę dziwne, a ty, taka samotna i nagle...

Kiwnęła głową z roztargnieniem jak człowiek, który bez reszty zgadza się z całkowicie dla niego obojętnym faktem.

– Bardzo, bardzo chętnie spotkam się z tobą, kiedykolwiek, jeśli tylko zechcesz...

Stała wciąż jeszcze milcząca z nieruchomą twarzą, jakby nie miała mi nic do powiedzenia. Wreszcie odezwała się:

– Jutro. – Nie było to pytanie, po prostu stwierdziła, że jutro, nadając temu słowu jakiś niepokojący akcent.

– Wspaniale, powiedzmy o ósmej wieczorem przed „Czerwonym Kotem”, dobrze? – powiedziałem szybko, nie chcąc, żeby się rozmyśliła.

– Aha – tylko tyle powiedziała w odpowiedzi i ruszyła dalej, z rękami w kieszeniach, niemal jak jakiś tramp, który może być na pełnym luzie, bo nie ma niczego do roboty.

– Dobranoc! – krzyknąłem jeszcze do niej.

– Dobranoc – odpowiedziała, ale nie odwróciła głowy.

Nigdy nie zapomnę następnego dnia. Zmęczyła mnie myśl, że nie przyjdzie, ale niespokojna nadzieja, że może jednak tak, nie pozwalała mi zapaść tchu. O godzinie szóstej po południu byłem już zupełnie wykończony. Dwa razy brałem prysznic, ale kiedy się ubrałem, byłem znów spocony. Zacząłem się golić, przerwałem w połowie. Jeśli nie przygotuję się, to może przyjdzie. Jeżeli zaś się ogolę i kupię kwiaty, to już piętnaście po dziewiątej będę zupełnie pijany trzymając pod pachą zwiędły bukiet. Z premedytacją spóźniłem się parę minut, żeby nie tracić czasu na bezczynne stanie przed knajpą. Ale ona już była. Czekala cierpliwie trochę z boku, niezupełnie przed budynkiem. Ktoś właśnie usiłował ją poderwać, w każdym razie stał przed nią jakiś facet i żywo gestykulował. Mogła mnie nie zauważyć, jej nowy znajomy był bliski tego, by pozbawić ją wszelkich widoków poza jego wymiętoszoną koszulą i rozluźnionym krawatem. Ale jeśli nawet mnie nie widziała, to jednak wyczuła, że już jestem, bo gdy tylko zjawiłem się na miejscu, odeszła od faceta i stanęła przy mnie. W jasnym ubraniu była jeszcze piękniejsza niż ją pamiętałem.

Na powitanie skinęła tylko głową – najwyraźniej nie była specjalnie wylewna – i zapytała:

– Dokąd idziemy?

Wziąłem ją na kolację, a potem już bez zbędnych ceregieli zabrałem do domu. Spotykaliśmy się regularnie i zaledwie po kilku tygodniach sprowadziła się do mnie.

Była idealną żoną i kochanką. Akurat na tyle uległa i sprzeciwiająca się, że nie stała się ani nudna, ani męcząca. Musiałem się pogodzić z tym, że czyta w moich myślach, a właściwie w moich snach, we wszystkich moich snach, jakie śniłem od lat młodzieńczych. Była dokładnie taka, jaką przedstawiają te głupie reklamy w telewizji. Spełnionym snem. Jej małowówność się nie zmie-

niła, przy czym najmniej mówiła o sobie. Szybko okazało się, że nie ma ani męża, ani dzieci. Początkowo twierdziła, że jest maszynistką, ale nigdy nie musiała się spieszyć do pracy, zawsze starczyło jej czasu na wszystko. Wkrótce doszedłem do wniosku, że tak naprawdę nigdzie nie pracuje – mimo to zawsze miała gotówkę. Kupowała nowe ubrania i rzeczy, które były

potrzebne w domu, ale właściwie nie prosiła mnie o pieniądze. Początkowo kilka razy sprawdzałem swoje konto bankowe i kredytowe, były nienaruszone. Kiedyś, jakoś mimochodem, wspomniła, że po ojcu dostała większą sumę pieniędzy. Ale poza tym wszystko, co ją otaczało, było dziwne i niesamowite. Miała bardzo mało przyjaciół, chociaż poznanie nowych ludzi przychodziło jej łatwo i niekiedy sprowadzała do mieszkania jakieś przerażające typy. Przyznawała się do trzydziestu dwóch lat, ale równie dobrze mogła nie przekroczyć dwudziestki. Miała idealną cerę, niemal bez jednej zmarszczki. Rano budziła się jak nowo narodzona. Na całym jej ciele nie zauważyłem ani jednego znaku szczególnego czy blizny. Doskonałe, idealnie piękna.

Byłem w niej śmiertelnie zakochany, ale z drugiej strony, chłodno obserwując samego siebie, doszedłem do wniosku, że cała ta sprawa jest zupełnie nieprawdopodobna, że przeczy niemal prawom natury. Jedwabistą, świetlistą i drgającą konstrukcją mojego szczęścia przesłaniała od czasu do czasu mgła niewiary. Obawy, że w którejś chwili runie – od najmniejszego dotyku. Niemal się wykończyłem czekając na

ów dotyk. Ale to, jaki był naprawdę koniec, różniło się od wszelkich oczekiwań i przypuszczeń.

Powrót do domu był zawsze krytycznym punktem dnia. Od godziny trzeciej po południu czułem coraz silniejsze, coraz bardziej naglące pragnienie, które kazało mi wracać do domu. Śpieszyłem się, pędziłem, naciskałem pedały gazu, złościłem się przy czerwonych światłach. A potem, kiedy byłem już w okolicy, coś zawsze kazało mi zwalniać. Na naszą ulicę samochód właściwie już tylko się wtaczał i zwykle przynajmniej przez minutę siedziałem w milczeniu nie wychodząc z auta, zanim znalazłem dość odwagi, by wyjść. Zawsze, ilekroć dom zastawałem pusty, robiło mi się słabo, siadałem wtedy niemal sparaliżowany i czekałem, aż ona wróci. Wydawało się, że Beth wie o mnie wszyst-

ko, a więc to także. Bardzo rzadko zastawałem puste mieszkanie, nawet wówczas, kiedy wracałem wcześniej niż zwykle.

Tamtego dnia pewien mój kontrahent, z którym umówiłem się na spotkanie, niespodziewanie odwołał spotkanie. Nie miałem nic do roboty, pojechałem więc do domu, z góry drząc na myśl o pustych pokojach i chwilach samotności. Do ostatniego momentu miałem nadzieję, że ją zastanę, przynajmniej ze trzy razy witałem się z nią jeszcze jej nie widząc, zanim ostatecznie zrezygnowałem. No cóż, trudno, jakoś trzeba wytrzymać tych kilka godzin niepewności. Usiadłem, zająłem się papierami, które przyniosłem z pracy. Sprawa, na szczęście, nie była prosta, minęła już piąta, czas moich powrotów do domu, kiedy wreszcie skończyłem. Beth wciąż jeszcze nie było. Wziąłem więc następną paczkę papierów, ale nie potrafiłem się skoncentrować. Litera skakały mi przed oczami, a ołówek był śliski od potu.

Przecież nic się nie stało! Dopiero za piętnaście szósta. Kto powiedział, że ona ma być na piątą z powrotem? Podczas kiedy racjonalne myślenie dążyło ku znalezieniu czegoś uspokajającego i to za wszelką cenę, dobre, stare „ja” miało już bardzo konkretny środek uspokajający: whisky. Właśnie odkręciłem zakrętkę i tyknąłem sobie prosto z butelki, kiedy przed domem zahamował jakiś samochód. Butelka wyslizgnęła mi się z ręki, palce właściwie zupełnie zeszytniały na myśl o tym, że przyjechała. Silnik samochodu znów wszedł w obroty, brzęk szkła był ledwo słyszalny, a potem znów zaległa cisza. Bezwzględna cisza. Ani kroków, ani zgrzytu klucza w zamku. A niech to cholera! Jeśli się nie myliłem, kolejnej butelki nie było. Obecność Beth sprawiała, że nie potrzebowałem pić, ale teraz jeden łyk wydał mi się czymś upragnionym. Ruszyłem w stronę spiżarni, żeby wyjąć szcztotkę i szmatę do podłogi. Niezależnie od tego, czy ona przyjdzie, czy nie, ta lepka kałuża nie może zostać tak na podłodze. Jestem praktykującym starym kawalerem, nie takie rzeczy sprzątałem. Otworzyłem drzwi.

Beth padła mi w ramiona zupełnie tak, jak bohaterka klasycznych horrorów, omal mnie nie przewróciła. Była – jak przystało na taką sytuację – zimna i sztywna. Niemal odruchowo sięgnąłem do jej nadgarstka, żeby zbadać puls i wówczas doznałem kolejnego wstrząsu. Miała obcięte lewe przedramię, dokładnie w łokciu, jakby ktoś odrąbał je jednym cięciem. Zrobiło mi się niedobrze. Wydaje mi się, że krzyczałem. Na pewno wymiotowałem, ale do łazienki dobiegłem dopiero po pewnym czasie. Wydawało mi się, że ze wszystkich porów mojego ciała sączy się pot.

Kiedy trochę odetchnąłem, od razu pomyślałem o policji. Muszę ich zawiadomić! Natychmiast! Dowlokłem się do telefonu i spróbowałem wybrać numer. Palce wciąż jeszcze miałem sztywne, jakby nie swoje. Usłyszałem sygnał, potem ktoś z tamtej strony podniósł słuchawkę, a ja zacząłem dukać:

– Chciałbym powiadomić o morderstwie. Ofiara nazywa się Elisabeth... – Jeszcze nie dokończyłem zdania, kiedy zrozumiałem absurdalność całej sytuacji. Słuchawka wypadła mi z ręki i z trzaskiem opadła na widelki.

Boże... przecież właściwie nic o niej nie wiem, znam tylko imię! Nie wiem nawet, kim byli jej rodzice, nie wiem, kiedy i gdzie się urodziła, w ogóle nic nie wiem. Co odpo-

wiem, jeżeli policja zapyta mnie o jej przeszłość albo o jej przyjaciół? Czy mi uwierzą, że od miesiący żyję z kobietą, a tym bardziej z tak fantastyczną kobietą i nic o niej nie wiem?! Pobiegłem schodami w górę, wszedłem do sypialni. Wyrzuciłem z szafy jej rzeczy, wyjąłem wszystkie przedmioty, które miała w szufladzie biurka. Potem ubrania, buty, książki, jedną butelkę po perfumach. Ale nigdzie nie było żadnej fotografii, listu, notesu, maskotki, nie było rozpoczętego kremu ani brudnych pończoch. Wszystkie znajdujące się tu rzeczy mogły należeć do jakiejkolwiek przeciętnej blondynki ważącej 50 kilogramów i mającej 165 centymetrów wzrostu. Nic nie mówiły o Elisabeth. W torebce miała elegancką książeczkę czekową ozdobioną monogramem E. B. i jedną kartę kredytową. Na delikatnej, srebrzystej powierzchni karty światło załamywało się dając tęczę. Była to nowa karta, ostatnio dość często reklamowana. Nie mogła mieć więcej niż osiem – dziesięć tygodni. A poza tym nic, zupełnie nic.

Nagle usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi, a zaraz potem wesołe, głośnie wołanie Beth.

– Garreth! Garreth! Bardzo się spóźniłam? Nie gniewaj się, robiłam trochę zakupów... Zaraz przygotuję coś do jedzenia. Garreth, gdzie się schowałeś?...

Sądząc z hałasów, musiała teraz właśnie otworzyć drzwi do kuchni, słyszałem w jej głosie zdziwienie, kiedy znów mnie zawołała:

– Kochanie, gdzie jesteś, nie wyglupiaj się! Garreth, gdzie jesteś?! Garry, odpowiedz!

Słyszałem, jak wchodzi po schodach, ale wciąż jeszcze nie mogłem się poruszyć. Byłem sparaliżowany z przerażenia, czekałem, kiedy wreszcie otworzy drzwi, bym spojrzał jej prosto w oczy.

Beth nie miała na twarzy trupich plam ani zaplesniałej pajęczyny we włosach, jak przystałoby na świeżo zmarłego trupa. Ubrana była w jasnozielony kostium, białą bluzkę z żabotem, która pięknie podkreślała jej wspaniałą cerę przywodzącą na myśl brzoskwinie i włosy płonące szczególnym ogniem. Na jej skroni, która była biała jak alabaster, delikatnie pulsowała jedna żyłka. Nie wiem, co Elisabeth mogła widzieć, ale kiedy wstałem i spróbowałem zrobić kilka kroków, jej twarz wykrzywił nigdy nie widziany groteskowy grymas odrazy i przerażenia. Potknąłem się o coś i upadłem. Dostrzegłem jeszcze odruchowy gest Beth, która chciała mnie chwycić, ale potem film mi się urwał.

Następny obraz, który pamiętam, jest pełen światła i szczęścia. Leżę w łóżku, pokój wypełnia zapach świeżych grzanek, herbaty i poranna woń Beth. Mam na sobie czystą pidżamę, słyszę głos Beth z drugiego pokoju, rozmawia właśnie z moim szefem:

– Nie, miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Może już jutro, a pojutrze z całą pewnością. Bardzo dziękuję, panie Ward, przekażę mu.

Pojawiła się po chwili, niosąc na tacy herbatę i grzanek. Usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się, jak kęsy jem grzanek i z wysiłkiem piję herbatę. Kiedy już skończyłem, wszystko dokładnie sprzątnęła, ale nie zostawiła mi samego. Wzięła mnie za rękę i głęboko spojrzała mi w oczy.

– Garreth, powiedz, co ci się stało wczoraj wieczorem? Upiłeś się? Masz problemy w pracy? Pokłóciłeś się z panem Wardem?

Każde jej słowo, każdy ruch był prosty, naturalny. Dziewięćdziesiąt dziewięć spośród stu kobiet zapytało by o to samo, najwyżej nie byłyby tak delikatne, żeby przedtem przynieść śniadanie. A jednak. Jakbym oglądał z zewnątrz jakiś film, w którym wszystko miało wyjątkowo ostre kontury, a ja patrzyłem na nie z dużego dystansu, aż trudno mi było zrozumieć, o czym właściwie jest ten film. Zamknąłem oczy. Albo ja oszalałem, albo... Drugie „albo” pozostało puste. Nie ma żadnego albo... Beth wczoraj była martwa, a dziś żyje, siedzi tu na brzegu łóżka i oczekuje odpowiedzi. Odwróciłem głowę. Nie mogę jej powiedzieć prawdy, nie mogę powiedzieć, że wczoraj widziałem jej okaleczone zwłoki. I nie mogę też mieć do niej pretensji o to, że nie ma ani jednej maskotki, że nie ma brudnych pończoch, że od chwili kiedy ją poznałem, nie dostała ani jednego listu i że jest zbyt piękna, by żyć ze mną. Wciąż jeszcze przypatrywała mi się siedząc w bezruchu. Miała zielone oczy, Boże, co to były za oczy! Jej nieprawdopodobnie biała skóra z odcieniem różu była piękna jak marzenie. Kiedy tak na nią patrzyłem, nie pragnąłem już niczego ponad to, by zapomnieć o dniu wczorajszym i by znów przytulić się do niej pod kołdrą, przytulić moją pokrytą zarostem twarz do jej wonnej skóry. Nagle poczułem, że w oczach zakręciły mi się łzy. Odwróciłem się na bok i skryłem twarz w fałdach jej szlafroka.

– Już nigdy nie będę pił, nigdy więcej – obiecywałem – ale wczoraj nie było cię w domu i czułem się taki samotny, taki smutny, nie chciałem się upić, chciałem się tylko trochę pocieszyć, powiedz, powiedz, że się nie gniewasz...

Kłamstwo sprawiło mi – o dziwo – o wiele większą ulgę niż łzy. Myślę, że właśnie wówczas wybrałem pomiędzy miłością a zasadami, które kierowały wcześniej całym moim życiem. Prawda, honor, moralność. Słowa uderzając o siebie wydawały dźwięk taki jak puste muszle w bransolecie Malajki. Pozostała tylko ulga i wspaniała bliskość Elisabeth.

A potem nastąpił bardzo dziwny okres. Ściankę chińskiej wazy, która była moją miłością, podzieliło cieniutkie pęknięcie na dwie części, na czas przedtem i czas potem. Kochałem Beth, ale w głębi miłości zalegało mroźne przerażenie, ciągły strach przed nieznanym. Męczyły mnie koszmarnie sny, zawsze jednakowe. Beth leży przy mnie albo spacerujemy, gdzieś idziemy, czy gdzieś właśnie przychodzimy, kiedy jej idealna twarz zaczyna się zmieniać. Skóra traci kolor, rysy twarzy martwieją i z oblicza potwora wyzieraają zielone, zachęcające oczy.

Beth o nic nie pytała. Otoczyła mnie swoją delikatną i pełną troski obecnością i kierując się jakimś ukrytym instynktem, unikała tych tematów czy nawet słów, które mogły mi cokolwiek przypomnieć. Ale właśnie dlatego lub po części właśnie dlatego, stawałem się coraz bardziej podejrzliwy, zazdrosny, a poza tym ciągle czegoś się domagałem. Dzwoniłem

do niej o nietypowych porach, a któregoś dnia, kierując się kaprysem chwili, pojawiłem się w domu w południe.

Dom był jak wymarły. Beth ani śladu. Nic nie wskazywało na to, że jadła śniadanie albo że miała zamiar wrócić w południe. Naczynia zmyte, w lodówce wszystko pięknie poukładane. Ta aseptyczna czystość i cisza nagle napełniły mnie zapiekłą wściekłością i jakimś pełnym goryczy poczuciem satysfakcji. Potrafiłem nienawidzić, lekko, bez wyrzutów sumienia. Zupełny brak jej obecności i przygnębiające działanie perfekcji, jaką prezentowała, zrobiły swoje.

Do dziś nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Niemal pędziłem w stronę niewielkiej spiżarni. Kiedy dotknąłem klamki, na chwilę zamarłem. Poczułem, że mam wybór: mogę coś zniszczyć albo zachować w postaci nienaruszonej. Coś mnie kusiło, żeby wybrać to drugie. A potem jednym szarpnięciem otworzyłem drzwi.

Padła mi w ramiona jak w powracającym, koszmarnym śnie. Jej piękne oczy

koloru morskiej toni patrzyły na mnie szklście, bez wyrazu. Koszmar był zbyt skondensowany, bym mógł cokolwiek uczynić czy powiedzieć. A jednak udało mi się.

Wyszedłem z kuchni i wypilem szklankę wody. Włączyłem telewizor. Zadzwoniłem do biura w sprawie mało ważnej przedpłaty, przejrzałem jakąś dokumentację do projektu, którą należało skończyć. Sprawdzając. Otaczał mnie realny świat, mój realny świat, w którym na dziesięć centymetrów od półki z książkami zaczynał się kaloryfer, by skończyć się pół metra dalej. Tak, to był realny świat, w którym rzeczy zaczynają się i kończą zarówno w czasie jak i w przestrzeni.

Wróciłem do spiżarni. Beth leżała na ziemi nieruchomo, tak jak ją pozostawiłem. Obejrzałem ją od stóp do głów, starałem się zaobserwować nawet najdrobniejsze szczegóły, nie dotykając jej jednak. U lewej ręki brakowało czterech palców i kawałka dłoni. Wyglądało to tak, jakby jakieś zwierzę odgryzło kawałek Beth zębami ostrymi niby brzytwa. Ale na śnieżnobiałym mankiecie nie zauważyłem ani jednej kropli krwi.

Próbowałem pomyśleć, ale sprawiło mi to niemal fizyczny ból. W mózgu czułem i słyszałem krzyk z powodu ogromnego obciążenia. Było to coś, co przypominało pierwsze samoloty, które zmuszano, by wbrew prawom natury wznosiły się w powietrze. Przypominały mi się wykłady z geometrii według Bólyaiego*, uniwersytet. Trzeba przyjąć jedynie założenie podstawowe, tylko pierwszy punkt absurdu, a logika zbuduje na tym punkcie nowy świat.

* James Bólyai (1802-1860) – matematyk węgierski, współtwórca geometrii nieeuklidesowej (przyp. tłum.).



Andrzej Grzechnik

Przełknąłem ślinę. Beth jest martwa. I jednocześnie żyje. Za podstawę muszę przyjąć tylko to, nic więcej. Jeżeli zatem chwilowo jest martwa, ale jednak żyje, to będzie taki moment, kiedy znów będzie miała formę żywej istoty, mimo że będzie martwa. Muszę zaobserwować tę właśnie chwilę. Co sprawia, że dochodzi do przemiany? Czas? Wciąż chodziło za mną jedno słowo: zombi. Żywy trup, który nocą, na rozkaz wielkiego maga, ożywa. Co to za czarodziejskie słowo, które pobudza do życia moją Elisabeth? Czy nadchodzi z zewnątrz? Czy z wewnątrz? Czy jeśli się zorientuję, że dostrzeżono jej stan, to czy w ogóle będzie chciała ożyć? A jeżeli tak, to czy nie okaże się niebezpieczna?

Zlałem się potem. Bałem się, było mi zimno, chciało mi się wymiotować. Ale poza wszystkimi fizycznymi dolegliwościami i logicznymi łamańcami, wobec których stanąłem, ogarniał mnie również ból z powodu utraty miłości.

Z przyzwyczajenia spojrzałem na zegarek, czynię to tyśiąć razy dziennie. Minęła druga po południu. Jeżeli Elisabeth Zombi zechce zmartwychwstać wyprzedzając porę moich powrotów do domu, to nie mam zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji.

Nagle powziąłem postanowienie. Najpierw wszystko urządziłem tak, jakby drzwi spiżarni otworzyły się same. Rozrzuciłem kilka drobniagów, odkurzacze przewróciłem na bok i posunąłem w pobliże Beth. Samochód przestawiłem kilka przecznic dalej, żeby nie stał przed domem. Najtrudniej przyszło mi znaleźć sobie kryjówkę, ale w końcu zdecydowałem się na szafę z ubraniami w przedpokoju. Przez uchylone drzwi idealnie widziałem ciało leżące na ziemi. Ulokowałem się i czekałem.

Siedziałem w szafie tak skulony, jak płód w ciele potwora. Otaczał mnie mój dom, czułem pokój, każdy oddzielnie, jakby unosiły się wokół mnie w przestrzeni. Niemal słyszałem, że budynek oddycha. To mój dom, w którym żyję już od ponad dziesięciu lat, a mimo to wypełniały go niepokojące hałasy, szmery i skrzypnięcia.

Było cztery minuty po wpół do czwartej, kiedy usłyszałem hałas od strony drzwi wejściowych. Potem szum, drapanie i znów ledwo słyszalny dźwięk. Nic nie widziałem, czułem się zdany na łaskę losu, czułem, że jestem głupszy niż kiedykolwiek. Tylko siedziałem, czekałem, żeby coś wreszcie pojawiło się w moim obszarze widzenia. Strach sprawił, że koszulę miałem mokrą na plecach, dusiłem się.

Coś przeskoczyło przez wąski pas pola widzenia i zatrzymało się. Któraś z moich dawniejszych przyjaciółek miała kota na punkcie kotów, to dla niej i dla jej ulubieńców wyciąłem w dolnej części drzwi wejściowych nieduży, czworokątny otwór. Jak się okazuje, otwór ten zwracał uwagę wszystkich okolicznych zwierząt. Tym razem była to wiewiórka. Bardzo mnie przestraszyła, drobne zwierzątko, bohaterka filmów rysunkowych.

Na chwilę zapomniałem o niewygodnej pozycji. Z przychylną ciekawością przyglądałem się, jak wiewiórka biega tam i z powrotem po kuchennej posadzce, wważając się w podłogę. Przypuszczalnie szukała jedzenia. Nareszcie zatrzymała się przy okaleczonej ręce Elisabeth. Chwila uspokojenia, którą wywołało pojawienie się wiewiórki, przysła od razu. Nie miałem pojęcia, czy wiewiórki jedzą mięso. Chyba ten potworek nie zacznie konsumować ciała Beth? Już chciałem wyjść z szafy, żeby odpędzić intruza, kiedy zamarłem w pół drogi.

Wiewiórce ani w głowie było jedzenie. Przygłnęła z całej siły, plecami i bokiem do okaleczonej ręki Elisabeth, tak jakby chciała się z nią zrosnąć. Rude futerko zwierzątka wyblakło, potem zniknęło, małe ciało rozwarło się na dwie części, wyrosły z niego jakieś macki, które na końcach miały łuski w kształcie półksiężyca. Rosły bardzo szybko. Gryzoń na moich oczach zmienił się w kształtną kobiecą dłoń, z długimi palcami zakończonymi zadbanymi paznokciami prosto od manikiurzystki. Czułem, że żołądek znów odmawia mi posłuszeństwa, a tym razem nie miałem nawet whisky, by się kurować. Niewyraźnie widziałem, że Elisabeth poruszyła się i wstała. Podeszła do apteczki z lekami, wyjęła z niej termometr i wsadziła go sobie do ust. Zauważyła, że z wiewiórki został jakiś nie wykorzystany kawałek, leżący na czystej, umytej posadzce. Schyliła się i wzięła paproch z lekkim obrzydzeniem.

Nie mogłem czynić dalszych obserwacji. Człowiek nie jest w stanie zaprotestować przeciwko absurdałnej geometrii. Liczb nie całujemy, rysunki nie zmieniają się w resztkę futerka. Wyskoczyłem z szafy i – o Święta Cywilizacja! – próbowałem dotrzeć do łazienki. Nie zdążyłem. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to ręka Beth i jej głos, który mówi coś twardo, rozkazująco.

Obudziłem się w łóżku, świat krążył wokół mnie na coraz niższych obrotach. Patrzyłem na drzwi, które otworzyły się powoli, bardzo powoli. Ukazała się w nich Beth, trzymała tacę, a na niej herbatę i grzanki. Déja vu zaplatało mi się na szyi tak, jak jedwabny sznur sułtana. Miętko, ale tak, że nie sposób go odplatać. Chciałem krzyczeć, uciekać, walczyć, ale jak w prawdziwym koszmarze, nie potrafiłem ruszyć ani ręką, ani nogą.

Elisabeth uważnie patrząc na mnie zbliżyła się powoli, aż usiadła wreszcie na brzegu łóżka. Może z premedytacją, a może nie, usiadła tak, żeby nawet przypadkiem mnie nie dotknąć. Twarz też odwróciła nieco w bok.

– Uspokój się – powiedziała cicho głosem, który przywodził na myśl najpiękniejsze wspomnienia. – Nie chcę cię skrzywdzić! Teraz, kiedy już widziałeś... rozkład formy – trochę się zawahała, zanim wypowiedziała te ostatnie dwa słowa – eksperyment nie ma już sensu.



Oznacza to, że niepotrzebny jest także szczer doświadczalny, pomyślałem.

– Nie, ależ nie! – nagle odwróciła się ku mnie, podniosła rękę, żeby mnie pogłaskać, ale widząc, że się cofnąłem, zaniechała tego zamiaru. – Proszę cię, nie bój się, nie bój się... nie jestem zombi, czy jak tam mnie już nazwałeś. Nie jestem czarownicą, żywym trupem, wampirem ani kimkolwiek innym, kogo musiałbyś się obawiać. Jestem... tylko istotą z innego świata.

Pokój znów zaczął posuwisty taniec wokół mnie. Bardzo chciałem się napić szklaneczkę whisky albo czegośkolwiek, co bardzo szkodzi na zdrowie. Odchrząknąłem:

– Istotą z innego świata?

– To trudno wyjaśnić komuś, kto żyje tu... na Ziemi. U was uważa się, że duch w ogóle nie istnieje albo jeżeli tak, to jest efektem działania materii... inni natomiast sądzą, że materia i duch to dwie zupełnie od siebie oddzielne rzeczy, to są chyba idealisci. Czy dobrze mówię? A prawda jest taka, że to właśnie duch tworzy system materii... rozumiesz?

– Nie.

– A na tym właściwie polega istota rzeczy. Wasz świat znajduje się jeszcze gdzieś na początku albo rozwija się w zupełnie innym kierunku, nie wiem. U was duch oddziałuje bezpośrednio na materię, tylko poprzez materię. Mózg, mózg ludzki, system połączeń stworzony przez was drogą eksperymentów, jest dosyć prymitywny.

– Przez nas? Beth, to jest, przepraszam, pani się coś pomyliło, nasz mózg nie jest dziełem niczych eksperymentów.

– Możliwe. Wobec tego eksperymenty prowadziła jakaś zewnętrzna siła. Ale nie na tym polega istota sprawy. Istnieje wiele światów podobnych do waszego, ale są także inne, takie jak nasz. My jesteśmy w stanie bezpośrednio sterować materią. W codziennej praktyce najczęściej tylko atomami, ale jeśli zajdzie potrzeba, to również elektronami, a także mniejszymi cząsteczkami.

– W waszym świecie? – w głowie dudniło mi i huczało, czułem się okropnie zmęczony, a moja piękna zielonooka ukochana po prostu patrzyła na mnie, siedząc bez ruchu.

– W naszym świecie, na Kappa Centauri. Uczyłeś się o tym, prawda?

– Może tak, nie pamiętam.

– Skoncentruj się i spróbuj to sobie wyobrazić. Wyobraź sobie świat, w którym duch jest w stanie oddzia-

ływać bezpośrednio na materię. U was zajmował się tym człowiek nazwiskiem Einstein, jeśli dobrze pamiętam. Związkami materii z energią. Wszystko, co nie jest podobne do nas, pozostaje zupełnie od nas zależne. Cały świat materialny, w tym także zwierzęta. Są one całkowicie, bez reszty bezbronne, nawet wobec najgorszych instynktów. Musisz przyznać, że powinniśmy w jakiś sposób z tym skończyć.

– Do tego służą prawa, czyż nie tak? Bardziej lub mniej – wymamrotałem.

– Właśnie. Bardziej lub mniej, ale raczej mniej. A prawo przychodzi zawsze z zewnątrz, skłonność zaś od wewnątrz. Dlatego też od milionów lat u nas stosuje się zasadę przymusu poznania drugiego człowieka tak głęboko, jak tylko dwie istoty są w stanie poznać się nawzajem. Jeśli poznamy lęki, bezradność, poczucie bezsilności drugiej strony, drugiej istoty, mniejsze są szanse na to, byśmy chcieli jej zadawać takie właśnie cierpienia. Nie wystarczy, byś poznał ją na tyle, na ile ona sama zna siebie. To może być niebezpieczne dla was obojga. Musisz ją poznać na tyle, żeby wiedzieć dlaczego postępuje tak, jak postępuje i równocześnie musisz się nauczyć ją akceptować taką, jaka jest: całkowicie różną od siebie. Naszym celem jest poznanie. W naszym świecie jest to nauka, umiejętność ceniona najwyższej, której od wszystkich oczekujemy, a nawet coś jeszcze więcej. Nazywa się to sztuką poznania. Jak mogłaby zrozumieć ryba świnię, glista ptaka, jeśli nie mogłaby w którymś z poprzednich wcieleń latać albo poznać, jakie to uczucie budować korytarze w gęstej, wilgotnej materii?

Jeszcze większe różnice istnieją pomiędzy czysto duchowym i przede wszystkim materialnym światem. Uczymy się tego przez tysiące lat... Przybieramy setki postaci i masek, cały czas próbujemy odpowiedzieć na pytanie dlaczego, poszukujemy przyczyny. Z czego wynika różnica, która sprawia, że jedna istota szkodzi innym, druga zaś jest łagodna. Uczymy się szacunku, szacunku dla woli i pragnień istot zamkniętych w poszczególnych wymiarach przestrzeni.

Poczułem w ustach taką gorycz, że miałem ochotę splunąć. Szacunek. Kogo szanowała ta obca kobieta, co tam kobieta, wiązka energii. Mnie? Moją miłość?

Odezwała się znów, ale słyszałem ją i na zewnątrz i w środku, w głowie. Chciała być łagodna, miła.

– Nie miej mi za złe! Gdybym tylko mogła przypuszczać, że tak to się skończy... Tamtego dnia, pamiętasz,

GÁBOR LÖVEY

Z zawodu jest lekarką, specjalistką od reumatologii, ale już w młodości chętnie sięgała po pióro, zresztą z dobrymi rezultatami. To, co dzieje się w węgierskiej literaturze fantastyczno-naukowej od kilku lat, dowodzi, że dr Lövey (imię Gábor jest imieniem męskim, ale niech to nie zmyli szanownych Czytelników) może być uznana za najbardziej obiecującą autorkę tego gatunku. Eksperymentuje już od dawna, pisała opowiadania, bajki, powieści młodzieżowe przeznaczone dla dziewcząt, a nawet klasyczne, w stylu angielskie, powieści kryminalne. Profesjonalnie zajęła się pisarstwem za namową męża – wcześniej tworzyła bowiem tylko do szuflady – i od tego czasu z werwą stuka do drzwi redakcji czasopism i oficyn wydawniczych.

Wydaje się dość swobodnie poruszać się w obszarze science fiction, mimo że fantastyka tak naprawdę ma dla niej drugorzędne znaczenie. Interesują ją przede wszystkim sytuacje, w jakie bywa uwikłany człowiek. Mimo że jest pisarką początkującą, udaje się jej unikać zasadzek czekających na autorów tego gatunku: braku wiarygodności psychologicznej, płaskości i pewnej niechlujności wyrazu. Nie ma też swoich mistrzów, których chciałaby naśladować. Co więcej, o mistrzach gatunku wypowiada się niezbyt pochlebnie. Uważa na przykład, że powieści Arthura C. Clarke'a są w większości – poza jednym czy dwoma wyjątkami – do niczego.

S.W.

w „Czerwonym Kocie”. Byłeś przepełniony smutkiem, ale czymś jeszcze. Było to dla mnie zupełnie nieznane pragnienie. Chciałam poznać to uczucie, tylko...

– Zgłębić! – nie chciałem powiedzieć tego z wyrzutem, ale wydostając się z moich ust, słowo dostało pazurów.

Pochyliła głowę. Boże, jak lubiłem przypatrywać się jej włosom, kiedy opadały na twarz.

– Tak, zgłębić... Czułam, że czegoś nie chcesz. Bardzo. Podeszłam do ciebie, ale przegoniłeś mnie. Przegoniłeś i jednocześnie chciałeś, żebym została. Byłam zdezorientowana, ale wzbudziło to moje zainteresowanie...

– Posłuchaj! Trudno się dziwić. W środku nocy... jakaś nieznajoma kobieta, a w dodatku taka piękna jak ty.

Patrzyła na mnie tak, jakby nie rozumiała. A potem zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie, nie, to było znacznie później. Kiedy spotkaliśmy się na ulicy, ty nie chciałeś, żebym z tobą poszła, tylko żebym do ciebie wróciła. Nie, ja mówię o kocie.

– O kocie?

– W knajpie, kiedy cię dotknęłam. Czułam wyraźnie, że chcesz, żebym została, a mimo to zepchnąłeś mnie ze stołu.

– Chwileczkę, nie rozumiem... Chcesz powiedzieć, że to ty byłeś tym kotem?

– Oczywiście. A ty już wtedy mnie kochałeś. Ujęła mnie owa sprzeczność i siła tej sprzeczności, tych dwóch uczuć naraz... mogą być niebezpieczne... powinienam wiedzieć, o co właściwie chodzi.

– A teraz wiesz?

Już się nie gniewałem. Kiedy tak tłumaczyła mi zawzięcie całą tę historię, zarumieniła się, włosy miała w lekkim nieładzie. Była piękna. Zachwycająco regularna, wykrystalizowana forma wszystkiego, co kiedykolwiek wiedziałem lub myślałem o pięknie. Jak ostateczna forma doskonałego równania matematycznego. To mnie bolało.

– Czy może teraz już wiesz? – powtórzyłem.

Spojrzała na mnie, w jej oczach widziałem falowanie morza, widziałem kosmos, widziałem to, co nieosiągalne. Nagle odwróciła głowę. Wydawała się jakby zmieszana.

– Powiedz, czy byłeś ze mną szczęśliwy?

„Powiedz, czy byłeś ze mną szczęśliwy” – nie do wiary, zapytała o to tak, jak pytają kobiety żyjące na Ziemi, kiedy pakuja szczoteczkę do zębów i majtki.

– A ma jakieś znaczenie, czy byłem szczęśliwy?

– Czy byś uwierzył, jeśli bym powiedziała? Myślisz, że nie ciągnęłabym tego latami, jeśli byś miał ochotę? Spróbowałam zrobić wszystko, żebyś zapomniał to, co widziałeś, by ci się wydawało, że wszystko to tylko sen. Chciałam, żeby wszystko było jak dawniej, ale zrozumiałam, że to nie ma sensu...

– Studium nie ma sensu? Jak to się mówi? Eksperyment nie ma już sensu, jeśli rejestruje zachowania nie-spontaniczne?

Przecząco pokręciła głową, wyglądała na zmęczoną.

– Ależ skąd... Ty już mnie nie kochasz. Już nie widzisz we mnie Rebeki czy Elisabeth, nie jestem już dla ciebie ziemską kobietą, obiektem miłości, tylko czymś, co wywołuje strach i odrazę... i gniew – westchnęła. – A ja nie mogę stać się na powrót tą, którą byłam. To ta-

kie proste. Ale właśnie dlatego, że... nieważne – wzięła głęboki oddech – chciałabym dać ci jakiś prezent... Na pożegnanie. Żebyś zawsze o mnie pamiętał, żebyś mnie wspominał, ale nie tak, nie z gniewem. Możesz mnie poprosić, o co zechcesz.

Roześmiałem się. Alladyn i jego cudowna lampa? Dobra wróżka i trzy życzenia?

Popatrzyła na mnie, popatrzyła ponad mną.

– Możesz poprosić, o co zechcesz – powtórzyła poważnie. – O pięć kilogramów złota, o wygraną w totka... o dom na własnej wyspie w pobliżu Grecji. O wszystko, czego tylko zapragniesz.

Zamarłem. Powróciły dziecięce marzenia, sny, o których zapomniałem już kilkadziesiąt lat temu.

– Nauczysz mnie latać? – zapytałem.

– Twoje ciało w obecnej formie nie nadaje się do latania.

– Akurat to wiem – odruchowo dotknąłem blizny na nodze. – No to możesz nauczyć mnie latać, czy nie?

– To ryzykowne... – ostrożnie dobierała słowa. – Pięć kilogramów złota mogę stworzyć właściwie ze wszystkiego, ale zmienić twoje ciało... Nie jestem pewna, czy rekonstrukcja będzie bezbłędna... Czy chciałbyś zostać do końca życia stworzeniem latającym?

– Uważasz, że byłabyś w stanie sprawić, żeby urosły mi wielkie skrzydła albo coś takiego? Byłbym człowiekiem-ptakiem?

Skinęła twierdząco.

– Inaczej nie można? Bez zewnętrznych zmian?

Wzruszyła ramionami.

– Mam władzę tylko nad materią, nie zaś nad prawami fizyki.

Zamilkłem. Gdybym był młodzikiem, powiedziałbym tak, chcę tego, pragnę. Ale od tamtej pory nauczyłem się o życiu niejednego. W jaki sposób miałbym się odżywiać? Gdzie spać? Jak miałbym się obronić przed drapieżnikami, przed innymi ludźmi? W milczeniu kręciłem głową.

– Więc nie jesteś w stanie zmienić mojego ciała?

– Jestem. Tylko nie chciałabym tego robić. Nie mam pewności, czy nie wyrządę ci krzywdy... – wyraźnie troszczyła się o mnie.

– No to co? Jutro i tak odrzucisz albo coś tam jeszcze, kogo będzie interesować, że...

– Och, jak możesz tak mówić – jej głos przypominał głos mojej matki, kiedy karmiła mnie za psoty wieku dziecięcego. Beth milczała przez chwilę, a następnie powiedziała: – Jest jeszcze inna droga...

– Tak? Nie jest ryzykowna? – starałem się naśladować melodię jej głosu.

– Jest. Ale niemal całe ryzyko ponoszę ja.

– W jaki sposób?

– Jeśli kogoś pokochamy, to znaczy jeśli pomiędzy dwiema duchowymi istotami powstanie wystarczająco silny związek, to wówczas można przekazać pewne umiejętności. Na pewien czas.

– Co to znaczy? – zapytałem zaniepokojony.

– Tylko tyle, że na dość krótko mogę ci przekazać pewne umiejętności rozkładu formy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że na jakiś czas ja też będę mógł się zmienić w jakieś zwierzę?

– Albo w samolot. Możesz być, czym tylko chcesz – popatrzyła na mnie w zamyśleniu. – W tym przypadku

jednak proponuję jakieś niewielkie stworzenie, ponieważ ilość materii, którą trzeba będzie na nowo przeobrazić, powinna być jak najmniejsza. Wiesz, z powodu możliwości błędu.

– Uważasz, że na kilka godzin mógłbym zostać wróblem albo gołębiem?

– Nie, to znaczy tak, mógłbyś zostać. Ale czas trwania przemiany będzie dłuższy, powiedzmy, nie kilka godzin, ale może nawet miesiąc.

– I mógłbym przy tym zachować umiejętności człowieka? Chodzi mi o mózg... Czy wiedziałbym, że jestem człowiekiem?

Skinęła głową.

– A jak miałbym zmienić się znów w człowieka? Poczekalabyś na mnie? A jeśli mimo wszystko nie poczekaś, to do końca życia będę ptakiem?

Uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Muszę na ciebie poczekać... ponieważ w pewnym sensie będziesz częścią mojego ciała. Tak jakbym, powiedzmy, pożyczła ci którąś z moich rąk. Dlatego powiedziałam, że to ja ponoszę ryzyko. Bo przecież może ci się coś stać. A ja, okaleczona... dość trudno byłoby mi wrócić do domu...

– A jeśli ze mną coś się stanie? To nie jest zbyt ryzykowne? – poczułem się obrażony, ale ona patrzyła na mnie ze zrozumieniem.

– Ryzyko zawsze istnieje, tak jak w życiu. Mógłbyś mieć wypadek samochodowy, ktoś mógłby ci napaść na ulicy. To co, masz ochotę?

– Być sową, orłem, nietoperzem czy mewą?

– Już mówiłam, że tak...

– I będę umiał polować, łapać ryby, latać, orientować się w przestrzeni?

– W pewnym sensie wszystkich tych umiejętności musisz się uczyć od początku, tak jakbyś, powiedzmy, uczył się korzystać z protezy. Ale przyjdzie ci to łatwo, bo wszystkie członki będą stanowić części twojego ciała, tak więc będziesz je czuł. Co się tyczy odżywiania, zawsze jest to kłopot, gdy jest się w nowym ciele. Musisz się przyzwyczaić do tego, że na śniadanie nie jadasz grzanek. Ale twoje zapotrzebowanie na energię będzie o wiele mniejsze od normalnego.

– Chcę być sokół! – powiedziałem niespodziewanie. – Niezbyt dużym, niezbyt rzucającym się w oczy. Nie chciałbym być gołębiem, wróblem tym bardziej nie. Musiałbym cały czas mieć się na baczności, czy ktoś nie chce na mnie zapolować.

– Na to musisz mieć baczenie tak czy inaczej! – Beth wydawała się być zmartwiona. – Nowa forma nie daje życia bez trudności, zmienia się tylko typ problemów. Nie robisz wycieczki do nieba, o czymś takim zapomnij. Możemy zacząć? Dobrze by było, gdybyś zadzwonił do biura i poprosił o urlop. Jakoś musisz się zwolnić.

Roześmiałem się zachwycony. Zwolnić się! Jakiej wspaniałej treści mogą nabrać te słowa, te proste słowa. Zwalniam się – otrzymuję wolność. Nawet najbardziej fantastyczne przygody zaczynają się od biurokracji.

Nareszcie byliśmy razem, ona i ja. Nie było żadnych szczególnych przygotowań, żadnych przyrządów, zaklęć. Poprosiła mnie tylko, żebym pomyślał o chwili, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. A potem stało się. Siedziałem na poręczy swojego ulubionego fotela, trochę kręciło mi się w głowie, czułem się niepewnie, tak jak ktoś, kto został nagle obudzony. W fotelu zaś siedziało moje ciało, jedynie lewa nogawka spodni kończyła się pustką. Beth po długich rozmyślaniach zdecydowała, że trzeba wykorzystać moją lewą

stopę. Najwidoczniej kierowała się przekonaniem, że w trakcie mojego późniejszego życia właśnie tę część ciała najłatwiej będzie uzupełnić. Nie widziałem Elisabeth, tylko jej ubranie leżało równo ułożone na poręczy drugiego fotela. Okno stało otworem. Niepewnie wleciałem na parapet, prawym skrzydłem zaczepiłem przy tym o klamkę okna, wreszcie wyczołgałem się na zewnątrz i rzuciłem się w dół.

Pierwszym najważniejszym uczuciem było uczucie nagości. Wiatr muskał mi skórę. Czułem delikatny, wilgotny dotyk wieczoru, a także cieplejszy powiew od strony domu. Drugie uczucie – panika. Ziemia zbliżała się coraz szybciej, ja zaś niezdarnie machałem skrzydłami, horyzont

tańczył w górę i w dół. Wreszcie znalazłem się na ziemi, ale prawe skrzydło podwinęło się przede mną i silnie zwichnąłem sobie ramię.

Pierwszy start w niebo zajął mi co najmniej dwadzieścia minut. Męczyłem się na małym trawniku własnego ogrodu – teraz wydawał mi się niebezpiecznie duży, w dodatku nie było gdzie się schować – próbowałem niezdarnie wlecieć w górę. Największym moim pragnieniem było dostać się na kasztanowiec. Kiedy wreszcie dotarłem do drzewa, nie byłem w stanie znaleźć takiej gałęzi, która nie miałaby zbyt dużo drobnych gałązek, gdzie mógłby usiąść taki żółtodziób jak ja. Z konieczności przysiadłem na dachu własnego domu, żeby odpocząć po tym wstrząsie. I wtedy, właśnie wtedy poczułem po raz pierwszy zachwyt, którego od tamtej pory nie jestem w stanie zapomnieć. Jako człowiek zbyt przywykłem do tego, że przedmioty, ściany, meble, budynki, a także ludzie i zwierzęta otaczają mnie i są zbyt blisko, o metr albo i bliżej, wszystko i wszyscy stłoczeni na jednym poziomie razem ze mną. Tam, na szczycie dachu, poza anteną i nagą ścianą komina, widać było tylko gęstą koronę

drzewa, a dalej nic. Przestrzeń otaczała mnie, falowała, lgnęła do mnie. Czułem powietrze otaczające mnie ze wszystkich stron, odczuwałem je jako materię i przy poczuciu bezbronności dawało mi to także poczucie wolności.

Cóż mógłbym powiedzieć o następnych dniach? Każda godzina przynosiła kolejne radości, początkowo był to zachwyt płynący z nowych doświadczeń, z eksperymentowania. Barwy, dźwięki, dotyk, smaki – wszystko to docierało do mnie w szerszej skali niż w moim poprzednim wcieleniu. Zalewały mnie, wciągały w siebie, a ja wchłaniałem je bez opamiętania, z rozkoszą tonąłem w moim nowym świecie.

I latanie – no tak, latanie! To było coś więcej, coś o wiele więcej niż dziecięce marzenia. Który młokos nie marzy o lodowatym wietrze, o wysiłku, który niemal nazywa mięśnie i o tym tajemniczym uczuciu wicherzenia się piór na skrzydłach podczas szybowania w górę? W miarę mijania dni, poza odczuciami, jakie na mnie ostatnio spadły, czekała mnie jeszcze jedna radość: poznawanie. Może dlatego, że ten nowy świat, w którym ja byłem nowym elementem, permanentnym eksperymentem, mógł stać się śmiertelną zasadzką, jeśli bym nie wysilał bezustannie uwagi, jeśli bym intensywnie nie obserwował całego świata. Patrzeć, przypatrywać się i rozumieć – ta gra nigdy nie sprawiała mi tyle radości. Będąc człowiekiem, nie doceniałem jej, mimo że miałem do dyspozycji tysiące bestialskich środków służących obserwacji.

Potrafiłem godzinami siedzieć czając się w jakiejś dobrej kryjówce, wchłaniając w siebie setki zdarzeń. Ostrożne kroki zajęcy pod krzakami albo rozleniwione sarny, które powoli przeżuwały trawę na łące. Stała, wytrwała praca owadów albo kąpiel słoneczna jakiejś zaby, trwająca wiele godzin, wszystko to fascynowało mnie.

Zdobywanie jedzenia, wbrew moim wcześniejszym obawom, nie sprawiało mi większych kłopotów. Nie budziło odrazy, tak jak się spodziewałem. Po pewnym czasie polowałem na norniki tak sprawnie, jak w poprzednim wcieleniu trafiałem w wolne miejsce do zaparkowania samochodu w śródmieściu. Życie wszędzie składa się również z działań rutynowych.

Powoli, niemal niezauważalnie, wędrowałem na południe, przezornie omijając większe miasta. W przeciwieństwie do moich wcześniejszych podróży teraz nie korzystałem z map, nie miałem żadnego konkretnego celu. Pewnego dnia zaskoczyło mnie to, że okolica wydaje mi się znajoma. Byłem tu tylko raz, ale natychmiast rozpoznałem to miejsce. Oczywiście Oksford i wycieczka ze studentami z kolegium Serca Jezusowego. Jakże im zazdrościłem. Zazdrościłem im parków ze starodrzewami, których korę pokrywa ciemnozielony mech, wszędzie

kwietniki, a obok piękne budynki, ozdobione koronką ornamentów. I piękne, pełne zbytku ceremonie. Czy to nie śmieszne? Sokół, który zazdrości? Sokół, który przelatuje nad miastem uniwersyteckim, siada w parkach, chodzi po zwieńczeniach budynków. Tak, wszędzie byłem. Latałem i siadałem na wieżach gotyckich kościołów, ozdobnych drobną kamienną koronką. Zwiedziłem kolumny, podcienia, jak jakiś król-karzeł swój zaczarowany zamek. Zachwyciłem się każdym drobiazgiem, łukami, witrażami, a potem wzlatując coraz wyżej i wyżej, patrzyłem, jak fragmenty, kamienie, metal i szkło razem tworzą wspaniałą klejnot.

Wlatywałem po cichu przez otwarte okna i drzwi, leciałem pod szczytami strzelistych sklepień, bardzo blisko ornamentów, niemal muskałem je skrzydłami. Piękno tworzone tu przez wieki odbierałem jako swoje, może nawet bardziej niż którykolwiek

z dziekanów, profesorów lub studentów. Bo przecież mogłem być blisko tych pięknych rzeźb i ozdób, o wiele bliżej niż oni. Tak blisko jak niegdysiejsi kamieniarze i rzeźbiarze. Miałem też wystarczająco dużo czasu, by podziwiać perfekcję ich dzieła. Ale czy naprawdę miałem czas?

Początkowo nie myślałem o tym, później nie chciałem już się zastanawiać. Nad tym, że kiedyś skończy się to wszystko, że będę musiał oddać swoją pożyczoną, jak balowy strój, postać, że będę musiał zapomnieć o lataniu, tak samo jak popłakująca dziewczyna o szeleście jedwabiu. To było coś o wiele więcej niż umiejętność latania. Łęki, nuda, zazdrość, zmęczenie, strach i nerwowość, trwałe atrybuty mojego życia, należały już do przeszłości. Bywało mi zimno, by-

wałem głodny, zmęczony, przestraszony, ale jeśli zdołałem pokonać te stany, otrzymywałem w zamian ciepło, poczucie sytości, radość i przyjemność odkrywania. Byłem szczęśliwy, silny i wesoły. Szczęśliwy w sposób godny człowieka, tak jak szczęśliwy nigdy przedtem nie byłem. Niepokoilo mnie to, że Beth może mnie wytropić i pozbawić mojej obecnej postaci. Niekiedy dręczyły mnie wyrzuty sumienia, kiedy przypominały mi się strzępy codziennych, niewiele znaczących scen, jakie rozgrywały się między nami. Prawo natury, że wszystko ma swoją cenę, dobre samopoczucie sokoła wymaga poświęcenia życia nornicy, zaś ceną za moje szczęście jest pozostanie Beth na ziemi – to nie stanowiło dla mnie żadnego uspokojenia.

Jedyna rzecz, której bardzo mi brakowało w moim nowym życiu – to było pismo, w ogóle litery. Tak, książki, możliwość czytania i pisania, a więc zapisu. Właśnie to uczucie skłoniło mnie, bym ukrywając się, słuchał wykładów na uniwersytecie. Włożyłem wiele wysiłku w ustalenie, gdzie warto się zacząć. Najbardziej lubiłem wykłady z literatury i z matematyki. Szczególnie wówczas, kiedy czytano obszerne fragmenty tekstów lub wy-



Andrzej Grzechnik



prowadzano cały wzór. Podczas któregoś wykładu zdarzyło się, że jeden z pazurów zaczął mnie swędzić. Miałem ochotę pisać. Zadane pytanie wzbudziło moje zainteresowanie, ale bez papieru i pióra nie byłem w stanie przebrnąć przez cały tok myśli. Pewnego wieczora po raz pierwszy od dawna przyszło mi do głowy pytanie, co mógłbym robić, gdybym był człowiekiem. Pomyślałem o książkach, których nigdy nie przeczytałem, bowiem wcześniej nie interesowały mnie, pomyślałem o pytaniach, których nigdy sobie nie postawiłem. Pomyślałem o miłości, o idealnej miłości, przynoszącej odkupienie. O takiej, jaką dała mi Beth, a mimo to nie odkupiła mnie.

Żegnałem się z tym wszystkim przez tydzień. Z kamieniami, z rzeźbami, z poczuciem szczęścia wynikającego z zatajonej świadomości posiadania, a potem ruszyłem w kierunku domu. Frunąłem tak, jakbym chciał dotknąć każdą cząsteczkę powietrza.

Wróciłem do domu szybko, zbyt szybko. Widok miasta z lotu ptaka, opary unoszące się z domów nie zapowiadały niczego dobrego. Wszystkie moje szare, codzienne, rutynowe czynności, które wypełniały moje wcześniejsze życie, teraz czatowały, by złapać mnie znowu w swoją sieć.

Przenocowałem w pobliskim lesie, byłem niespokojny, budziłem się kilka razy. Następnego dnia, tuż po wschodzie słońca, kiedy – jak miałem nadzieję – na ulicach będzie mniej ludzi, pofrunąłem w kierunku mojego domu. Mój dom... Efekt wieloletniego oszczędzania, miejsce, gdzie w soboty i niedziele uprawiałem ogródek, dom schludny i codzienny, spoczywał pode mną jak klatka z otwartymi drzwiczkami, jak potrzask. Nie czułem zapachu przynęty, wiedziałem tylko, że są kraty. Dwa razy okrążyłem dom. Okno było otwarte, tak samo jak wówczas, kiedy odlatywałem, jak gdyby nic się nie zmieniło, jak gdyby dom przez wiele tygodni czekał tylko na mnie. Nagle, przeniesiony wszystkim, co mnie może czekać, strzeliłem wysokim lotem w górę, by uciec raz na zawsze.

Opadła na mnie sieć, pędząca chmura. Otuliła mnie, zniewoliła, sprawiła, że stałem się ślepy i głuchy. Czułem tylko, że gdzieś mnie niosą, niosą mnie, a ja jestem bezwładny, pozbawiony szansy odczuwania. A potem poczułem coś dziwnego, jakby porażenie prądem, jakby upadek w windzie i chmura znikła.

Siedziałem w salonie, we własnym fotelu, w zupełnie ludzkiej postaci. Moja lewa stopa była jeszcze trochę zdrętwiała, miałem nudności. Naprzeciw mnie siedziała Elisabeth o zielonych oczach, o oczach koloru morskiej toni. Siedziała wyciągnięta, z głową pochyloną do tyłu. Po raz pierwszy od początku naszej znajomości widziałem ją naprawdę zmęczoną, widziałem, że musi odpocząć. Przez moment była tak bardzo ludzka, że niemal zapytałem, czy nie przynieść jej filiżanki herbaty. Ale przemilczałem pytanie. Już dawno mieliśmy za sobą etap herbaty i grzanek. Przeciągnąłem się, poruszyłem palcami. Ja też byłem zmęczony, zmęczony i smutny.

– Miałaś szczęście, że wróciłem – powiedziałem widząc, jak powoli przychodzi do siebie. – Mogłem zostać sokołem na zawsze.

Uśmiechnęła się. Słabo, delikatnie, z rezygnacją i ledwo widocznie pokręciła głową.

– Wiedziałaś, że wrócisz albo przynajmniej miałam taką nadzieję. Przypuszczałam też, że przestraszysz się w ostatniej chwili. Mogłam pójść za tobą do Oksfordu, ale nie chciałam. Chciałam, żebyś był szczęśliwy, tak jak nigdy ze mną nie byłeś.

– Wiedziałaś? Wiedziałaś, że nie wrócę za miesiąc, co więcej, że może...

– Że może nigdy? Jak myślisz, dlaczego od wieków obserwujemy inne istoty, przybierając ich postać i zastanawiamy się nad nimi. Czy po to, żebyśmy mieli nie wiedzieć, co robią? Tak... istniało niebezpieczeństwo, że nie wrócisz, a jeżeli nawet tak, to bardzo późno, kiedy już nie miałabym sił, by odwrócić nasze podzielenie. Albo rozpadłbyś się gdzieś podczas lotu na niewidoczną duchową część i na bardzo wyraźnie widoczną część ludzkiego ciała...

Od samej tylko wizji wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia.

– A mimo to puściłaś mnie? I nie sprowadziłaś mnie z powrotem? I nawet nie chciałaś mnie ściągnąć z powrotem?

– Możliwe, że to ona zrozumiała mnie, a nie ja ją.

– Przecież o tym marzyłeś. Marzyłeś zawsze o czystej miłości, która wszystkiego żąda, ale i wszystko daje.

Kiwałem głową, nie wiedząc co począć, nie rozumiejąc. Po raz pierwszy rzeczywiście miałem wyrzuty sumienia.

– Jak dotąd o nic nie prosiłaś... – powiedziałem nieśmiało.

– Nie – uśmiechnęła się przepaszająco – nie prosiłam cię o nic. I nie będę. Zanim wyruszyłeś, zadałam ci jedno pytanie. Ja odpowiem, chociaż nie ty pytałeś. – Spojrzała na mnie jeszcze raz, tak jak dawniej, nieruchomo, wszystkowiedząco. – Tak, byłam z tobą szczęśliwa.

Nie powiedziała nic więcej. A cóż ja mogłem powiedzieć? Po pewnym czasie wstała, wygładziła na sobie fałdy ubrania.

– Chcesz patrzeć, jak znikam czy raczej przejdiesz do drugiego pokoju? – zapytała spokojnie, jakby interesowała ją coś z wieczornego programu telewizyjnego.

Spojrzałem na nią i od wielu miesięcy po raz pierwszy znów widziałem ją taką, jaką była dawniej. Patrzyła na mnie Rebeka z superreklamy, kobieta moich snów, patrzyła na mnie smutno jak Ingrid Bergman w scenie pożegnalnej „Casablanki”.

– Czy nie może być tak, żebyś po prostu wyszła przez drzwi? Żebyś odeszła, jak inna kobieta, o której wiem, że więcej nie powróci?

– Czy chcesz, żebym pocałowała cię na pożegnanie?

– Chciałbym, żebyś... zostawiła mi coś na pamiątkę.

Sięgnęła do szyi, zdjęła złoty łańcuszek. Jedyny drobiazg, jaki jej kupiłem.

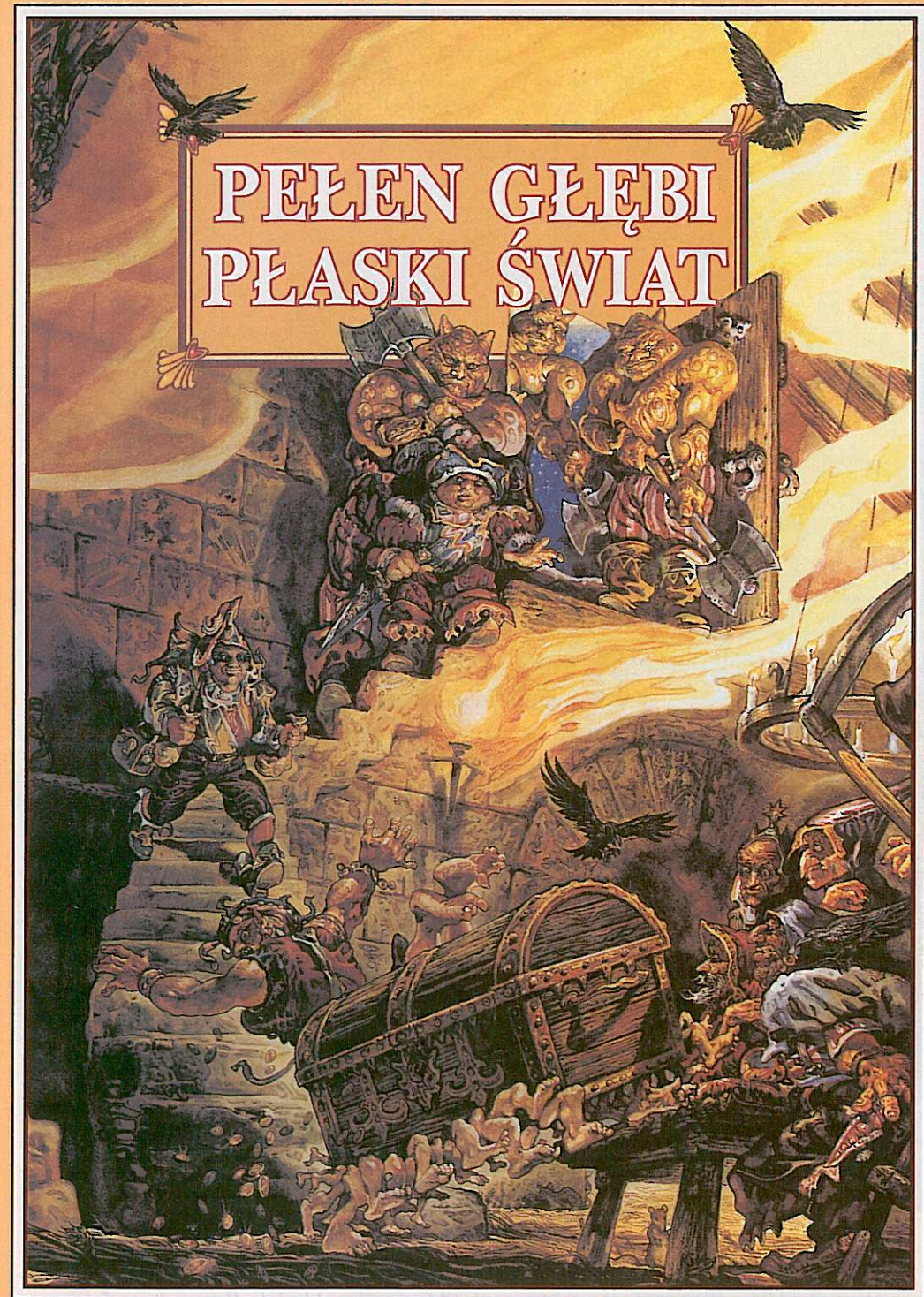
– Tam, gdzie teraz się wybieram, i tak nie mogłabym tego zabrać... Jest za ciężki – powiedziała. – Ale odtworzę to. Dobrze zapamiętałam ten łańcuszek.

Opuściła go powoli, uroczyście, kładąc go na mojej dłoni i jakby niechętnie dotknęła koniuszków moich palców.

Już dawno była gdzieś daleko, była poza drzwiami, poza ogrodem, ktoś może wie gdzie, kiedy powiedziałem:

– Bóg z tobą, Elisabeth.

Przełożył Szczepan Woronowicz



Czytelnikom słynnego wieloksięgu Terry'ego Pratchetta Świat Dysku kojarzy się przede wszystkim z ilustracjami Josha Kirby'ego. Pisarza i ilustratora poznali ze sobą redaktorzy wydawnictwa książkowego Corgi. Od wspólnej pracy przy książkach o Świecie Dysku datuje się przyjaźń i stała współpraca tych dwóch artystów. Jak twierdzi Terry Pratchett: „Ja wymyśliłem Świat Dysku, a Josh go stworzył”.

Josh Kirby urodził się w miasteczku Waterloo niedaleko Liverpoolu. Zawodu uczył się przez sześć lat w Liverpool City School of Art. Specjalizował się w komercyjnym portrecie. Jego pierwsza praca to wizerunki gwiazd i powiększone do ogromnych rozmiarów fotosy filmowe, rozwieszane na stacjach londyńskiego metra.



DISCWORLD

Następnie już jako wolny strzelec rozpoczął pracę przy projektowaniu okładek dla wydawnictwa „Panther Books” oraz wykonywał okładki i ilustracje dla miesięcznika „Authentic Science Fiction Magazine”. Po burzliwym życiu w środowisku bohemy londyńskiej, przeniósł się na stałe do hrabstwa Norfolk, gdzie zamieszkał w starym, pełnym duchów i tajemnic domostwie. Obecnie pracuje nad stworzeniem absolutnie własnej wizji grafiki wydawniczej. Nie chce, by mylono książki z jego okładkami z pracą innych artystów. Jako mistrzów wymienia Breughlów i Hieronymusa Boscha. Swoją styl określa jako science-fantasy.

ANDRZEJ BRZEZICKI







Ilustracje pochodzą z portfolio „Josh Kirby – DISCWORLD”, Paper Tiger an imprint of Dragon's World, Wlk. Brytania 1993. Zostały udostępnione przez dystrybutora Paper Tiger oraz innych albumów o tematyce fantastycznej: POL-BOOKS s.c., skr. poczt. 928, 42-200 Częstochowa.





NEBULA
1991
HUGO
1992

HISZPAŃSCY ŻEBRACY (I)

NANCY KRESS

(Beggars in Spain)

przełożyła Kinga Dobrowolska

Nancy Kress jest Amerykanką urodzoną w 1948 r. Zaczęła od pisania fantasy („The Prince of Morning Bells”, 1981; „The Golden Grove”, 1984), ale zwróciła na siebie uwagę dopiero zbiorem opowiadań „Trinity and Other Stories” wydanym w 1985 roku, w którym między innymi znalazło się nagrodzone Nebulą „Wśród wszystkich tych jasných gwiazd”. W tym też czasie Kress zainteresowała się bardziej SF. Charakterystyczne dla tej autorki jest asymilowanie różnych technik i tematów, dzięki czemu unika powtórzeń. Mikropowieść „Hiszpańscy żebracy”, za którą otrzymała Nebulę i Hugo, została uznana za jej największe osiągnięcie pisarskie. Bardzo rzadko zdarza nam się powtórzyć utwór, który pojawił się już gdzie indziej na rynku polskim, tym razem zdecydowaliśmy się jednak na druk „Hiszpańskich żebraków” publikowanych już w „IASFM” w maju 1992 roku. Tamto pismo miało niewielki zasięg, a rzecz jest tak znacząca, uhonorowana tyloma nagrodami (poza Hugo i Nebulą – Dell Reader’s Awards 1992), że po prostu szkoda było nie zaproponować jej naszym czytelnikom. Zawsze również cieszą nas w zagranicznych opowiadaniach akcenty polskie, a właśnie taki trafia się w „Hiszpańskich żebrakach”.

W „Fantastyce” przedstawiliśmy dotąd trzy opowiadania Nancy Kress: „Wyjaśnienia, Sp. z o.o.” (3/87), „Wśród wszystkich tych jasných gwiazd” (3/87), „Ludzie jak my” (6/90).

D.M.

Rozdział I

Siedzieli sztywno na fotelach w stylu Eames – dwoje ludzi, którzy wcale nie mieli ochoty tu przebywać. A może tylko jedno z nich nie chciało, drugie zaś miało mu to za złe. Doktor Ong spotykał już takie pary. Wystarczyły dwie minuty, by się upewnić: to kobieta wrzała wściekłym, choć niemym oporem. Przegra, ale mężczyzna długo będzie musiał płacić za swe zwycięstwo – nieskończonym łańcuchem drobnych dokuczliwości.

– Zakładam, że wszystkie finansowe formalności mamy już za sobą – zaczął przyjaźnie Camden. – Zatem przejdźmy od razu do rzeczy, doktorze.

– Oczywiście – zgodził się Ong. – Zaczniemy może od bliższego sprecyzowania genetycznych modyfikacji, jakie chcą państwo uzyskać dla swego dziecka.

Kobieta poruszyła się gwałtownie. Nie miała jeszcze trzydziestki – najwyraźniej była jego drugą żoną – ale jej wygląd charakteryzowało pewne znużenie, jak gdyby obcowanie z Camdenem nadważyło jej siły. Nietrudno było w to uwierzyć. Pani Camden była szatynką o brązowych oczach, jej cera miała lekko śniady odcień, co mogłoby wyglądać ładnie, gdyby policzki barwił choć cień rumieńca. Na głowie miała brązowy kapelusz – ani elegancki, ani pospolity. Jej buty przywodziły na myśl obuwie ortopedyczne. Ong zerknął do notatek, żeby sprawdzić imię: Elizabeth. Mógłby się założyć, że mało kto je zapamiętuje.

Na fotelu obok Roger Camden emanował niespokojną vitalnością. Dobiegał pięćdziesiątki. Jego głowa, kształtem przypominająca pocisk, niezbyt pasowała do starannie przystryżonej fryzury. Ong nie potrzebował zaglądać do notatek, żeby coś o nim wiedzieć. Karykatura tej przypominającej pocisk głowy zdobiła okładkę wczorajszego wydania „Wall Street Journal”. Camden był czołową postacią inwestycji w skrzyżno-granicznych atolach danych. Ong nie był pewien, o co właściwie chodziło.

– To ma być dziewczynka – Elizabeth Camden odezwała się pierwsza. Tego Ong się nie spodziewał. Jej akcent przyniósł kolejną niespodziankę: arystokratyczno-brytyjski. – Ma być blondynką. Oczy zielone. Wysoka. Smukła.

– Państwo z pewnością zdajecie sobie sprawę, że najprościej jest uzyskać cechy zewnętrzne – Ong uśmiechnął się. – Jeśli zaś chodzi o smukłą sylwetkę, możemy jedynie nadać dziecku pewną genetyczną skłonność w tym kierunku. Oczywiście, sposób odżywiania...

– Tak, tak – wtrącił Roger Camden – to oczywiste. Poza tym ma być inteligentna. Bardzo inteligentna. I śmiała.

– Przykro mi, panie Camden. Czynniki osobowościowe nie są jeszcze na tyle zbadane, aby można było sobie pozwolić na genetyczne...

– Tylko sprawdzałem – wtrącił Camden z uśmiechem, który, jak przypuszczał Ong, miał sprawiać wrażenie bez troski.

– I uzdolniona muzycznie – dorzuciła Elizabeth Camden.

– Powtarzam, pani Camden, pewna predyspozycja w kierunku muzykalności to jedyne, co możemy zagwarantować.

– Dobre i to – powiedział Camden. – No i oczywiście pełny zakres korekt na wszystkie potencjalne choroby dziedziczne.

– Rzecz jasna – zgodził się Ong. Zapadła chwila milczenia. Jak dotąd, lista wymagań przedstawiała się dosyć skromnie, jeśli wziąć pod uwagę ogromne pieniądze Camdena. Zwykle trzeba było przekonywać klientów, żeby zrezygnowali ze wzajemnie sprzecznych modyfikacji genetycznych i przesadnych korekt albo nierealistycznych oczekiwań. Ong czekał. Napięcie tężało w pokoju jak upał.

– A także – odezwał się w końcu Camden – wyeliminowanie potrzeby snu.

Elizabeth Camden gwałtownie odrzuciła głowę na bok i zapatrzyła się w okno.

Ong wziął w ręce magnetyczny przycisk do papierów. Siłą woli nadał głosowi przyjazny ton.

– Czy wolno mi zapytać, skąd pan wie, że istnieje program takiej modyfikacji genetycznej?

– Zatem nie zaprzecza pan, że istnieje – uśmiechnął się Camden. – Jestem skłonny zapłacić każdą cenę.

– Chciałbym jednak wiedzieć, skąd pan wie o istnieniu tego programu? – Ong usiłował zachować spokój.

Camden sięgnął do kieszeni. Jedwab ubrania pomarszczył się i ponaciągał. Najwyraźniej garnitur i jego właściciel należeli do dwóch różnych sfer. Ong przypomniał sobie, że Camden jest jagaistą, osobistym przyjacielem samego Kenzo Yagai. Camden wręczył Ongowi wydruk z komputera zawierający główne założenia programu.

– Może pan sobie darować szukanie przecieku w systemie ochronnym banku danych, doktorze, bo go pan nie znajdzie. Na pociechę dodam, że nie znajdzie go też nikt inny. No, dobrze. – Nagle pochylił się do przodu. Zmienił ton. – Wiem, że do tej pory stworzyliście dwadzieścioro dzieci, które w ogóle nie potrzebują snu. I jak do tej pory dziewiętnascioro z nich cieszy się dobrym zdrowiem, wysoką sprawnością intelektualną i doskonale rozwija się pod względem psychicznym. Fizycznie zresztą też biją na głowę zwykłe dzieci. Najstarsze ma dopiero cztery lata, a potrafi już czytać w dwóch językach. Wiem też, że za kilka lat wypuścicie tę modyfikację na rynek. Chcę tylko, żeby moja córka otrzymała szansę t e r a z. Cena nie gra roli.

Ong wstał.

– Nie jestem upoważniony do samodzielnych negocjacji w tej sprawie, panie Camden. Ani sprawa kradzieży danych...

– ...która wcale nie była kradzieżą. Wasz system spontanicznie wypuścił bankę z tą informacją do systemu publicznego. I życzę dobrej zabawy, jeśli będziecie chcieli udowodnić, że tak nie było.

– ...ani też oferta zakupu tej właśnie modyfikacji nie leży w zakresie moich kompetencji. Obie te sprawy muszą zostać omówione przez Zarząd Instytutu.

– Ależ oczywiście, oczywiście. A kiedy będę mógł z nimi porozmawiać?

– Pan?

Camden, nie wstając z fotela, spojrzał mu w oczy. Ongowi przyszło na myśl, że z tej pozycji niewielu ludzi potrafiłoby spoglądać tak pewnie.

– Naturalnie. Chciałbym przedstawić swoją ofertę komuś, kto ma dość kompetencji, by ją zaakceptować. Chodzi przecież po prostu o dobry interes.

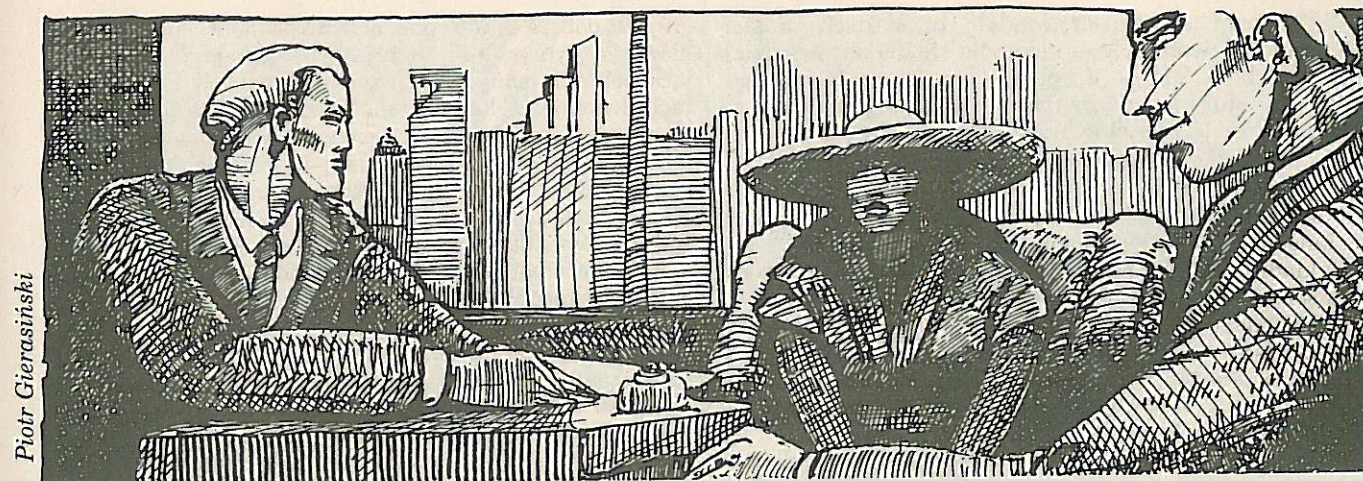
– To nie jest tylko i wyłącznie transakcja handlowa, panie Camden.

– Nie jest to także tylko i wyłącznie przedmiot badań naukowych – odparował Camden. – Wasza instytucja ma przecież przynosić dochody. I korzystacie przy tym z ulg podatkowych przysługujących tylko firmom, które respektują pewne regulacje prawne.

Przez chwilę Ong nie mógł się zorientować, co Camden może mieć na myśli.

– Pewne regulacje prawne...?

– Które mają za zadanie ochronę praw mniejszości, także łączących na wasze utrzymanie. Wiem, że nie wykorzystywano ich jeszcze do obrony praw klientów, z wyjątkiem, być może, czerwonej izolacji na kablach instalacji energii Y. Ale w każdej chwili można je wypróbować, doktorze Ong. Mniejszości mają prawo korzystać z tych samych ofert handlowych, co ogół. Wiem, że Instytut nie



Piotr Gierasiński

byłby zadowolony z procesu sądowego, doktorze. Ale wśród rodzin, w których przeprowadzono genetyczne testy beta, nie ma ani kolorowych, ani Żydów.

– Rozprawa sądowa...? Ale przecież pan też nie jest ani kolorowym, ani Żydem!

– Należę do innej mniejszości. Jestem Amerykaninem polskiego pochodzenia. Kiedyś nazywałem się Kamiński. – Camden w końcu wstał. I uśmiechnął się ciepło. – Niech pan posłucha. To przecież śmieszne. Pan wie i ja wiem, obaj wiemy, że dziennikarze i tak się do tego dorwają. I wie pan też, że nie mam ochoty pozywać was do sądu pod tak niepoważnym zarzutem, mając na uwadze chociażby przedwczesny i nieprzyjemny rozgłos, jaki towarzyszyłby tej sprawie. Nie chcę nikogo straszyć, może mi pan wierzyć. Chcę jedynie, żeby moja córka mogła skorzystać z tak wspaniałego osiągnięcia. – Wyras jego twarzy zmienił się. Ong ujrzał na niej coś, czego nigdy by się nie spodziewał: smutną zadumę. – Doktorze, czy wie pan, ile mógłbym dokonać, gdybym nie musiał spać?

– Przecież i tak prawie wcale nie sypiasz – wtrąciła szorstko pani Camden.

Camden spojrzał na nią, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej istnieniu.

– Nie, moja droga, nie chodzi mi o to, co jest teraz. Ale kiedy byłem młody... w college'u... Mógłbym wtedy skończyć szkołę i jednocześnie utrzymywać... No cóż, teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Liczy się jedynie to, abyśmy doszli do porozumienia, ja i ten pański zarząd.

– Panie Camden, proszę w tej chwili opuścić mój gabinet.

– Zanim straci pan cierpliwość do mojej arogancji? Nie byłby pan pierwszy. Czekam na termin spotkania do końca przyszłego tygodnia. Czas i miejsce ustalcie sami. Proszę tylko przekazać szczegóły mojej sekretarce, Dianie Clavers. Ja się dostosuję.

Ong nie odprowadził ich do drzwi. Czuł, jak za uszami pulsuje mu krew. W drzwiach Elizabeth Camden przystanęła i odwróciła się.

– Co się stało z dwudziestym?

– Co takiego?

– Z dwudziestym dzieckiem. Mój mąż powiedział, że dziewiętnascioro rozwija się normalnie i zdrowo. Co się stało z dwudziestym?

Nadciśnienie rośnie szybko, było mu coraz goręcej. Ong wiedział, że nie powinien odpowiadać, bo Camden z pewnością znał odpowiedź, tylko nie powiedział nic żonie. Ale wiedział też, że on, Ong, i tak jej odpowie, choć później będzie gorzko żałować tej chwili słabości.

– Dwudzieste dziecko nie żyje. Związek między rodzicami okazał się nietrwały. Rozwiedli się, kiedy kobieta była

w ciąży. Później nie była w stanie znieść dwudziestocetnoro godzinnego płaczu dziecka, które nigdy nie śpi.

Elizabeth Camden szeroko otworzyła oczy.

– Zabiła je?

– To był wypadek – rzucił krótko Camden. – Trochę za mocno szarpnęła maluchem. – Rzucił Ongowi nachmurzone spojrzenie. – Opiekunki, doktorze. Na trzy zmiany. Powinności wybierać rodziny, które stać na zatrudnienie opiekunek na trzy zmiany.

– To straszne! – wybuchnęła pani Camden, a doktor Ong nie mógł się zorientować, czy chodzi jej o śmierć dziecka, brak opiekunek, czy też o lekkomyślność pracowników Instytutu. Zamknął oczy.

Kiedy wyszli, wziął dziesięć miligramów cyklobenzapryny III. Na ból w krzyżu, tylko i wyłącznie na ból w krzyżu. Stara rana znów zaczęła rwać. Potem przez długi czas stał w oknie, nie wypuszczał z dłoni magnetycznego przycisku do papierów. Czuł, że się uspokaja, że ucisk w skroniach z wolna ustępuje. Poniżej fale Jeziora Michigan uderzały leniwie o nabrzeże. Wczoraj policja w czasie kolejnego nalotu wypędziła stąd bezdomnych i jeszcze nie zdążyli wrócić. Pozostał po nich śmietnik, rozrzucone między krzewami nadbrzeżnego parku wystrzępione koce, gazety, plastikowe torby jak żałosne, podeptane chorągwie. Prawo nie zezwalało na sypianie w parku, zabraniało wchodzić tu bez pozwolenia właściciela. Prawo nie zezwalało być bezdomnym, bez stałego miejsca zamieszkania. Ong przyglądał się, jak dozorczy parku metodycznie sortują gazety i wrzucają je do samobieżnych pojemników.

Podniósł słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do prezesa Zarządu Instytutu Biotechniki.

Wokół wypolerowanego, mahoniowego stołu w sali konferencyjnej zasiadło czterech mężczyzn i trzy kobiety. „Doktor, prawnik i wódz indiański” – pomyślała Susan Melting przenosząc wzrok z Onga na Sullivan i Camdena. Uśmiechnęła się. Ong przyuważał ten jej uśmiech i spochmurniał. Nadęty dupek. Judy Sullivan, należąca do zespołu adwokatów Instytutu, odwróciła się, by szepnąć coś adwokatowi Camdena, szczupłemu, nerwowemu człowieczkowi, który wyglądał jak czyjaś własność. Właściciel, Roger Camden, wódz indiański we własnej osobie, był najwyraźniej zadowolony. Śmiercionośny człowieczek – ciekawe, ile musiał poświęcić, żeby startując od zera dojść do takiej pozycji? Ona, Susan, z pewnością nigdy się tego nie dowie. Promieniał, jaśniał cały radością, zupełnie inaczej niż to zazwyczaj bywało. Zwykle przyszli tatusiowie i mamusi – a zwłaszcza tatusiowie – zachowywali się tutaj jak podczas fuzji spółek akcyjnych. Camden był w nastroju urodzinowym.

W pewnym sensie odpowiadało to sytuacji. Susan uśmiechnęła się do niego i ucieszyła się, bo odpowiedział jej uśmiechem. Trochę drapieżnie, ale z tym odcieniem zachwytu, który można by nazwać niewinnym. Ciekawe, jaki byłby w łóżku? Ong rzucił jej majestatyczne, choć nieco przyciężkie spojrzenie i wstał, by zagać.

– Panie i panowie, sądzę, że możemy zaczynać. Chciałbym najpierw przedstawić wszystkich tu obecnych. Roger Camden i jego żona to oczywiście nasi klienci. John Jaworski, adwokat pana Camdena. Panie Camden, to jest Judy Sullivan, szef sekcji prawnej Instytutu, a to Samuel Krenshaw, zastępujący naszego dyrektora, doktora Brada Marsteina, który, niestety, nie może dziś być z nami. A to doktor Susan Melling, która opracowała genetyczną modyfikację eliminującą potrzebę snu. A teraz jeszcze kilka punktów prawnych, które mogą zainteresować obie strony...

– Zapomnijmy na chwilę o kontraktach – wpadł mu w słowo Camden – i pomówmy trochę o tej bezsenności. Chciałbym najpierw zadać kilka pytań.

– Co chciałby pan wiedzieć? – zapytała Susan.

Oczy Camdena jaśniały błękitem pośród nieco topornych rysów twarzy. Nie tak go sobie wyobrażała. Pani Camden, która najwyraźniej nie miała ani imienia, ani adwokata, jako że Jaworski został przedstawiony tylko jako reprezentant jej męża, siedziała z ponurą czy może raczej przestraszoną miną. Susan nie potrafiła tego rozpoznać.

– W takim razie poprosimy doktor Melling o krótką prezentację – rzucił kwaśno Ong.

Susan osobiście wolałaby system pytanie-odpowiedź, żeby się przekonać, o co Camden zechce pytać. Ale dosyć już nadenerwowała Onga jak na jedno posiedzenie. Pośpiesznie wstała z miejsca.

– Pozwól państwu, że rozpocznę zwięzłym opisem procesu snu. Od dawna wiadomo, że we śnie można wyodrębnić trzy fazy. Pierwsza z nich to sen wolnofalowy, podczas którego na encefalografie pojawiają się fale delta. Druga faza to sen paradoksalny, dla którego charakterystyczne są szybkie ruchy gałek ocznych. Ten jest lepszy i produkuje większość marzeń sennych. Oba razem tworzą sen zasadniczy. Trzeci rodzaj snu to sen opcjonalny, zwany tak dlatego, że jego brak nie wywołuje żadnych negatywnych skutków. Niektórzy ludzie, ci najkrócej śpiący, potrafią się zupełnie bez niego obejść, śpiąc po trzy, cztery godziny na dobę.

– To tak jak ja – odezwał się Camden. – Wypracowałem to sobie przez autotrening. Czy wszyscy mogą tak zrobić?

Wygląda na to, że to jednak będzie pytanie-odpowiedź.

– Nie. Mechanizmy sterujące potrzebą snu zachowują pewną płynność, lecz nie jest ona jednakowa dla wszystkich. Twór siatkowaty w pniu mózgowym...

– Nie sądzę, abyśmy musieli aż tak wdawać się w szczegóły, Susan. Trzymajmy się podstawowych faktów – wtrącił Ong.

– Twór siatkowaty reguluje równowagę między impulsami przekazywanymi przez neurony a peptydami, które wywołują potrzebę snu, prawda?

Susan nie mogła się opanować – uśmiechnęła się. Camden, ostry jak laser, bezlitosny rekin finansjery, wyglądał teraz jak najpoważniejszy w świecie trzecioklasista, który oczekuje pochwały za dobrze odrobioną lekcję. Ong spochmurniał jeszcze bardziej. Pani Camden wyglądała przez okno.

– Tak, zgadza się, panie Camden. Widzę, że się pan starannie przygotował.

– Chodzi przecież o moją córkę – odpowiedział Camden, a Susan szybko się opanowała. Kiedy ostatnio słyszała w czymś głosie podobny ton nabożnego szacunku? Wydawało się, że nikt oprócz niej nie zdołał go wychwycić.

– No dobrze – mówiła dalej Susan – wie pan już, że główną przyczyną, dla której ludzie śpią, jest narastająca potrzeba snu wytwarzana w mózgu. W ciągu ostatnich dwudziestu lat ustalono ponad wszelką wątpliwość, że nie ma żadnych innych przyczyn. Ani sen wolnofalowy, ani paradoksalny nie spełniają w organizmie żadnych funkcji, które nie mogłyby zostać spełnione w czasie czuwania. Podczas snu w organizmie zachodzi wiele procesów, ale wszystkie one mogą równie dobrze przebiegać w czasie czuwania – jeśli tylko dokona się odpowiednich korekt hormonalnych.

Niegdyś sen odgrywał ważną rolę w procesie ewolucji. Kiedy tylko żarłok przedssaczy napęlił sobie brzuch i przestał tryskać sperma, zapadał w sen, który utrzymywał go w bezruchu, i to z dala od drapieżników. Sen był dlań sposobem na przetrwanie. Ale współcześnie ten mechanizm to taki sam atawizm jak wyrostek robaczkowy. Włącza się co noc, choć potrzeba dawno już została wyeliminowana. Zatem my wyłączamy go u samego źródła, w genach.

Ong skrzywił się nieznacznie. Nie znosił, kiedy przesadnie upraszczała. Albo może nie mógł znieść jej beztrojski. Gdyby to Marstein przedstawiał problem, nie byłoby mowy o żarłoku przedssaczym.

– A co z potrzebą marzeń sennych? – zapytał Camden.

– Nie są niezbędne. To atawistyczny mechanizm bombardujący korę mózgową impulsami, które mają utrzymać ją w stanie półczuwania, na wypadek gdyby zaatakował jakiś drapieżnik. Czuwanie spełnia tę rolę znacznie lepiej.

– Dlaczego zatem od razu nie wytworzyliśmy stanu stałej czujności? Już u zarania ewolucji?

Sprawdzał ją. Susan posłała mu szeroki uśmiech. Ubawiła ją taka czelność.

– Już panu mówiłam. Sen stanowił zabezpieczenie przed drapieżnikami. Ale kiedy atakuje współczesny drapieżnik – powiedzmy jakiś inwestor skrzyżno-granicznych atoli danych – bezpieczniej jest nie spać.

– A wysoki procent snu paradoksalnego u płodów i niemowląt? – strzelił Camden.

– To wciąż ten sam poewolucyjny kac. Mózgowie rozwija się równie dobrze bez niego.

– A regeneracja tkanki nerwowej, która zachodzi w czasie snu wolnofalowego?

– Rzeczywiście, zachodzi. Ale równie dobrze może zachodzić i w czasie czuwania, jeżeli odpowiednio przystosujemy DNA. O ile nam wiadomo, sprawność tkanki nerwowej na tym nie ucierpi.

– A wydzielanie enzymu wzrostowego, które w największym nasileniu występuje w czasie snu wolnofalowego?

– Zachodzi i w czasie czuwania – Susan spojrzała na Camdena pełną autentycznego podziwu. – Genetyczne korekty wiążą je z innymi czynnościami szyszynki.

– A jeśli chodzi...

– O efekty uboczne? – wtrąciła szybko pani Camden. Kąciki jej ust wyraźnie opadły. – Jakie są te cholerne skutki uboczne?

Susan odwróciła się w stronę Elizabeth Camden. Zupełnie o niej zapomniała. Młoda kobieta wpatrywała się w nią brzydko krzywiąc usta.

– Cieszę się, że pani o to pyta, pani Camden. Gdyż skutki uboczne, oczywiście, istnieją – Susan przerwała na chwilę, miała niezłą zabawę. – Na tle swoich rówieśników dzieci, które nie muszą spać, a którym nie podwyższano genetycznie IQ, są inteligentniejsze, lepiej radzą sobie z rozwiązywaniem problemów i są o wiele bardziej radosne.

Camden wyjął papierosa. Ten archaiczny i obrzydliwy nałóg zaskoczył Susan. Po chwili jednak zorientowała się,



Piotr Gierasiński

że zrobił to rozmyślnie. Roger Camden wykonał ten ostentacyjny popis, żeby odwrócić uwagę od siebie i własnych uczuć. Miał złotą zapalniczkę z monogramem, niewinnie zbyt kłowną.

– Pozwól państwu, że wyjaśnię to bliżej – ciągnęła Susan. – W czasie snu paradoksalnego pień mózgowy nieustannie bombarduje korę przypadkowymi impulsami nerwowymi. Marzenia sennie występują dlatego, że niebezpieczna napastowana kora mózgowia za pomocą wywołanych obrazów i wspomnień usiłuje nadać im jakiś sens. Czynność ta pochłania ogromne ilości energii. Jeśli oszczędzić mu tego wysiłku, mózg osoby nie śpiącej będzie się zużywał znacznie wolniej, a dzięki temu lepiej będzie sobie radził z bodźcami płynącymi z rzeczywistości. Stąd wynika wyższa inteligencja i większa zdolność rozwiązywania problemów.

Co więcej, już od sześćdziesięciu lat wiadomo lekarzom, że środki antydepresyjne, które wpływają na poprawę nastroju, działają podobnie: eliminują całkowicie fazę snu paradoksalnego. W ciągu ostatnich dziesięciu lat udowodniono, że proces ten działa w obie strony: jeżeli wyeliminujemy fazę snu paradoksalnego, ludzie przestają wpadać w depresję. Nie śpiące dzieci są wesołe, wylewne... radosne. Tak, to słowo pasuje tu najlepiej.

– Jakim kosztem? – spytała pani Camden. Trzymała głowę prosto, ale widać było, że z całej siły zaciska szczęki.

– Żadnym. Nie wykryliśmy żadnych negatywnych skutków ubocznych.

– Jak dotąd – rzuciła pani Camden.

– Jak dotąd – Susan wzruszyła ramionami.

– Ale najstarsze ma dopiero cztery lata!

Ong i Krenshaw przyglądali się jej uważnie. Susan zdołała uchwycić moment, kiedy Camdenowa zdała sobie z tego sprawę. Opadła z powrotem na fotel, szczelnie otulając się futrem. Jej twarz znów przybrała poprzedni, nieokreślony wyraz.

Camden nawet nie spojrzał na żonę. Wydmuchnął obłoczek tytoniowego dymu.

– Wszystko odbywa się jakimś kosztem, doktor Melling. Susan spodobał się sposób, w jaki wymawiał jej nazwisko.

– Na ogół tak. Szczególnie jeśli chodzi o modyfikacje genetyczne. Ale mówię panu uczciwie, tym razem nic takiego nie udało nam się wykryć, pomimo wielu starań – uśmiechnęła się, spoglądając mu prosto w oczy. – Czy naprawdę nie może pan uwierzyć, że ten jeden, jedyny raz wszechświat podarował nam coś tak doskonale i absolutnie pozytywnego – coś, co może stać się ogromnym krokiem w przód, bez żadnych ukrytych kar?

– To nie wszechświat, a raczej intelekt ludzi takich jak pani – powiedział Camden, zaskakując Susan jeszcze bardziej niż dotąd. Ich spojrzenia spotkały się. Coś zakłuło ją w piersiach.

– Sądzę – wtrącił sucho Ong – że filozofia wszechświata pozostaje na razie poza kręgiem naszych zainteresowań. Panie Camden, jeśli nie ma pan więcej pytań natury medycznej, możemy wrócić do kwestii prawnych, które poruszyli pani Sullivan i pan Jaworski. Dziękuję pani, doktor Melling.

Susan skinęła mu głową. Już nie spojrzała więcej na Camdena, lecz wiedziała doskonale, co mówił, jak wyglądał i że był tuż obok.

Dom wyglądał niemal dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała: wielki prawie-Tudor nad brzegami Michigan, na północ od Chicago. Od bramy aż do samej rezydencji posiadłość porastały gęsto drzewa, zaś od strony rozkołysanej falami wody pozostawiono otwartą przestrzeń. Uspioną trawę pstrzyły łatki śniegu. Instytut Biotechniki współpracował z Camdenami już od czterech miesięcy, ale Susan była tu po raz pierwszy.

Kiedy szła w kierunku domu, usłyszała za plecami nadjeżdżający samochód. Jakaś ciężarówka pięła się krętym podjazdem prowadzącym do służbowego wejścia. Jeden z mężczyzn nacisnął dzwonek, drugi zaczął zdejmować z platformy opakowany w plastik koc dla dziecka. Białe, w różowe i żółte króliczki. Susan na chwilę przymknęła powieki.

Camden otworzył jej osoboście. Widziała, że usiłuje ukryć lęk.

– Trzeba było dać mi znać, Susan. Wyjechałbym po panią do miasta.

– Nie chciałam, żeby pan po mnie przyjeżdżał. Czy zastałam panią Camden?

– Tak, jest w salonie.

Camden poprowadził ją do przestronnego pomieszczenia z kamiennym kominkiem. Umieblowano je w stylu rustykalno-angielskim. Na ścianach wisiało mnóstwo rycin z podobiznami psów i łodzi, a wszystko o ponad pół metra za wysoko. Wyglądało na to, że Elizabeth Camden urządziła pokój osoboście. Kiedy Susan weszła, tamta nawet nie uniosła się z fotela.

– Pozwól państwu, że będę mówić krótko i zwięźle – zaczęła Susan. – Nie chcę zbyt przeciągać sprawy. Dostaliśmy już wyniki testów aminocenetycznych, ultradźwiękowych i testu Langsona. Zarodek ma się dobrze, jak na swoje dwa tygodnie rozwija się prawidłowo.

Wszczep do ścianki macicy przyjął się doskonale. Ale pojawiła się pewna komplikacja.

– Jaka? – zapytał Camden. Wyjął papierosa, spojrzał na żonę i odłożył go nie zapalając.

– Pani Camden – mówiła cicho Susan – przez czysty przypadek miała w tym miesiącu jajczkowanie z obu jajników. Jedno z jajeczek wyjęliśmy do operacji genetycznej. Drugie, także zupełnie przypadkowo, zostało zapłodnione i zagnieżdżyło się w macicy. Nosi pani w sobie dwa płody.

– Bliźnięta? – pani Camden znieruchomiała.

– Nie – odrzekła Susan. Po chwili zdała sobie sprawę, co powiedziała. – To znaczy: tak. To są bliźnięta, ale nie identyczne. Nie będą do siebie podobne bardziej niż to zwykle bywa u rodzeństwa. To drugie pozostanie, że się tak wyrażę, normalne. A wiem, że nie chcieliście państwo tak zwanego normalnego dziecka.

– Nie, nie chcieliśmy – potwierdził Camden.

– Ja chciałam – odrzekła Elizabeth Camden.

Camden rzucił jej nagle spojrzenie, którego znaczenia Susan nie potrafiła rozszyfrować. Znow wyjął papierosa. Widziała profil jego twarzy. Intensywnie zastanawiał się. Była niemal pewna, że zapalił zupełnie bezwiednie.

– Czy obecność drugiego płodu nie wpłynie niekorzystnie na dziecko?

– Nie – odrzekła Susan. – Oczywiście, że nie. One po prostu... koegzystują.

– Czy można go usunąć?

– Tak, ale wtedy ryzykujemy usunięcie obu. Usunięcie niemodyfikowanego płodu może spowodować w łożysku zmiany, które wywołają samoistne poronienie tego drugiego. – Wciągnęła głęboko powietrze. – Naturalnie, jest i drugie wyjście. Możemy zacząć cały proces jeszcze raz od początku. Ale, jak już mówiłam, mieliście państwo sporo szczęścia, że do zapłodnienia *in vitro* doszło już przy drugiej próbie. Niektóre pary muszą próbować osiem, a nawet dziesięć razy. Gdybyśmy zaczęli drugi raz, cały proces potrwałby zapewne znacznie dłużej.

– Czy obecność drugiego płodu nie odbije się ujemnie na rozwoju mojej córki? Ograniczony dopływ substancji odżywczych czy coś w tym rodzaju? A może będzie miał wpływ na późniejszy przebieg ciąży?

– Nie. Możliwe tylko, że nastąpi przedwczesny poród. Dwa płody zajmują w macicy znacznie więcej miejsca, więc kiedy robi się za ciasno, termin porodu może ulec przyspieszeniu.

– O ile wcześniej? Czy na tyle, by uniemożliwić jej przeżycie?

– Najprawdopodobniej nie.

Camden znow się zaciągnął dymem. W drzwiach stanął jakiś mężczyzna.

– Telefon z Londynu, proszę pana. James Kendall na polecenie pana Yagai.

– Zaraz odbiorę. – Camden wstał. Susan obserwowała, jak studiuje uważnie twarz żony. Wreszcie zwrócił się do niej:

– W porządku, Elizabeth. W porządku. – I wyszedł z pokoju.

Przez dłuższą chwilę obie kobiety siedziały w milczeniu. Susan uświadomiła sobie własne rozczarowanie: to nie był taki Camden, jakiego spodziewała się ujrzeć. Zdała sobie sprawę, że Elizabeth Camden przygląda jej się z rozbawieniem.

– A tak, pani doktor. Jest właśnie taki.

Susan nie odpowiedziała.

– Absolutnie apodyktyczny. Ale nie tym razem – zaśmiała się miękko, podekscytowana. – Dwojaczki. Czy pani... Czy pani wie, jakiej jest to drugie?

– Oba płody są żeńskie.

– Wie pani, zawsze chciałam mieć dziewczynkę. I będę ją mieć.

– Czy to znaczy, że zamierza pani donosić tę ciążę?

– Tak. Dziękuję za przybycie, pani doktor.

Tym samym Susan została odprawiona. Nikt nie odprowadził jej do drzwi. Ale kiedy wsiadała do samochodu, Roger Camden wybiegł za nią. Był bez marynarki.

– Susan! Chciałbym pani podziękować, że zadała pani sobie tyle trudu i przyjechała powiedzieć nam to osobiście.

– Już mi pan podziękował.

– No tak. Czy jest pani pewna, że drugi płód nie zagraża mojej córce?

– Również genetycznie zmieniony płód nie stanowi zagrożenia dla naturalnie poczętego – odrzekła z naciskiem Susan.

Uśmiechnął się. Kiedy się znów odezwał, jego głos był cichy i pełen zadumy.

– Pani uważa, że powinno mnie to obchodzić równie mocno. Ale nie obchodzi. Więc dlaczego miałbym udawać? A w szczególności przed panią?

Susan otworzyła drzwiczki samochodu. Nie była jeszcze gotowa, a może się rozmyśliła. Camden pochylił się, żeby zatrzasknąć za nią drzwi, a w jego ruchach nie było nic z kokieterii, ani śladu lizusowskiej przymlinności.

– Chyba muszę kupić drugi kojec.

– Tak.

– I drugie krzeselko do samochodu.

– Tak.

– Ale nie będzie trzeba drugiej opiekunki na noc.

– To już zależy od pana.

– I od pani. – Pochylił się nagle i pocałował ją, pocałunkiem tak uprzejmym i pełnym respektu, że Susan poczuła się zaszokowana. Ani otwarta zmysłowość, ani próba podboju nie zdołałyby wywrzeć na niej tak silnego wrażenia. Camden nie dał jej szansy na reakcję, zatrzasknął drzwiczki i ruszył w stronę domu. Susan skierowała samochód w stronę bramy, zaciśnięte na kierownicy ręce drżały, dopóki napięcie nie ustąpiło miejsca rozbawieniu. To rzeczywiście był rozmyślnie bezosobowy, pełen szacunku pocałunek, starannie wyreżyserowana enigma. Ale nic nie mogło gwarantować lepiej, że po nim musi nastąpić kolejny.

Przez chwilę zastanawiała się, jak Camdenowie nazwą swoje córki.



Doktor Ong szedł zamasztytym krokiem przez słabo oświetlony szpitalny korytarz. Z dyżurki wyjrzała jedna z pielęgniarek, jakby chciała go zatrzymać – był przecież środek nocy, nie pora na odwiedzin – ale widząc wyraz jego twarzy, zniknęła z powrotem we wnętrzu pokoju. Tuż za rogiem znajdował się wizjer, przez który można było zajrzeć do sali noworodków. Ku irytacji Onga stała tam Susan Melling, przyciskając twarz do szyby. Co gorsza, płakała.

Ong zdał sobie sprawę, że nigdy nie lubił tej kobiety. A może w ogóle żadnej. Nawet te o nieprzecietnej umysłowości nie mogą nic poradzić na to, że w każdej chwili ta ich przekłeta uczuciowość może zrobić z nich kompletne idiotki.

– Proszę spojrzeć – odezwała się Susan z cichym śmiechem, gwałtownym gestem zasłaniając usta. – Panie doktorze, proszę spojrzeć.

Za szybą stał Roger Camden, w fartuchu i w masce, tuląc do siebie niemowlę w białej koszulce, zawinięte w różowy kocyk. Oczy Camdena – teatralnie niebieskie, bo przecież normalnie mężczyźni nie miewają takich przeźrliwie jasnych oczu – jaśniały radością. Dziecko miało duże oczy, różową skórę i głowę pokrytą złotym pus-



Piotr Gierasiński

kiem. Oczy Camdena nad maską mówiły wyraźnie, że żadne inne dziecko na świecie nie mogło poszczycić się podobnymi przymiotami.

– Poród przebiegał bez komplikacji?

– Tak – odparła Susan Melling. – Całkowicie normalnie. Elizabeth czuje się dobrze. Teraz śpi. Czy małe nie jest śliczna? Ten facet to największy ryzykant, jakiego znam. – Wytarła nos w rękaw i Ong zorientował się, że jest pijana. – Czy mówiłam już panu, że byłam kiedyś zaręczona? Piętnaście lat temu, jeszcze na studiach. Zerwałam z nim, bo zrobił się taki zwyczajny, taki nudny. O mój Boże, nie powinnam była tego panu mówić, proszę mi wybaczyć, proszę mi wybaczyć...

Ong odsunął się od niej. Za szybą Roger Camden wkładał niemowlę do małej kołyski na kółkach. Na tabliczce widniał napis: DZIEWCZYŃKA CAMDEN nr 1, waga 2655 g. Pielęgniarka z nocnej zmiany przyglądała mu się pobłażliwie.

Ong nie czekał, aż Camden wyjdzie z sali noworodków. Nie miał ochoty słuchać, co będzie mu mówiła Melling. Oddał się, żeby posłać kogoś po dyżurnego lekarza. W tych okolicznościach nie można mieć zaufania do raportów doktor Melling. Mają doskonałą, bezprecedensową szansę, żeby zbadać rozwój dziecka z modyfikacją na tle dziecka nie zmienionego, a Melling jest zajęta własnymi cklowymi uczuciami. Ong chyba sam będzie musiał napisać raport, kiedy już dowie się wszystkiego od dyżurnego lekarza. Ciekawił go każdy najmniejszy szczegół. I nie chodziło mu tylko o różowe, pyzate dziecko w ramionach Camdena. Chciał wiedzieć wszystko o narodzinach dziecka z drugiej oszklonej kołyski: DZIEWCZYŃKI CAMDEN nr 2, waga: 2295. Ciemnowłosej dziewczynki o twarzyczce pokrytej czerwonymi plamkami, która leżała ciasno opatulona kocykiem i pogrążona we śnie.

Rozdział II

Pierwsze wspomnienie Leishy to spływające w dół linie, których nie ma. Leisha wiedziała, że ich nie ma, bo kiedy wyciągnęła rączkę, żeby je złapać, piastka pozostała pusta. Potem zdała sobie sprawę, że spływające w dół linie to światło: promienie słońca wpadające ukosem pomiędzy zasłony w jej pokoju, pomiędzy drewnianych rolet w jadalni, pomiędzy płataniny oszklonych krat w cieplarni. W dniu, w którym odkryła, że wodospad złota to światło, zaśmiała się głośno pełna czystego zachwytu nad swym odkryciem. Tatuś, który właśnie przesadzał kwiaty, odwrócił się ku niej z uśmiechem.

Cały dom pełen był światła. Światło odbijało się od powierzchni jeziora, przepływało strumieniami przez wyso-

kie, białe sufity, rozlewało się kałużami na lśniących parkietach. Ona i Alice nieustannie wędrowały wśród światła. Czasem Leisha przystawała i, odchylając głowę do tyłu, pozwalała mu spływać po twarzy. Czuła dotyk światła tak samo jak dotyk wody.

Najładniejsze światło było oczywiście w cieplarni. To właśnie tam tatuś najbardziej lubił przebywać, kiedy przestawał zarabian pieniądze i wracał do domu. Tatuś podśpiewując przesadzał rośliny i podlewał drzewka, a Leisha z Alice biegały między drewnianymi, pachnącymi ziemią skrzynkami na kwiaty. Biegały od najciemniejszej części cieplarni, gdzie kwitły wielkie purpurowe kwiaty, do krańca skąpanego w słońcu i spryskanego mgiełką złotych płatków. Biegały tam i z powrotem, wbiegały i wybiegały ze światła.

– Rosnąc – powiedział do niej tato – kwiaty dotrzymują swojej obietnicy. Alice, ostrożnie! Omal nie wywróciłaś orchidei!

Alice postusznie przystanęła na chwilę. Leishy tatuś nigdy nie zabraniał biegać.

Potem całe światło gdzieś zniknęło. Alice i Leisha kapały się, a Alice nie chciała się odzywać albo było nadąsana. Nie chciała się bawić, mimo że Leisha pozwalała jej wybrać zabawę, a nawet wziąć wszystkie najlepsze lalki. Wreszcie niania zabierała Alice do łóżka, a Leisha mogła jeszcze trochę porozmawiać z tatusem, dopóki nie poszedł do siebie, żeby popracować nad papierkami, które zarabiają pieniądze. Wtedy przez chwilę Leishy było trochę smutno, ale ta chwila nigdy nie trwała długo, bo wkrótce przychodziła guwernantka i zaczynały się lekcje, a to Leisha bardzo lubiła. Wszelka wiedza bardzo ją interesowała. Umiała już dwadzieścia piosenek, potrafiła napisać wszystkie litery alfabetu i policzyć do pięćdziesięciu. A kiedy kończyły się lekcje, światło wracało i wtedy był czas na śniadanie.

Śniadania Leisha nie lubiła. Tatuś był już wtedy w biurze, a Leisha i Alice jadły z mamusią. Mamusia siedziała w czerwonym szlafroku, który Leisha lubiła, i jeszcze nie pachniała tak dziwnie i nie mówiła dziwnie jak później w ciągu dnia. Ale mimo wszystko śniadanie wcale nie było zabawne. Mamusia zawsze zaczynała od tego samego pytania.

– Alice, kochanie, jak ci się spało?

– Dobrze, mamusiu.

– Śniło ci się coś ładnego?

Przez długi czas Alice odpowiadała, że nie. A potem, jednego dnia, powiedziała:

– Śnił mi się koń. Jeździłam na nim.

Mamusia klasnęła w dłonie, pocałowała ją i pozwoliła

jej zjeść jeszcze jedną słodką bułeczkę. Od tego czasu Alice zawsze opowiadała mamie jakiś sen.

Pewnego dnia Leisha powiedziała:

– Ja też miałam sen. Śniło mi się, że przez okno weszło światło, owinęło mnie jak koc, a potem pocałowało mnie w oczy.

Mama odstawiła filiżankę tak gwałtownie, że kawa wylała się na spodek.

– Nie kłam, Leisho. Nic ci się nie śniło.

– Śniło mi się – odpowiedziała Leisha.

– Tylko dzieci, które śpią, mogą mieć sny. Nie kłam. Nic ci się nie śniło.

– A właśnie, że się śniło! – krzyknęła Leisha. Przecież prawie widziała strumień światła od okna, który owijał ją jak koc.

– Nie będę tolerować w domu kłamczuchy, słyszysz, Leisho! Nie będę tolerować!

– Sama jesteś kłamczucha! – krzyknęła Leisha. Wiedziała, że to nieprawda i nie znosiła siebie za to, że tak powiedziała, ale jeszcze bardziej nie znosiła teraz mamy. Alice siedziała bez ruchu z szeroko otwartymi oczyma, bała się i to też była wina Leishy. Mama krzyknęła ostro:

– Niani! Niani! Proszę natychmiast zabrać Leishę do jej pokoju. Nie może siedzieć wśród dobrze wychowanych ludzi, jeżeli nie potrafi powstrzymać się od opowiadania takich kłamstw.

Leisha zaczęła płakać. Niania wzięła ją na ręce i wyprowadziła z jadalni. Leisha nawet nie zjadła śniadania. Ale to jej nie przeszkadzało, widziała tylko przez łzy oczy Alice, takie przestraszone, pełne ułamek światła.

Ale nie płakała zbyt długo. Niania przeczytała jej bajkę, potem zagrały w komputerowe skoczki. Wreszcie przyszła do nich Alice i niania wzięła je obie do zoo, a tam obejrzały mnóstwo cudownych zwierząt, o jakich Leishy się nawet nie śniło – i Alice też nie! A kiedy wróciły, mama już była w swoim pokoju i Leisha wiedziała, że zostanie tam przez resztę dnia z dziwnie pachnącymi butelkami i nie trzeba będzie się z nią spotykać.

Ale tej nocy poszła do pokoju matki.

– Muszę iść do łazienki – powiedziała guwernantce.

– Pomóc ci? – zapytała guwernantka, być może dlatego, że Alice nadal trzeba było pomagać w łazience. Ale Leisha dawała sobie radę sama, więc podziękowała grzecznie. Potem posiedziała chwilę na sedesie, chociaż nic z tego nie wyszło – poszła tam tylko dlatego żeby to, co powiedziała guwernantce, nie okazało się kłamstwem.

Na paluszkach przeszła przez hol. Najpierw zajrzała do pokoju Alice. Na ścianie przy łóżeczku paliła się nieduża lampka. W pokoju Leishy nie było łóżeczka. Leisha przyrzekała się siostrze. Alice leżała na boku. Miała zamknięte oczy. Powieki poruszały się szybko jak miotane wiatrem firanki. Szyja i broda Alice wydały się dziwnie bezwładne.

Leisha ostrożnie zamknęła drzwi i ruszyła do sypialni rodziców. Rodzice spali w jednym ogromnym łóżku, na którym było tyle miejsca, że zmieściłoby się jeszcze kilka osób. Powieki mamy nie poruszały się. Leżała na plecach i robiła przez nos ciche: chrrr... chrrr... Wokół unosił się ten dziwny zapach. Leisha odwróciła się i na paluszkach podeszła do taty. Wyglądał tak samo jak Alice, tylko że jego broda i szyja były jeszcze bardziej bezwładne, fałdy skóry zwijały się jak namiot, który zawalił im się kiedyś na podwórku. Ten widok przeraził Leishę. Wtedy oczy tatusia otworzyły się tak nagle, że krzyknęła.

Tatusz zsunął się z łóżka i wzięła ją na ręce, zerkając pospiesznie na mamę. Ale mama nawet nie drgnęła. Tato był w samych majtkach. Zaniósł Leishę na korytarz, a tam przybiegła do nich guwernantka i mówiła:

– Och, tak mi przykro, proszę pana. Powiedziała, że idzie do łazienki!

– W porządku – odpowiedział tato. – Sam się nią zajmę.

– Nie! – krzyknęła Leisha, bo tato był w samych majtkach, jego szyja wyglądała dziwnie, a w sypialni brzydko pachniało od mamy.

Ale tato zaniósł ją do cieplarni i posadził na ławce, a sam owinał się zieloną folią do przykrywania kwiatów i usiadł obok.

– A teraz powiedz mi, co się stało. Co robiłaś?

Leisha nie odpowiedziała.

– Chciałaś zobaczyć, jak ludzie śpią, tak? – spytał tatusz, a ponieważ jego głos zabrzmiał teraz łagodniej, Leisha mruknęła „Tak”. Dobrze było nie kłamać, zaraz poczuła się lepiej.

– Chciałaś zobaczyć, jak ludzie śpią, bo sama nie śpisz i dlatego byłaś ciekawa, prawda? Jak Grześ Ciekawski z twojej książki.

– Tak – odpowiedziała Leisha. – Myślałam, że przez całą noc zarabiasz pieniądze w swoim gabinecie.

– Nie przez całą – uśmiechnął się tatusz. – Przez większą część nocy. A potem śpię, choć niezbyt długo. – Wziął Leishę na kolana. – Nie muszę długo spać, więc mogę w nocy zrobić więcej niż inni ludzie. Różni ludzie potrzebują różnych ilości snu. A kilkoro z nich, naprawdę niewielu, jest podobnych do ciebie. Wcale go nie potrzebują.

– Dlaczego?

– Bo jesteście wyjątkowi. Lepszy od reszty. Zanim się urodziłaś, lekarze sprawili, że możesz być właśnie taka.

– Po co?

– Żebyś mogła robić, co tylko będziesz chciała i żebyś mogła zaznaczyć w ten sposób swoją indywidualność.

Leisha wierząc się usiłowała zajrzeć mu w oczy. Te słowa nic nie znaczyły. Tatusz wyciągnął rękę i dotknął pojedynczego kwiatu na wysokiej roślinie. Kwiat miał gestę, białe płatki – jak śmietanka, którą tatusz dolewał sobie do kawy – i bladoróżowy środek.

– Widzisz, Leisho, to drzewko stworzyło taki kwiat, bo tylko ono to potrafi. Tylko to drzewko potrafi stworzyć taki cudowny kwiat. Roślina, która zwisa obok, nie potrafi i ta następna także nie. Tylko to jedno drzewko. Dlatego najważniejsze dla niego jest to, aby mógł na nim zakwitnąć ten kwiat. Właśnie tym kwiatem drzewko zaznacza swoją indywidualność. I o to właśnie chodzi. Nic więcej się nie liczy.

– Nie rozumiem.

– Kiedyś zrozumiesz.

– Ale ja chcę teraz rozumieć – odpowiedziała Leisha, a tatusz zaśmiał się zachwycony i uściśnął ją. To było bardzo miłe, ale Leisha nadal chciała zrozumieć.

– Kiedy zarabiasz pieniądze, czy to jest twoja indy... coś tam?

– Tak – potwierdził tatusz z uciechą.

– Czy to znaczy, że nikt inny nie umie zarabiać pieniędzy, tak jak żadne inne drzewko nie umie stworzyć takiego kwiatka?

– Nikt inny nie umie tego robić tak jak ja.

– A co robisz z tymi pieniędzmi?

– Kupuję ci różne rzeczy. Na przykład ten dom, samochód, którym cię wożę, sukienki, płacę guwernantce za to, że cię uczy...

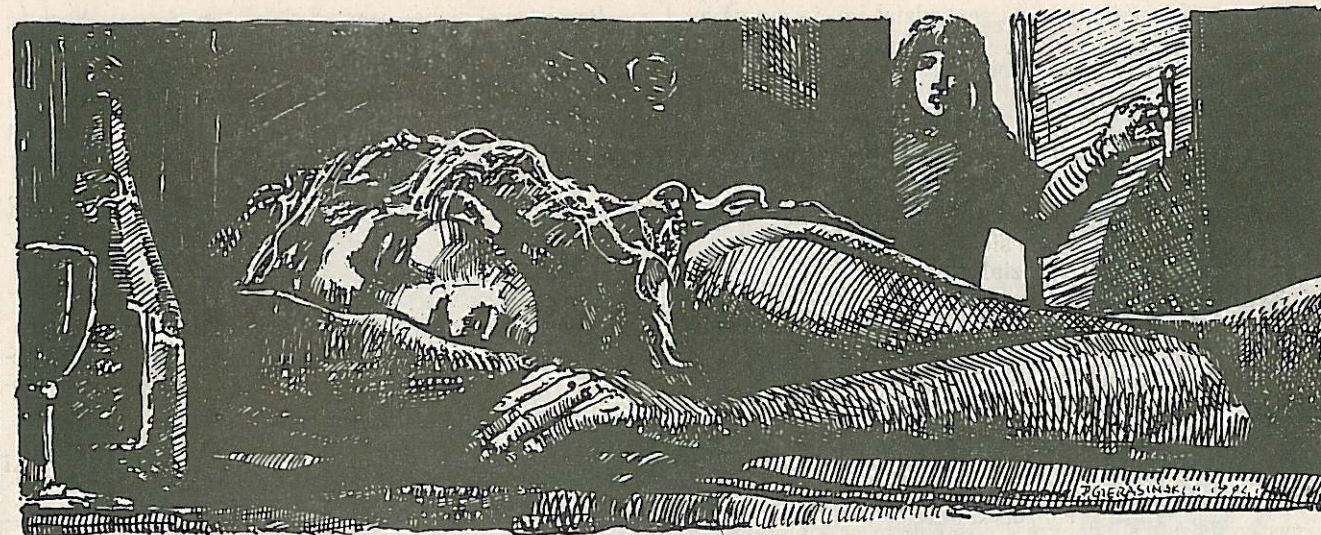
– A co drzewo robi ze swoim kwiatkiem?

– Pyszni się nim – powiedział tatusz, ale to nie miało żadnego sensu. – Liczy się tylko doskonałość, Leisho. Doskonałość wsparta indywidualnym wysiłkiem. I tylko to się liczy.

– Zimno mi, tatusiu.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli zaniosę cię do guwernantki.

Piotr Gierasiński



Leisha nawet nie drgnęła. Dotknęła paluszkami kwiatka.

– Ja chcę spać, tatusiu.

– Nie, wcale nie chcesz, kochanie. Sen to tylko strata czasu – marnowanie życia. To trochę jakby mniejsza śmierć.

– Alice śpi.

– Alice nie jest taka jak ty.

– Alice nie jest wyjątkowa?

– Nie. Tylko ty jesteś.

– Dlaczego nie zrobiłaś tak, żeby Alice też była wyjątkowa?

– Alice sama się robiła. Nic nie dało się zrobić, żeby też była wyjątkowa.

To wszystko było za trudne. Leisha przestała gładzić płatki kwiatu i ześlizgnęła się z kolan taty. Uśmiechnął się do niej.

– Moja mała pytańska. Kiedy dorośniesz, sama odnajdziesz własną doskonałość. I to będzie coś zupełnie nowego, coś, czego świat jeszcze nie oglądał. Może nawet będziesz kimś takim jak sam Kenzo Yagai. Wynałazł generator, który napędza cały świat.

– Tatusiu, śmiesznie wyglądasz w tej folii do kwiatków – zaśmiała się Leisha. Tatusz zawtórował jej śmiechem. Ale wtedy Leisha powiedziała:

– Kiedy dorosnę, wymyślę sobie taką wyjątkowość, żeby mogła zrobić, by Alice też była wyjątkowa – a tatusz przestał się śmiać.

Tę nocy guwernantka nauczyła ją pisać własne imię, co było tak podniecające, że zupełnie zapomniała o zagadkowej rozmowie z tatą. Sześć liter, każda inna, a razem tworzyły jej imię. Leisha wypisywała je wciąż od nowa, roześmiana, a guwernantka śmiała się razem z nią. Ale później, rano, Leisha znów rozmyślała o rozmowie z tatą. Myślała o niej często, wciąż obracając w myślach nieznaną sobie słowa jak twarde kamyczki, ale to, co wracało najczęściej, nie było słowem. To było chmurne spojrzenie tatusia, kiedy powiedziała mu, że chce użyć swej wyjątkowości tak, żeby Alice też była wyjątkowa.

Co tydzień przyjeżdżała do dziewczynek doktor Melling, czasem sama, czasem z kimś jeszcze. Obie lubiły panią doktor, która często się śmiała i miała jasne, pełne ciepła oczy. Nierzadko zaglądał do nich wtedy tato. Doktor Melling bawiła się z nimi w różne gry, najpierw z każdą osobno, potem z obiema naraz. Ważyła je i robiła im zdjęcia. Kazała kłaść się na stole i przykładała im do skroni małe metalowe przedmioty, co wyglądało trochę strasznie, ale wcale się nie bały, bo można było wtedy przyglądać się

maszynom, które wydawały różne ciekawe dźwięki. Doktor Melling umiała odpowiadać na pytania tak samo dobrze jak tatusz. Kiedyś Leisha zapytała:

– Czy doktor Melling też jest kimś wyjątkowym? Jak Kenzo Yagai?

Tatusz roześmiał się, rzucił okiem na doktor Melling i odpowiedział:

– O, tak. Z pewnością.

Kiedy miały pięć lat, Alice i Leisha zaczęły chodzić do szkoły. Szofer tatusia zawoził je codziennie do Chicago. Chodziły do dwóch różnych klas, co bardzo Leishę rozczarowało. Dzieci w klasie Leishy były od niej starsze. Mimo to od pierwszego dnia uwielbiała szkołę, fascynujący sprzęt naukowy, elektroniczne szufladki pełne matematycznych łamigłówek, szukanie państw na mapach. Po pół roku przesunięto ją do nowej klasy, gdzie chodzili jeszcze starsze dzieci, ale mimo to wszyscy byli dla niej mili. Leisha zaczęła uczyć się japońskiego. Uwielbiała malować te śliczne literki na białym, grubym papierze.

– Dobrze, że wybraliśmy szkołę Sauleya – mówił tatusz.

Lecz Alice wcale się tam nie podobało. Chciała jeździć do szkoły takim samym żółtym autobusem, co córka kucharki. Krzyczała na szkołę Sauleya i rzucała farbami. Potem mama wyszła ze swojego pokoju – Leisha nie widziała jej już od paru tygodni, choć wiedziała, że mama widuje się z Alice – i zrzuciła świeczniki z kominka. Porcelanowe świeczniki rozprysnęły się na drobne kawałeczki. Leisha podbiegła, żeby pozbiierać skorupy, a mama i tato, którzy stali przy schodach, zaczęli na siebie wrzeszczeć.

– Jest też moją córką! A ja mówię, że może iść!

– Nie masz prawa wypowiadać się na ten temat! Rozmemłana pijaczka, najobrzydliwszy z możliwych wzorzec dla nich obu... a ja myślałam, że biorę sobie wyrafinowaną angielską arystokratkę...

– Dostałeś to, za co zapłaciłeś! Nic! Bo też nic nigdy od nikogo nie potrzebowaleś.

– Przestańcie! – krzyknęła Leisha. – Przestańcie! – i w holu zaległa cisza. Leisha poraniła sobie palce odłamkami porcelany, krew kapiała na dywan. Tatusz podbiegł i wziął ją na ręce.

– Przestańcie – łkała i nie rozumiała, dlaczego tatusz powiedział do niej cicho:

– To ty przestań, Leisho. Nie powinno cię obchodzić, co one robią. Powinnaś mieć przynajmniej tyle siły.

Leisha ukryła twarz na ramieniu taty. Alice przeniesiono do Szkoły Podstawowej imienia Carla Sandburga, do której dojeżdżała żółtym autobusem razem z córką kucharki.

Kilka tygodni później tatuś powiedział im, że mama jedzie na kilka tygodni do szpitala, gdzie pomogą jej, by ty nie piła. Kiedy stamtąd wyjdzie, mówił, przez jakiś czas zamieszka osobno. Ona i tatuś nie byli ze sobą szczęśliwi. Alice i Leisha zostaną z tatusem, ale mogą odwiedzać mamę. Wszystko to powiedział im bardzo ostrożnie, starannie dobierając słowa. Prawda jest bardzo ważna, Leisha już o tym wiedziała. Prawda oznaczała wierność samemu sobie, swojej własnej wyjątkowości. Własnej indywidualności. Człowiek, jako jednostka indywidualna, szanował fakty, a zatem zawsze mówił prawdę.

Mama – tatuś tego nie powiedział, ale Leisha i tak wiedziała – nie respektowała faktów.

– Nie chcę, żeby mama wyjechała – Alice zaczęła płakać.

Leisha myślała, że tatuś weźmie ją na ręce, ale nic takiego nie zrobił. Stał tylko i patrzył na nie.

Leisha objęła siostrę ramieniem.

– Już dobrze, Alice. Już dobrze! Zrobimy tak, żeby wszystko ułożyło się dobrze. Przez cały czas, kiedy nie będziemy w szkole, będę się z tobą bawić, żebyś nie tęskniła za mamą.

Alice przytuliła się do niej mocno, a Leisha odwróciła głowę, żeby nie widzieć twarzy taty.

Rozdział III

Kenzo Yagai przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych z cyklem wykładów. Tytuł odczytu, jaki miał wygłosić w Nowym Jorku, Los Angeles, Chicago i Waszyngtonie – i powtórzyć jako specjalne orędzie przed Kongresem – brzmiał: „Tania energia w swym wymiarze politycznym”. Jednocześnie Leisha Camden miała poznać go osobiście po odczycie w Chicago, który organizował jej ojciec.

W szkole przestudiowali już teorię zimnej fuzji. Nauczyciel od spraw ogólnoswiatowych wskazał im ogromne zmiany w świecie, które zaszły, kiedy Yagai opatentował swój wynalazek. Człowiek ten potrafił przy minimalnych kosztach znaleźć zastosowanie dla czegoś, co przed nim wydawało się tylko niemożliwą do urzeczywistnienia teorią. A skutki? Rosnący dobrobyt w krajach Trzeciego Świata, ostatnie przedśmiertne drgawki dawnego systemu komunistycznego, upadek potęg naftowych i wskrzeszona potęga ekonomiczna Stanów Zjednoczonych. Grupa Leishy opracowała scenariusz kroniki filmowej, którą nakręcono później korzystając z profesjonalnego sprzętu należącego do wyposażenia szkoły. Filmik opowiadał o tym, jak przeciętna amerykańska rodzina żyła w roku 1985, wydając ogromne sumy na kosztowną energię i pokładając wiarę w opiekę ze strony utrzymywanego z podatków państwa. Z kolei rodzina z roku 2019 korzysta z taniej energii i wierzy w kontrakt – tę podstawę cywilizacji. Leisha była zdumiona niektórymi wynikami własnych badań.

– Japonia twierdzi, że Kenzo Yagai zdradził własny kraj – powiedziała do taty przy kolacji.

– Nie – odrzekł Camden – tylko niektórzy Japończycy. Wystrzegaj się łatwych uogólnień, Leisho. Yagai dlatego opatentował i sprzedał energię Y w Stanach, bo tylko tutaj tliło się jeszcze ostatnie zarzewie przedsiębiorczości. Dzięki jego wynalazkowi cały nasz kraj przechylił się znów w stronę indywidualistycznej merytokracji, a potem z wolna pociągnął za sobą i Japonię.

– Twój ojciec nigdy nie zwątpił w niego ani na chwilę – odezwała się Susan. – Zjedz groszek, Leisho.

Leisha zjadła groszek. Tatuś i Susan byli małżeństwem zaledwie od roku, więc obecność pani doktor w domu ciągle jeszcze była trochę niezwykła. Ale przyjemna. Tatuś powiedział, że Susan będzie cennym nabytkiem w ich domu, taka inteligentna, pełna energii i radości. Zupełnie jak Leisha.

– Pamiętaj, Leisho – mówił dalej Camden. – Wartość człowieka dla niego i społeczeństwa tkwi w nim samym, nie zaś w tym, co sądzi na temat istoty, wartości i wiary innych ludzi. Tkwi w tym, co dany człowiek rzeczywiście potrafi zrobić – i to zrobić jak najlepiej. Ludzie handlują tym, co potrafią najlepiej i każdy na tym korzysta. Podstawowym narzędziem cywilizacji jest kontrakt. Kontrakty zawierane są dobrowolnie i przynoszą kontrahentom obopólną korzyść. W przeciwieństwie do przymusu, który jest z gruntu zły.

– Silniejsi nie mają prawa niczego odbierać słabszym – wtrąciła Susan. – Alice, kochanie, ty też zjedz groszek.

– Ani też słabsi nie mają prawa niczego odbierać silniejszym – dodał Camden. – To właśnie stanowi zasadniczą przesłankę dzisiejszego wykładu Kenzo Yagai.

– Nie lubię groszku – odezwała się Alice.

– Ale twój organizm lubi. Groszek jest zdrowy.

Alice uśmiechnęła się. Leishy zrobiło się ciepło na sercu. Alice już od dawna nie uśmiechała się przy stole.

– Mój organizm nie na kontrakcie z groszkiem.

– Ależ ma – odrzekł Camden, lekko zniecierpliwiony. – Twój organizm ma z niego pożytek. A teraz jedz.

Uśmiech zniknął. Leisha wbiła wzrok w talerz. Wtem znalazła wyjście.

– Nie, tatusiu, posłuchaj. Organizm Alicji ma pożytek, ale groszek nie. To nie jest transakcja przynosząca obopólną korzyść – więc nie ma kontraktu. Alice ma rację!

Camden zaniósł się śmiechem. Po chwili zwrócił się do Susan:

– Ma zaledwie jedenaście lat... jedenaście!

Uśmiechnęła się nawet Alice, a Leisha pomachała jej tryumfalnie łyczeczką, od której błysnął promień światła i zatańczył srebrnym na przeciwnym ścianie.

Ale mimo wszystko Alice nie chciała pójść posłuchać Kenzo Yagai. Miała nocować u przyjaciółki, Julie, chciały razem zrobić sobie trwałą. Co dziwniejsze, Susan też nie szła. Leishy wydało się, że przy pożegnaniu Susan i tatuś patrzył na siebie trochę dziwnie, ale była zbyt podniecona, żeby sobie tym zaprzątać głowę. Miała przecież wysłuchać samego Kenzo Yagai!

Był to niewysoki, szczupły i smagły mężczyzna. Leishy spodobał się jego obcy akcent. Podobało jej się w nim coś jeszcze, ale przez dłuższą chwilę nie umiała tego nazwać.

– Tatusiu – szepnęła w półmroku sali wykładowej – to bardzo radosny człowiek.

Tato uściśnął ją mocno.

Yagai przemawiał na temat duchowości w ekonomice.

– Duchowość człowieka – która jest głównym wyznacznikiem jego człowieczeństwa – zasadza się na jego osobistym wysiłku. Godność i wartość człowieka nie zostają mu przekazane automatycznie wraz z arystokratycznym pochodzeniem. Wystarczy przyjrzeć się bliżej historii, żeby znaleźć potwierdzenie tego faktu. Godność i wartość nie są człowiekowi przekazywane wraz z odziedziczonym bogactwem. Spadkobierca wielkiej fortuny także może być złodziejem, marnotrawcą, wyzyskiwaczem – osobą, która zostawia świat o wiele uboższym niż go zastała. Ani też godność i wartość człowieka nie wynika bezpośrednio z samego faktu istnienia – wszak wielokrotnie mordercy istnieją, lecz ich wartość dla społeczeństwa jest negatywna, zaś w ich żądzy zabijania nie ma śladu godności.

Godność i duchowość człowieka leży zatem tylko w tym, co potrafi osiągnąć własnym wysiłkiem. Ograbić człowieka z życiowej szansy, wbrew jego woli sprzedawać efekty jego pracy, znaczy odebrać mu człowieczą godność. Dlatego właśnie komunizm z góry skazany był na upadek. Każdy przymus, każda siła, która odbiera człowiekowi możliwość korzystania z efektów własnej pracy, powoduje szkody natury duchowej i tym samym osłabia



Piotr Gierasiński

społeczeństwo. Rekwizycja, złodziejstwo, oszustwa, przemoc, opieka społeczna, brak odpowiedniej reprezentacji w organach prawodawczych – wszystko to odbiera człowiekowi możliwość wyboru, możliwość rozwoju i swobodnej wymiany owoców własnej pracy. Przymus to oszustwo. Nie tworzy niczego nowego. Tylko wolność – swoboda indywidualnego rozwoju, swoboda handlu owocami własnej pracy – stanowi środowisko przychylne ludzkiej godności i wartości.

Leisha klaskała tak mocno, że rozboleły ją dłonie. Kiedy wchodziła za tatą za kulisy, z trudem łapała oddech. Sam Kenzo Yagai!

Ku jej zaskoczeniu za kulisami kłębił się spory tłumek. Wszędzie pełno było kamer. Tatuś powiedział:

– Panie Yagai, pozwoli pan, że przedstawię. Moja córka Leisha.

Kamery szybko przesunęły się w jej stronę. Jakiś Japończyk szepnął coś cicho do ucha Kenzo Yagai, a ten przyjrzał się Leishy dokładniej.

– Ach, tak.

– Popatrz tutaj, Leisho! – zawołał ktoś nagle, więc popatrzyła. Automatyczna kamera najechała tak blisko, że Leisha cofnęła się przestraszona. Tatuś powiedział coś ostrym tonem, potem powtórzył to jeszcze raz. Kamery znieruchomiały. Nagle przed Leishą przykłęknęła jakaś kobieta i podetknęła jej mikrofon.

– Jak to jest, kiedy się nie śpi, Leisho?

– Co takiego?

Ktoś się zaśmiał. Śmiech wcale nie zabrzmiał sympatycznie.

– Geniusze z inkubatora...

Raptem Leisha poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię. Był to Kenzo Yagai, który stanowczo odciągnął ją sprzed kamer. Natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wokół Yagai utworzył się mur Japończyków, którzy rozstąpili się tylko na jedną chwilę, żeby przepuścić Camdena. Chroniona tym murem cała trójka weszła do garderoby, a Kenzo Yagai zamknął drzwi.

– Nie możesz się nimi przejmować, Leisho – mówił z tym swoim cudownym akcentem. – Nigdy. Jest takie stare wschodnie przysłowie: Psy szczekają, karawana idzie dalej. Nie pozwól, żeby szczekanie grubiańskich albo zawistnych psów opóźniało marsz karawany twojej osobowości.

– Nie pozwolę – wyszeptała Leisha. Jeszcze nie była pewna, co oznaczają te słowa, ale wiedziała, że później będzie czas, żeby wszystko sobie poukładać, żeby porozmawiać o tym z tatą. Teraz była zbyt oszołomiona obecnością Kenzo Yagai – człowieka, któremu bez przemocy i karabinów udało się odmienić świat, kiedy sprzedał innym owoce swojej pracy.

– Studiuje pańską filozofię w szkole, panie Yagai.

Kenzo Yagai spojrzał pytająco na tatę. Ten wyjaśnił:

– To prywatna szkoła. Ale siostra Leishy uczy się o tym w szkole publicznej, chociaż bardzo pobieżnie. Wprawdzie bardzo powoli, ale świat zaczyna się zmieniać, Kenzo.

Leisha zauważyła, że nie wyjaśnił, dlaczego Alice nie ma tu z nimi.

Kiedy wrócili do domu, przez długie godziny siedziała w swoim pokoju, wciąż od nowa przemyślując wszystko, co się zdarzyło. Kiedy następnego ranka Alice wróciła od Julie, Leisha popędziła jej na spotkanie. Lecz Alice była czymś wyraźnie rozczłuszczona.

– Alice! O co ci chodzi?

– Czy uważasz, że nie wystarczy mi tego, co muszę znosić w szkole? – krzyknęła Alice. – Wszyscy wiedzą, ale dopóki siedziałas cicho, to nie miało znaczenia. Przestali się mnie czepiać. Dlaczego mi to zrobiłaś?

– Co ci zrobiłam? – zdziwiła się Leisha.

Alice rzuciła w nią egzemplarzem porannej gazety, na znacznie gorszym papierze niż ten, którego używał system Camdena. Gazeta rozwinęła się i opadła u stóp Leishy, która wlepiła oczy w ogromne, trzycolumnowe zdjęcie na pierwszej stronie. Widnieli na niej ona i Kenzo Yagai, u góry wielki nagłówek krzyżał: YAGAI I PRZYSZŁOŚĆ: GDZIE MIEJSCE DLA RESZTY? ODKRYWCA ENERGII Y KONFERUJE Z BEZSENNĄ CÓRKĄ REKINA FINANSJERY ROGERA CAMDENA. Alice kopnęła gazetę.

– Byłaś też w telewizji, w wieczornych wiadomościach. Ja tu robię, co mogę, żeby mnie nie brali za nadętą lizuskę, a ty mi wycinasz taki numer! Teraz Julie na pewno nie zaprosi mnie na swoje senne party w przyszłym tygodniu! – Popędziła szerokimi, krętymi schodami do swojego pokoju.

Leisha jeszcze raz spojrzała na gazetę. W myślach usłyszała głos Kenzo Yagai: Psy szczekają, karawana idzie dalej. Popatrzyła na puste już schody. Krzyknęła głośno:

– Alice! Ładnie ci w tych lokach!

Rozdział IV

– Chcę poznać resztę – oświadczyła Leisha. – Dlaczego tak długo ich przede mną ukrywałeś?

– Wcale ich przed tobą nie ukrywałem – odrzekł Camden. – Dlaczego sama mi nie zapytałaś? Przecież to tobie powinno na tym zależeć.

Leisha popatrzyła na niego uważnie. Miała piętnaście lat i była w ostatniej klasie szkoły Sauleya.

– Dlaczego sam mi tego nie zaproponowałeś?

– A powinienem?

– Nie wiem – odrzekła Leisha. – Ale dotąd zawsze wszystko mi dawałeś.

– Także i to, że możesz poprosić, o co tylko zechcesz.

Leisha przez chwilę szukała w tym sprzeczności, aż w końcu znalazła.

– Ale przecież nie musiałam cię prosić o większość z tego, co było konieczne dla mojej edukacji, ponieważ nie miałam dość doświadczenia, żeby wiedzieć, o co należy prosić. Ty, jako dorosły, miałeś wystarczającą wiedzę i doświadczenie, żeby mi pomóc. A jednak nigdy nie zaproponowałeś mi spotkania z innymi bezsensownymi mutantami...

– Nie używaj tego określenia – wtrącił ostro Camden.

– ...więc albo musiałeś uznać, że nie jest mi to potrzebne, albo masz jakiś inny powód, dla którego nie chciałeś, żebym się z nimi spotkała.

– Błąd – odrzekł Camden. – Istnieje jeszcze trzecia możliwość. Mogłem przecież uznać, że spotkanie z nimi jest bardzo istotne dla twego rozwoju, ale zarazem daje mi znakomitą okazję do pobudzenia twojej inicjatywy – właśnie przez to, że czekałem, aż sama o nich zapytasz.

– W porządku – odpowiedziała Leisha nieco wyzywającym tonem. Ostatnio dużo było między nimi wojowniczości, nie wiadomo właściwie dlaczego. Wyprostowała się. Nowy nabytek, piersi, wysunęły się do przodu. – No więc pytam. Ilu jest bezsensownych, kim są i gdzie?

– Jeśli używasz terminu „bezseni”, to znaczy, że już coś na ten temat czytałaś – zauważył Camden. – Zatem prawdopodobnie wiesz, że w samych Stanach jest was tyśiąc osiemdziesięcioro dwoje plus kilkoro w innych krajach. Większość z nich zamieszkuje w pobliżu wielkich metropolii. Siedemdziesięcioro czworo mieszka w Chicago, przeważnie małe dzieci. Na całym świecie tylko dziesięć jest starszych od ciebie.

Leisha nie zaprzeczyła, że już o tym czytała. Siedzący za biurkiem Camden pochylił się, patrząc na nią uważnie. Leishę zastanowiło, czy ojciec nie potrzebuje okularów. Całkiem siwe już włosy, rzadkie i sztywne, wyglądały jak pojedyncze źdźbła wyliniałej miotły. „Wall Street Journal” umieścił jego nazwisko na liście stu najbogatszych osób w Ameryce. „Woman's Wear Daily” pisał, że jest jedynym miliarderem, który nie obraca się w kręgu międzynarodowych spotkań towarzyskich, balów dobroczynnych i prywatnych odrzutowców. Odrzutowiec Camdena wozził go po całym świecie, jednak niemal wyłącznie na spotkania służbowe lub do Zarządu Instytutu Ekonomicznego Kenzo Yagai. Z biegiem lat stawał się coraz bogatszy, a jednocześnie coraz bardziej stronił od ludzi i coraz przenikliwszy miał umysł. Leisha poczuła, jak powraca do niej fala dawnych, ciepłych uczuć.

Rzuciła się w poprzek skórzanego fotela, długie nogi przewiesiła przez oparcie. Z roztargnieniem podrapała ślad na udzie po ugryzieniu komara.

– No dobrze, w takim razie chciałabym poznać Richarda Kellera. – Mieszkał w Chicago i był najbliższy jej wiekiem. Miał siedemnaście lat.

– Ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Dlaczego po prostu tam nie pójdziesz?

Leisha odniosła wrażenie, że w jego głosie zabrzmiał ton zniecierpliwienia. Wolał, kiedy najpierw sama dowiadywała się o wszystkim, a dopiero potem składała mu raport. Przywiązywał jednakową wagę do obu elementów. Roześmiała się.

– Wiesz co, tato? Stajesz się przewidywalny.

Camden zawtórował jej śmiechem. W tej chwili do gabinetu weszła Susan.

– Z całą pewnością nie jest przewidywalny. Roger, co z tym spotkaniem w czwartek w Buenos Aires? Mam je potwierdzić czy odwołać? – Kiedy nie odpowiedział, jej głos zabrzmiał ostrzej. – Roger! Mówię do ciebie.

Leisha odwróciła wzrok. Dwa lata temu Susan na dobre rozstała się z Instytutem, żeby poprowadzić dom i sekretariat Camdena. Przez jakiś czas usiłowała godzić obie te rzeczy. Leisha miała wrażenie, że odkąd Susan porzuciła badania, bardzo się zmieniła. Jej głos brzmiał znacznie ostrzej. Nagle zaczęło jej zależeć na tym, żeby kucharka i ogrodnik ściśle trzymali się poleceń. Jasne warkocze ustąpiły miejsca sztywno rzeźbionej fali platyny.

– Potwierdzić.

– No cóż, dziękuję, że przynajmniej raczyłeś odpowiedzieć. Czy ja też jadę?

– Jak sobie życzysz.

– Życzę sobie.

Susan wyszła. Leisha wstała i przeciągnęła się. Stała na palcach, przez co jej długie nogi zdawały się jeszcze dłuższe. Dobrze było wyciągać się, przeciągać, czuć na twarzy promienie słońca wpadające przez przestronne okna. Uśmiechnęła się do ojca i odkryła, że przygląda jej się z zaskakującym wyrazem twarzy.

– Leisho...

– Tak?

– Możesz się spotkać z Kellerem. Ale bądź ostrożna.

– Dlaczego?

Lecz Camden nie odpowiedział.



Głos w słuchawce był pełen rezerwy.

– Leisha Camden? Tak, wiem, kim jesteś. W czwartek, o trzeciej?

Kellerowie mieszkali w skromnym domku w stylu kolonialnym, na oko trzydziestoletnim. Dom położony był przy cichej, podmiejskiej uliczce. Na takich właśnie uliczkach małe dzieci mogą jeździć na rowerkach po jezdni, a matki pilnują ich zerkając z frontowych okien. Większość dachów miała tylko jedną stację odbioru energii Y. Ulicę zdobiły przepiękne, stare klony cukrowe.

– Wejdz, proszę – odezwał się Richard Keller.

Był niewiele wyższy od niej, krępy, z twarzą obsypaną trądzikiem. Leisha domyśliła się, że poza snem niczego nie zmieniono w jego genach. Miał gęste, ciemne włosy, niskie czoło i czarne, krzaczaste brwi. Leisha zauważyła, że zanim zamknął drzwi, zagapił się na sfofera i samochód, zaparkowany na chodniku, tuż przy pordzewiałym rowerze górskim.

– Jeszcze nie umiem prowadzić – wyjaśniła. – Mam dopiero piętnaście lat.

– Przekonasz się, że to łatwe – odpowiedział Keller. – No to jak, powiesz mi, po co tu przyszłaś?

Leishy spodobało się, że jest tak bezpośredni.

– Żeby poznać jednego z Bezsennych.

– Czy to znaczy, że jeszcze nikogo nie znasz? Żadnego z nas?

– Czy to znaczy, że wszyscy inni znają się nawzajem? – Tego się nie spodziewała.

– Chodźmy do mojego pokoju, Leisho.

Poszła za nim w głąb domu. Wydawało się, że oprócz nich nie ma tam nikogo. Pokój Richarda był duży i prze-

Piotr Gierasiński



stronny, pełen komputerów i segregatorów. W kącie stał ergometr wioślarski. Pokój wyglądał jak nieco tańsza wersja pokoju któregoś z jej błyskotliwych kolegów ze szkoły Sauleya, z tym, że przy braku łóżka było w nim więcej miejsca.

– O, pracujesz nad równaniami Boesca?

– Nad ich zastosowaniem.

– Do czego?

– Do obliczania modeli migracyjnych ławic ryb.

– No tak, to by się dało – Leisha uśmiechnęła się. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Wydawało się, że Keller nie bardzo wie, co począć z tym jej uśmiechem. Spojrzał na ścianę, potem na jej podbródek.

– Interesujesz się modelami Gai? Środowiskiem naturalnym?

– No cóż, nie bardzo – przyznała się Leisha. – Mam zamiar studiować politykę na Harvardzie. Podstawy prawa. Ale oczywiście przerabialiśmy modele Gai w szkole.

Keller zdołał wreszcie oderwać wzrok od jej twarzy. Przeczesał palcami ciemne włosy.

– Siadaj, jeśli chcesz.

Leisha usiadła, obrzucając pełnym uznania spojrzeniem wiszące na ścianach plakaty, na których zieleni przechodziła w błękit na kształt oceanicznych prądów.

– Ładne. Sam je zaprojektowałeś?

– Nie tak sobie ciebie wyobrażałem – powiedział Keller.

– A jak?

– Myślałem, że jesteś nadęta. Z manią wyższości. Płytką, mimo wysokiego IQ.

Zabolało bardziej niż się spodziewała.

– Wśród Bezsennych jesteś jedyną naprawdę bogatą osobą – wygadał się. – Sama dobrze o tym wiesz.

– Nie, nie wiem. Nigdy nie sprawdzałam.

Zajął krzesło obok i wyciągnął przed siebie mocno umięśnione nogi. Mimo to nie wyglądał na rozluźnionego.

– Ale to ma swój sens, wierz mi. Bogaci nie każą genetycznie ulepszać swoich dzieci. Wierzą, że ich potomstwo i tak stoi wyżej od reszty. Z racji urodzenia. Biedni z kolei nie mogą sobie na to pozwolić. My, Bezsenni, wywodzimy się przeważnie z górnych warstw klasy średniej. Jesteśmy dziećmi profesorów i naukowców – ludzi, którzy cenią sobie inteligencję i czas.

– Mój ojciec też ceni inteligencję i czas – odparła Lei-

sha. – Należy do najzagorzalszych zwolenników Kenzo Yagai.

– Och, Leisho, czy ty naprawdę myślisz, że tego nie wiem? Próbujesz mi zaimponować, czy co?

– Próbuję z tobą rozmawiać – powiedziała z naciskiem Leisha. Mimo to jeszcze przez następną minutę czuła, jak zranione uczucia wywołują rumieniec na policzkach.

– Przepraszam – wymamrotał Keller. Zerwał się z krzesła, podreptał do komputera i z powrotem. – Naprawdę mi przykro. Ale ja... Ja naprawdę nie rozumiem, po co tu przyszłaś.

– Bo jestem samotna – odrzekła Leisha i sama się zdumiała. Podniosła wzrok. – To prawda. Jestem samotna. Jestem i już. Mam przyjaciół, Alice i tatę, ale nikt nie wie, nikt tak naprawdę nie rozumie – czego? Sama nie bardzo wiem.

– A ja wiem. Wiem doskonale. Co robisz, kiedy mówią „Posłuchaj, co mi się dzisiaj śniło”?

– Tak! – krzyknęła Leisha. – Ale to jeszcze nic – najgorzej, kiedy ja mówię „Sprawdź to dziś w nocy”, a tamci rzucają mi dziwaczne spojrzenie, które znaczy „Ona będzie to robić, kiedy ja będę spał”!

– Ale to jeszcze nic – dorzucił Keller. – Najgorzej, kiedy po kolacji gramy w kosza, a potem idziemy coś przegryźć i mówię im „Przejdźmy się nad jezioro”, a oni na to „Padam z nóg. Chyba się pójde położyć”.

– Ale to jeszcze nic – dorzuciła Leisha zrywając się z krzesła. – Najgorzej, kiedy wciągnie cię jakiś film i już dochodzisz do najważniejszego momentu, robi się tak cholernie pięknie, że skaczesz z radości i wołasz „Tak! Tak!”, a Susan na to „Doprawdy, Leisho – można by pomyśleć, że przed tobą nikt nigdy niczym się nie cieszył”.

– Kto to jest Susan? – zapytał Keller.

Nastrój prysł. Ale nie do końca: Leisha mogła odpowiedzieć „Moja macocha”, nie czując żalu o to, czym Susan obiecywała być ani o to, czym w końcu się stała. Keller stał oddalony zaledwie o krok i uśmiechał się ze zrozumieniem. Raptem poczuła tak głęboką ulgę, że natychmiast podeszła do niego i objęła za szyję. Kiedy poczuła, że wzdyga się zaskoczony, przytuliła się jeszcze mocniej. Zaczęła łkać – ona, Leisha, która nigdy nie płakała.

– Hej! – mruknął Richard. – Hej!

– Błyskotliwa – zaśmiała się przez łzy. – Ależ błyskotliwa uwaga.

Wiedziała, że chłopak uśmiechnął się zażenowany.
 – Może wolałabyś obejrzeć moje krzywe migracji ławic?
 – Nie – załkała Leisha, więc dalej trzymał ją w objęciach, poklepując niezgrabnie po plecach. Bez słowa zapewniał ją, że jest wśród swoich.

Camden czekał na nią, choć było już po północy. Palił papierosa za papierosem. Powietrze wokół posiwiało od dymu. Zapytał cicho:

– Dobrze się bawiłaś, Leisho?
 – Tak.
 – Cieszę się – odpowiedział i zgasiwszy ostatniego papierosa, ruszył po schodach na piętro – powoli, sztywno, bo przecież dobiegał już siedemdziesiątki – żeby położyć się spać.

Prawie przez rok wszędzie chodzili razem: na basen, na dyskoteki, do muzeów, do teatrów i bibliotek. Richard przedstawił ją reszcie, dwunastce Bezsennych. Byli w różnym wieku, od czternastu do dziewiętnastu lat. Wszyscy niezwykle inteligentni i pełni zapału.

Leisha wiele się nauczyła.
 Rodzice Toniego, tak jak jej rodzice, byli rozwiedzeni. Czternastoletni Tony mieszkał z matką, która nie miała zbyt ochoty na bezsenne dziecko. Za to jego ojciec, który sobie tego zażyzył, miał teraz czerwony helikopter i młodą przyjaciółkę, która projektowała ergonomiczne krzesła w Paryżu. Toniemu nie wolno było mówić, że jest Bezsennym – ani krewnym, ani kolegą ze szkoły.
 – Uznają cię za wariata – wyjaśniła mu matka odwracając wzrok.

Kiedy jeden jedyny raz Tony nie posłuchał i powiedział koleźce, że nigdy nie śpi, matka sprawiła mu lanie. Potem przeprowadzili się na inną ulicę. Tony miał wtedy dziewięć lat.

Jeanine, niemal tak długonoga jak Leisha, trenowała łyżwiarstwo, przygotowując się do igrzysk olimpijskich. Ćwiczyła dwanaście godzin dziennie, do czego nie byli zdolni jej śpiący rówieśnicy. Jak dotąd dziennikarze nic jeszcze nie wywyszli. Jeanine bała się, że gdyby to wyszło na jaw, ktoś mógłby odmówić jej prawa do startu.

Jack, podobnie jak Leisha, miał od jesieni zacząć naukę w college'u. Jednak w przeciwieństwie do niej, chłopak zaczął już pracować. Praktykowanie prawa wymagało ukończenia studiów, za to inwestowanie na giełdzie wymagało jedynie gotówki. Jack nie miał jej wiele – 600 dolarów zarobionych latem – lecz wykorzystując własne precyzyjne analizy finansowe, zdołał pomnożyć je najpierw do trzech, a potem do dziesięciu tysięcy. W niedługim czasie zebrał tyle, że mógł pozwolić sobie na poważne spekulacje papierami wartościowymi. Jack miał dopiero piętnaście lat, był za młody, żeby inwestować legalnie, zatem wszystkie transakcje przeprowadzano na nazwisko Kevina Bakera, najstarszego z Bezsennych, który mieszkał w Austin.

– Kiedy dwa razy pod rząd trafiłem osiemdziesięcioprocentowy zysk, analitycy danych złamali kod mojego komputera. Chcieli tylko powęszyć. No cóż, to ich obowiązek, nawet kiedy łączne kwoty są dosyć małe. Szukają systemu. Ale jeżeli zadadzą sobie trochę trudu i sprawdzą połączenia między bankami danych a na dodatek dojdą do tego, że Kevin jest Bezsennym, to czy nie będą próbowali zabronić nam inwestowania?

– Przecież to paranoja – odezwała się Leisha.
 – Wcale nie – zaprzeczyła Jeanine. – Leisho, ty żyjesz pod kłosem.

– Chodzi ci o to, że stale byłam pod ochroną ojca i jego pieniędzy – rzuciła Leisha. Nikt się nawet nie skrzywił.

Wszyscy tutaj otwarcie stawiali czoło faktom, nie uznając mglistych aluzji. Te należały do strefy snów.

– Tak – potwierdziła Jeanine. – Twój ojciec musi być świetnym gościem. Wychował cię w wierze, że nie wolno kępować indywidualnego rozwoju. Jezu Chryste, on jest przecież jagaista. W porządku. Jeśli chodzi o ciebie – dodała bez cienia sarkazmu. – Ale świat na ogół wygląda zupełnie inaczej. Oni nas nienawidzą.

– To za mocno powiedziane – wtrąciła Carol. – Nie nienawidzą.

– Być może – zgodziła się Jeanine. – Ale są inni niż my. Jesteśmy lepsi, więc czują do nas całkiem naturalną niechęć.

– Nie wiem, co w tym naturalnego – odezwał się Tony. – A może bardziej naturalny byłby podziw dla tego, co lepsze? My przecież podziwiamy lepszych od siebie. Czy zazdrościmy geniuszu Kenzo Yagai? Albo Nelsonowi Wade, temu lekarzowi? Albo Catherine Raduski?

– Nie zazdrościmy, bo tak naprawdę jesteśmy lepsi – podsumował Richard.

– Powinniśmy stworzyć własne społeczeństwo – oznajmił Tony. – Dlaczego mamy pozwalać, żeby ich regulacje prawne ograniczały nasz naturalny rozwój? Dlaczego Jeanine nie wolno zmierzyć się z nimi na lodzie, dlaczego Jack nie może inwestować na takich samych warunkach co oni? Tylko dlatego, że nie śpią? Niektórzy z tamtych są bardziej inteligentni od reszty. Inni mają więcej wytrwałości. A my mamy większą zdolność koncentracji, lepszą równowagę biochemiczną i więcej czasu. Nie wszystkich Pan Bóg stworzył równymi.

– Bądź fair, Tony – wtrąciła Jeanine. – Nikomu niczego jeszcze nie zabroniono.

– Ale zabronią.

– Czekajcie – odezwała się Leisha. Cała ta rozmowa ogromnie ją zmartwiła. – Chcę powiedzieć, że zgadzam się, pod wieloma względami jesteśmy lepsi. Ale twój cytat był wyrwany z kontekstu, Tony. Deklaracja Niepodległości nie twierdzi, że wszyscy ludzie zostali obdarzeni jednakowymi zdolnościami. Deklaracja mówi o prawach i podziale władzy. A to znaczy, że wszyscy jesteśmy równi wobec prawa. Tak samo jak wszyscy inni, nie mamy prawa tworzyć odrębnej społeczności ani też nie jesteśmy wyłączeni spod praw obowiązujących w społeczeństwie. Nie można mówić o swobodnym handlu owocami własnej pracy, jeżeli nie wszyscy będą przestrzegać zasad kontraktu.

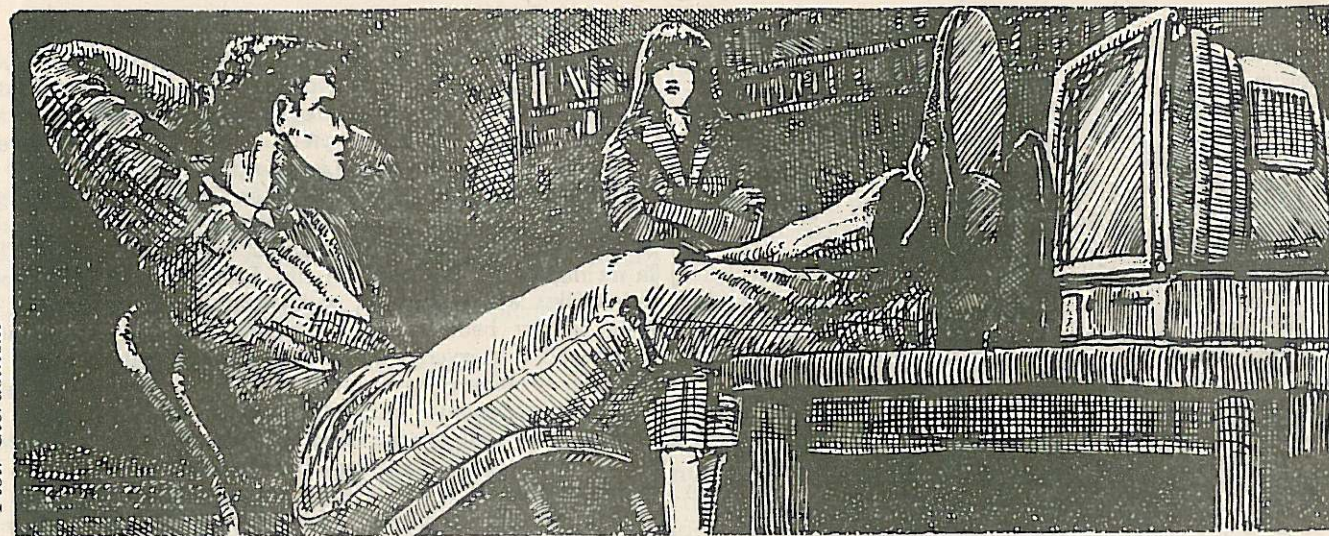
– Mówisz jak prawdziwy jagaista – Richard uściślił jej dłoń.

– Jak dla mnie dosyć już intelektualnych dyskusji – roześmiała się Carol. – Już od kilku godzin wałkujemy wciąż to samo. Na litość boską, jesteśmy na plaży! Kto idzie popływać?

– Ja – zgłosiła się Jeanine. – Chodź, Jack.

Wszyscy wstali i otrzepali z piasku kostiumy kąpielowe. Richard ciągnąc Leishę za rękę, zmusił ją do wstania. Ale nim pobiegli w stronę wody, Tony dotknął szczupłą dłoń ramienia Leishy.

– Jeszcze jedno pytanie, Leisho. Tylko do przemysłu. Jeżeli osiągamy lepsze wyniki niż większość śpiących, jeżeli handlujemy z nimi tylko wtedy, gdy jest to wzajemnie korzystne i jeżeli nie robimy różnic między silniejszymi i słabszymi – to jakie mamy zobowiązania wobec tych, którzy nie mają dla nas nic na wymianie? I tak będziemy musieli dawać więcej niż otrzymamy – czy należy dawać także wtedy, kiedy nic się nie dostaje w zamian? Czy do nas należy troska o wszystkich upośledzonych, niedorozwiniętych, chorych, leniwych i pozbawionych inicjatywy – czy im także musimy oddawać owoce własnej pracy?



Piotr Gierasiński

– A czy jest to obowiązkiem śpiących?

– Kenzo Yagai powiedziałby, że nie. A jest śpiącym.

– Powiedziałby, że skorzystają z dobrodziejstw wymiany kontraktowej, nawet kiedy nie biorą w niej bezpośredniego udziału. Przecież cały świat skorzystał na tym, że zaczęliśmy stosować energię Y.

– Chodźcie wreszcie! – zawołała Jeanine. – Leisho, oni mnie topią! Jack, w tej chwili przestań! Leisho, na pomoc!

Leisha roześmiała się. Kiedy wyciągała rękę, żeby chwycić Jeanine, obrzuciła krótkim spojrzeniem twarz Richarda i Toniego: na pierwszej ujrzała nieskrywane pożądanie, na drugiej gniew. Tony był na nią zły. Ale o co? Cóż takiego powiedziała, przecież przemawiała w obronie godności i wolnego handlu?

W tej samej chwili Jack ochlapał ją wodą, Carol sprawiła mu ciepły prysznic, a tuż obok Leishy znalazł się Richard i śmiejąc się oplótł ją ramionami.

Kiedy udało jej się otrzeć zalane wodą oczy, Toniego już nie było.

Była północ.

– OK – odezwała się Carol. – Kto zaczyna?

Na porośniętej jeżynami polance sześciorgo nastolatków wymieniło między sobą spojrzenia. Przenośna lampka na energię Y, przykręcona dla zachowania nastroju, rzuciła niesamowite blaski na ich twarze i długie, gołe nogi. Rosnące wokół polanki drzewa zwartą i ciemną ścianą oddzielały ich od budynków posiadłości Camdena. Było bardzo gorąco. Sierpniowe powietrze wisało nad głowami ciężko i posępnie. W głosowaniu ustalili, że nie przyniosą klimatyzatora. To miał być powrót do tego, co prymitywne i niebezpieczne.

Sześć par oczu gapiło się na szklanke w dłoni Carol.

– No, szybciej – zniercierpliwiła się. – Kto chce się napić? – jej głos brzmiał beztrosko, przesadnie dziarsko. – Wystarczająco się namęczyłam, żeby to zdobyć.

– A jak właściwie ci się to udało? – zainteresował się Richard, jedyny z wyjątkiem Toniego, który nie miał żadnych wpływowych krewnych ani żadnych większych pieniędzy. – Na dodatek w takiej postaci, żeby dało się pić?

– Mój kuzyn Brian jest dostawcą farmaceutyków do Instytutu Biotechniki. Był ciekaw, jak zadziała.

Wszyscy z wyjątkiem Leishy pokiwali głowami. Byli Bezsennymi właśnie dlatego, że ktoś z rodziny miał powiązania z Instytutem. I zawsze budzili ciekawość. Szklanka zawierała interleukin-1, pobudzacz systemu immunologicznego, jedną z wielu substancji, których efektem ubocznym był głęboki i natychmiastowy sen.

Leisha wpatrywała się w szklanke. Poczuła w dole brzucha ciepły dreszcz, całkiem podobny do tego, co czuła, kiedy kochali się z Richardem.

– Daj mnie – odezwał się Tony.

– Pamiętaj, wystarczy jeden malutki łyżeczek – przestrzegła Carol i podała mu szklanke.

Tony podniósł ją do ust, zatrzymał się, powiódł wokół rozgorączkowanym spojrzeniem i pociągnął łyk.

Carol odebrała szklanke. Wszyscy uważnie przyglądali się Toniemu. Po minucie leżał już na ziemi, wkrótce opadł mu powieki: spał.

To nie było to samo, co przyglądanie się śpiącym rodzicom, rodzeństwu, znajomym. Tym razem był to Tony. Odwrócili wzrok, nie mogli patrzeć sobie w oczy. Leisha poczuła, jak ciepło między nogami przechodzi w mrowienie i lekko nieprzyzwoity dreszcz.

Kiedy nadeszła jej kolej, piła powoli, potem przekazała szklanke Jeanine. Głowa zaczęła jej ciążyć, jakby wypchana mokrymi szmatami. Drzewa na skraju polany zatraciły kontury. Kształt przenośnej lampy także się zamazał – już nie była jasna i czysta, lecz pomarańczowa, kleista, jakby czymś poplamiona. Gdyby jej dotknęła, na pewno pobrudziłaby rękę. Potem umysł powoli zaległa ciemność, Leisha odpłynęła gdzieś – jej umysł gdzieś odpływał! Próbowwała krzyknąć „Tato!”, lecz w tej chwili ciemność zamazała wszystko.

Później wszyscy cierpieli na okropny ból głowy. Droga powrotna przez zagajnik w bladym świetle poranka była jak tortura, której dodatkowo towarzyszyło dziwne uczucie wstydu. Starali się nie dotykać siebie nawzajem. Leisha próbowała trzymać się jak najdalej od Richarda. Minał cały dzień, zanim ustało bolesne pulsowanie gdzieś u podstawy czaszki i uczucie nudności w żołądku.

Co gorsza, nic jej się nawet nie śniło.

– Chciałabym, żebyś dzisiaj poszła tam ze mną – mówiła Leisha po raz dziesiąty czy dwunasty. – Za dwa dni porożjemy się do różnych szkół, to ostatnia szansa. Naprawdę chciałabym, żebyś poznała Richarda.

Alice leżała na brzuchu w poprzek łóżka. Brązowe, matowe włosy rozsypały się swobodnie wokół jej twarzy. Miała na sobie kosztowny jedwabny kombinezon z pracowni Ann Paterson, który pozwijał się siecią zmarszczek wokół kolan.

– Po co? Dlaczego tak cię obchodzi, czy poznam Richarda, czy nie?

– Bo jesteś moją siostrą – odrzekła Leisha. Wiedziała już, że nie wolno mówić: bliźniaczka. Na dźwięk tego słowa Alice natychmiast wpadała w złość.

– Nie mam ochoty. – Po chwili wyraz jej twarzy uległ zmianie. – Przepraszam, Leisho. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak wrednie. Ale... ale nie mam ochoty.

– Nie będzie nikogo obcego. Tylko my i Richard. I najwyżej na jakąś godzinę. Potem wrócisz i spakujesz się do Northwestern.

– Nie jadę do Northwestern.

Leisha wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Jestem w ciąży – oświadczyła Alice.

Leisha przysiadła na brzegu łóżka. Alice przetoczyła się na plecy, odgarnęła włosy z oczu i roześmiała się. Leisha nie mogła znieść tego śmiechu.

– Spójrz tylko na siebie – mówiła Alice. – Można by pomyśleć, że to ty jesteś w ciąży. Ale tobie nic takiego się nie zdarzy, prawda, Leisho? W każdym razie nie wcześniej niż uznasz za stosowne. Tobie – nie.

– Jak to się stało? Przecież obie założyłyśmy sobie kapturki...

– Usunęłam kapturek – rzuciła Alice.

– Chciałaś zająć w ciąży?

– Jak jasna cholera. A nasz tatuś nic już na to nie poradzi. No oczywiście, może mi cofnąć kredyt, ale chyba tego nie robi, co? Chociaż to tylko ja?

– Ależ Alice... dlaczego? Chyba nie tylko na złość tacie?

– Nie – odparła Alice. – Ale tak właśnie pomyślałaś, co? Chciałam mieć coś, co mogłabym kochać. Coś własnego. I żeby nie miało nic wspólnego z tym domem.

Leisha przypomniała sobie, jak przed laty biegały po cieplarni, jak ona i Alice wpadały na przemian w smugi światła i cienia.

– Chyba nie było najgorzej wychowywać się w tym domu?

– Leisho, jesteś głupia. Nie wiem, jakim cudem ktoś tak bystry jak ty może być taki głupi! Wynos się z mojego pokoju! Wynos się!

Leisha zerwała się z łóżka.

– Ależ Alice... dziecko...

– Wynos się! – wrzeszczała Alice. – Jedź sobie do Harvardu! Ruszaj po sukces! Tylko wynieś się stąd!

Leisha zerwała się z łóżka.

– Z przyjemnością. Zachowujesz się irracjonalnie, Alice. Nie myślisz o przyszłości, nawet dziecko będziesz miała przypadkiem... – Lecz jak zwykle nie potrafiła zbyt długo się gniewać. Gniew ulotnił się szybko, a w głowie pozostała pustka. Spojrzała w stronę Alice, a ta niespodziewanie rozłożyła ramiona. Leisha podeszła, żeby ją objąć.

– To ty jesteś dziecko – rzuciła zniecierpliwiona Alice. – Tak, tak. Jesteś taka... sama nie wiem, jaka. Po prostu jak dziecko.

Leisha nie odpowiedziała. W objęciach Alice znalazła ciepło, czuła jak dopełniają się wzajemnie, tak jak wtedy, kiedy jako małe dziewczynki wbiegały i wybiegały ze smugi światła.

– Pomogę ci, Alice. Jeśli tatuś nie zechce, ja ci pomogę.

Alice odepchnęła ją gwałtownie.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

Alice wstała. Leisha opuszkami palców przeciągnęła po łokciach. Alice kopnęła pusty kufer, w który miała spakować rzeczy na wyjazd do Northwestern. Potem uśmiechnęła się niespodziewanie, uśmiechem, który kazał Leishy odwrócić wzrok. W duchu przygotowała się na kolejną porcję obelg. Lecz Alice powiedziała miękko:

– Baw się dobrze w tym Harvardzie.

Rozdział V

Uwielbiała to miejsce.

Już przy pierwszym rzucie oka na Massachussets Hall, starszy o pół wieku od samych Stanów Zjednoczonych,

Leisha odczuła coś, czego brakowało jej w Chicago: dostojność wieku i tradycji. Z nabożną czcią dotykała cegieł Biblioteki Widenera i szklanych gablotek w Muzeum Peabodiego. Dotąd nie była szczególnie podatna na działania teatru albo mitu; cierpienia Julii wydały jej się sztuczne, a męki Williego Lomana raczej bezsensowne. Przemawiał do niej tylko król Artur walczący o lepszy porządek społeczny. Ale teraz, kiedy przechadzała się pośród ogromnych, pełnych jesiennych barw drzew, dojrzała na mgnienie oka błysk tej siły, która kumulowała się w wysiłku wielu pokoleń, w fortunach pozostawionych tym, którzy będą z nich korzystać, by rozwijać się i kształcić, a których osiągnięć darczyńcy nigdy nie mieli oglądać, w zbiorowym wysiłku ciągnącym się przez całe wieki i kształtującym czasy, które miały dopiero nadejść. Zatrzymywała się i przez liście patrzyła w niebo, a potem na solidne – w myśl swego przeznaczenia – budynki. W takich chwilach myślała o Camdenie, który siłą woli nagiął Zarząd Instytutu, żeby stworzyć ją taką, jaką chciał ją mieć.

Wystarczył zaledwie miesiąc, a wywietrzały jej z głowy wszystkie górnołotne rozmyślenia.

Program studiów był wprost nieprawdopodobnie przeładowany, nawet jak dla niej. W szkole Sauleya zachęcano ją do prowadzenia samodzielnych badań i według własnego tempa. Harvard wiedział doskonale, czego od niej oczekuje, i to on dyktował tempo. Przez ostatnie dwadzieścia lat, pod przewodnictwem mężczyzny, który w młodości z najwyższym niesmakiem obserwował rosnącą dominację Japonii, Harvard stał się dosyć kontrowersyjnym liderem powrotu do rygorystycznego studiowania faktów, teorii i ich zastosowań, stawiał na zdolność rozwiązywania problemów i efektywność intelektualną. Szkoła przyjmowała jednego na stu kandydatów, którzy zjeżdżali się tu z całego świata. Nawet córka brytyjskiego premiera została odesłana do domu, kiedy nie zaliczyła pierwszego roku.

Leisha zajmowała jednoosobowy pokój w nowym akademiku. Zrezygnowała z wynajmowania mieszkania, ponieważ tyle lat spędziła w izolacji i odczuwała teraz głód nowych znajomości. Pokój musiał być jednak jednoosobowy, żeby nikomu nie przeszkadzała, kiedy będzie pracować w nocy. Drugiego dnia pobytu jakiś chłopak z tego samego piętra wszedł od niechcienia do jej pokoju i przysiadł na krawędzi biurka.

– To ty jesteś Leisha Camden?

– Tak.

– Masz szesnaście lat?

– Prawie siedemnaście.

– I, jak mniemam, zamierzasz bez najmniejszego wysiłku wszystkich tu prześcignąć.

Uśmiech Leishy rozplynął się bez śladu. Chłopak gapił się na nią spod nastroszonych brwi. Uśmiechał się, lecz spojrzenie miał ostre jak brzytwa. Od Richarda, Toniego i reszty Leisha nauczyła się już, jak rozpoznawać złość skrytą pod maską pogardy.

– Rzeczywiście – potwierdziła chłodno. – Taki właśnie mam zamiar.

– Taka jesteś pewna? Z tą fryzurą małej dziewczynki i zmutowanym mózdzkiem małej ślicznotki?

– Dajże jej spokój, Hannaway – wtrącił się czyjś głos. Wysoki, jasnowłosy chłopiec, tak chudy, że jego żebra wyglądały jak brązowe zmarszczki na piasku, stał w progu w samych dżinsach i boso, wycierając ręcznikiem mokre włosy. – Nigdy ci się nie znudzi robić z siebie kompletnego dupka?

– A tobie? – odciął się Hannaway. Podniósł się ciężko z biurka i ruszył w kierunku drzwi. Blondynek odsunął się na bok, natomiast Leisha zastąpiła mu drogę.

– Będę sobie radzić lepiej od ciebie – powiedziała spokojnie – ponieważ posiadam szereg zalet, których brak tobie. Nie wyłączając bezsenności. Ale kiedy cię już prześcignę, chętnie pomogę ci w nauce, żebyś i ty mógł zdać egzamin.

Blondynek, który wycierał teraz uszy, roześmiał się głośno. Lecz Hannaway stał nieruchomo, a w oczach pojawiło mu się coś takiego, że Leisha wolała się cofnąć. Tamten przepchnął się obok niej i wypadł jak burza na korytarz.

– Całkiem nieźle, Camden – pochwalił blondynek. – Należało mu się.

– Ale ja mówiłam poważnie – odrzekła Leisha. – Pomogę mu w nauce.

– Coś podobnego! – Blondynek opuścił ręcznik i wlepił w nią oczy. – Naprawdę mówiłaś poważnie!?

– Oczywiście. Dlaczego nikt mi nigdy nie wierzy?

– No cóż – powiedział chłopak – ja tak. Możesz pomóc mnie, jeśli będę miał problemy. – Nagle uśmiechnął się.

– Ale raczej nie będę miał problemów.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem wcale gorszy od ciebie, Leisho Camden. Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie.

– Nie jesteś jednym z nas. Nie jesteś Bezsennym.

– Wcale nie muszę. Wiem, co potrafię. Istnieć, pracować, tworzyć, sprzedawać.

– Jesteś jagaistą! – wykrzyknęła zachwycona.

– Oczywiście – wyciągnął ku niej dłoń. – Stewart Sutter. Co byś powiedziała na fishburgera na dziedzińcu?

– Znakomicie.

Wyszli razem, rozmawiając z ożywieniem. Kiedy ludzie gapili się na nią, starała się tego nie zauważać. Przecież była w Harvardzie. Liczyła się tylko nauka i ludzie tacy jak Stewart, który akceptował ją i przyjmował wyzwanie. Przynajmniej wtedy, kiedy nie spał.

Studia pochłonięły ją całkowicie. Roger Camden przyjechał raz w odwiedziny. Poszli razem przejść się po miasteczku akademickim. Słuchał wszystkiego, uśmiechał się. Czuł się tu lepiej niż Leisha mogłaby się spodziewać: znał ojca Stewarta Suttera, dziadka Kate Addams. Rozmawiali o Harvardzie, o interesach, znów o Harvardzie, o Instytucie Ekonomicznym Kenzo Yagai i jeszcze raz o Harvardzie. „Co u Alice?” – spytała raz Leisha, ale Camden odparł, że nie wie, bo druga córka wyprowadziła się i nie chce go widzieć. Wyplacał jej pensję za pośrednictwem adwokata. Kiedy to mówił, jego twarz pozostała jak zwykle pogodna.

Na bal otryśniony poszła ze Stewartem, który także studiował podstawy prawa, ale był dwa lata wyżej. Na weekend poleciała Concordem do Paryża, razem z Kate Addams i dwoma innymi koleżankami. Pokłóciła się ze Stewartem o to, czy metaforę z nadprzewodnictwem da się zastosować do jagaizmu. Klótnia była głupia i oboje dobrze o tym wiedzieli, ale dzięki niej zostali kochankami. Po niezdarach początkach z Richardem Stewart wydał się Leishy zręczny i doświadczony. Uśmiechał się leciutko, kiedy uczył ją, w jaki sposób ma osiągnąć orgazm sama albo razem z nim. Leisha była oszołomiona.

– To takie radosne – powiedziała, a Stewart spojrzał na nią z czułością, która nie wiedzieć dlaczego kryła w sobie nutkę niepokoju.

Po pierwszym semestrze miała najlepsze oceny. W trakcie egzaminów na każde z pytań dała poprawną odpowiedź. Żeby to uczcić, poszli ze Stewartem na piwo. Kiedy wrócili, pokój Leishy był całkowicie zdemolowany. Ktoś rozbił komputer, zniszczył bank danych. Wydruki i książki tliły się w metalowym koszu na śmieci. Jej ubrania podarto w strzępy, biurko i sekretarzyk porąba-

no na kawałki. Jedyną rzeczą, jaka pozostała nietknięta, było łóżko.

– To nie mogło przecież odbywać się w ciszy – odezwał się Stewart. – Każdy na tym piętrze – do diabła, nawet piętro niżej – musiał o tym wiedzieć. Ktoś na pewno powie coś policji.

Nikt nic nie powiedział. Leisha siedziała oszołomiona na skraju łóżka i przyglądała się resztkom otrzęsinowej togi. Następnego dnia Dave Hannaway przesłał jej prześcigły uśmiech.

Camden znów przyleciał. Tym razem gnał go gniew, nie radość. Wynajął jej dobrze zabezpieczone mieszkanie w Cambridge i zatrudnił ochroniarza o imieniu Toshio. Kiedy wyjechał, Leisha zwolniła ochroniarza, ale mieszkanie zatrzymała. Dawało jej i Stewartowi więcej swobody. W nieskończoność dyskutowali o sytuacji Bezsennych. I właśnie Leisha dowodziła, że to, co jej się przytrafiło, jest tylko wybrykiem, rodzajem aberracji, wynikiem zwykłej niedojrzałości.

– Zawsze istnieli ludzie przepełnieni nienawiścią, Stewarcie. Nienawidzą Żydów, nienawidzą czarnych, nienawidzą imigrantów, nienawidzą też jagaistów, którzy mają więcej inicjatywy i godności. Ja stanowią po prostu kolejny obiekt nienawiści. To nic nowego, nic szczególnie godnego uwagi. Wcale nie świadczy o jakichś realnych początkach podziału na Bezsennych i Śpiących.

Stewart wstał i sięgnął po stojące na nocnej szafce kanapki.

– Czyżby? Leisho, przecież istnieje tutaj wyraźna różnica. Jesteście lepiej przystosowani – biorąc pod uwagę względy ewolucyjne – nie tylko, by przeżyć, ale także, by zdominować resztę. Te wszystkie obiekty nienawiści, które tu wymieniasz – z wyjątkiem jagaistów – w życiu społecznym niewiele miały do powiedzenia. Zajmowali najniższe pozycje. Z drugiej strony wy, na przykład cała trójka Bezsennych, na Harvardzie pracujecie w „Przeglądzie Prawnym”. Cała trójka. Kevin Baker, najstarszy z was, zdążył już założyć świetnie prosperującą firmę komputerową i zarabia pieniądze, duże pieniądze. Każdy Bezsenny zbiera najlepsze oceny, żaden nie miewa problemów z psychiką ani nawet ze zdrowiem. Przy tym większość z was nie skończyła nawet osiemnastu lat. Jak myślisz, ile wzbudziecie nienawiści, kiedy opanujecie wielki świat finansów i polityki, zajmiecie wszystkie uprzywilejowane stołki?

– Podaj kanapkę – powiedziała Leisha. – A oto garść dowodów na to, że się mylisz. Po pierwsze – ty sam. Kenzo Yagai. Kate Addams. Profesor Lane. Mój ojciec. Każdy śpiący, który chce żyć w świecie uczciwej wymiany, wzajemnie korzystnych kontraktów. A to już jest większość – w każdym razie większość z tych, których warto brać pod uwagę. Wierzysz przecież, że współzawodnictwo pomiędzy najbardziej uzdolnionymi prowadzi do wymiany, która wszystkim przynosi korzyść. Nie podlega kwestii, że Bezsenni przynoszą społeczeństwu korzyści, i to w wielu różnych dziedzinach. Świadomość musi zwyciężyć obawę. Jesteśmy dla was cenni. Wiesz o tym doskonale.

Stewart strzepnął okruszki z pościeli.

– Tak, wiem. Wszyscy jagaści to wiedzą.

– Jagaści przewodzą w świecie biznesu, finansów i nauki. Albo przynajmniej będą przewodzić. W świecie meritokracji tak właśnie powinno być. Nie dostrzegasz znaczenia większości, Stew. Etyka nie kończy się na tych, co biegną w pierwszym szeregu.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Stewart – bo, jak wiesz, jestem w tobie zakochany.

Leisha odłożyła kanapkę.

– Radość – wymruczał z twarzą wtuloną w jej piersi – jesteś radością.

Kiedy Leisha przyjechała do domu na Święto Dziękczynienia, powiedziała Richardowi o Stewarcie. Słuchał z zaciśniętymi ustami.

– On jest Śpiącym.

– On jest człowiekiem – odparła z naciskiem Leisha. – Dobrym, inteligentnym i dynamicznym człowiekiem.

– Wiesz, co zrobili ci twoi dobrzy, inteligentni i dynamiczni Śpiący? Zabronili Jeanine udziału w Olimpiadzie „Genetyczna alteracja, analogiczna do steroidowego dopingu, pozwoliła jej uzyskać niesportową przewagę”. Chris Devereaux opuścił Stanford. Rozbili mu laboratorium, zniszczyli wyniki dwuletnich badań nad białkami kodującymi ślad pamięciowy. Firma komputerowa Kevina walczy z obrzydliwą kampanią – rzecz jasna, nielegalną – w której opowiada się o tym, jak to „nasze dzieci używają programów stworzonych przez nie-ludzkie umysły”. Zepsucie, niewolnictwo umysłowe, sataniczne wpływy i inne tego rodzaju sztuczki z ery polowań na czarownice. Obudź się wreszcie, Leisho!

Jego słowa jakby zawisły na chwilę w powietrzu. Czas włókł się w nieskończoność. Richard stał w pozie boksera, lekko pochylony do przodu, mocno zacisnął zęby. Na koniec zapytał bardzo cicho:

– Kochasz go?

– Tak – odrzekła Leisha. – Przykro mi.

– Wybór należy do ciebie – odparł chłodno Richard. – Co robisz, kiedy on śpi? Przyglądasz się?

– Mówisz tak, jakby to było jakieś zboczenie!

Richard nie odpowiedział. Leisha wzięła głęboki oddech. Zaczęła mówić szybko, ale spokojnie, z kontrolowanym pośpiechem:

– Kiedy Stewart śpi, ja pracuję. Tak samo jak ty. Richardzie, nie rób tego. Przecież nie chciałam cię zranić. Nie chcę tracić kontaktu z grupą. Wierzę, że Śpiący i my to jedna rasa – chcesz mnie za to ukarać? Chcesz dołożyć własną czastkę do nienawiści? Chcesz mi wmówić, że nie mogę należeć do szerszego świata uczciwych i wartościowych ludzi, nieważne, śpiących czy nie? Chcesz mi wmówić, że ludzkość dzieli się według cech genetycznych, a nie ze względu na wartość duchową i ekonomiczną? Chcesz wymusić na mnie sztuczny wybór: albo my, albo oni?

Richard wziął do ręki bransoletkę. Leisha poznała – to był prezent od niej. Odezwiał się cicho:

– Nie, to nie jest sprawa wyboru – przez chwilę bawił się złotymi ogniwami, potem znów spojrzał na nią – jeszcze nie teraz.

✱

Kiedy w czasie wiosennej przerwy przyjechała do domu, Camden poruszał się z wyraźnym trudem. Zażywał lekarstwa na nadciśnienie i na serce. On i Susan, wyznał Leishy, rozwodzą się.

– Zmieniła się, Leisho. Sama widziałas. Przedtem była niezależna, twórcza i szczęśliwa, a po kilku latach nagle zerwała ze wszystkim i stała się zwykłą jędzą. – Potrząsnął głową w szczerym zdziwieniu. – Sama widziałas, co się działo.

Leisha widziała. Naszła ją wspomnienie: Susan, która bawi się z nią i z Alice w gry, które w rzeczywistości były testami kontrolującymi pracę i rozwój mózgu. Warkocze Susan tańczyły wokół jej roziskrzonych oczu. Alice kochała wtedy Susan, tak samo jak Leisha.

– Tatusiu, chcę dostać adres Alice.

– Mówiłem ci już w Harvardzie, że go nie mam – odparł Camden. Poprawił się w fotelu, niecierpliwym gestem kogoś, kto się nie spodziewał, że kiedyś wyczerpią się siły jego organizmu. W styczniu Kenzo Yagai zmarł na raka trzustki, Camden bardzo się tym przejął. – Wyplacam jej pensję za pośrednictwem adwokata, tak jak sobie życzyła.

– W takim razie proszę o adres adwokata.

Ale adwokat także nie chciał zdradzić, gdzie jest Alice.

– Ona nie życzy sobie, żeby ją odnaleziono, panno Camden. Chciała zerwać wszelkie więzy.

– Nie ze mną – odparła Leisha.

– Ależ tak – odrzekł adwokat i w kącikach oczu zabłysło mu to samo, co widziała kiedyś na twarzy Dave’a Hannawaya.

Zanim wróciła do Bostonu, poleciała do Austin, tracąc jeden dzień zajęć. Kevin Baker przyjął ją natychmiast, odwołując spotkanie z przedstawicielami IBM. Powiedziała mu, czego jej trzeba, a on zlecił to swoim najlepszym specjalistom, nie wtajemniczając ich w szczegóły sprawy. W ciągu dwóch godzin miała w ręku adres Alice, wykradzony z komputerowych kartotek adwokata. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy zwróciła się o pomoc do któregoś z Bezsennych i otrzymała ją natychmiast. Nie zażądano nic w zamian.

Alice mieszkała w Pensylwanii. Tydzień później Leisha wynajęła helikopter z pilotem – sama na razie potrafiła prowadzić tylko pojazdy naziemne – i poleciała do High Ridge, gdzieś w Appalachach.

High Ridge było samotnym osiedlem, oddalonym o dwadzieścia pięć mil od najbliższego szpitala. Alice mieszkała z mężczyzną o imieniu Ed, milczącym cieślą o dwadzieścia lat starszym od niej. Mieszkali w małej chatce na skraju lasu. W chatce była bieżąca woda i elektryczność, ale nie było sieci z wiadomościami. Ziemia oświetlona pierwszymi promieniami słońca wyglądała surowo i niegościnnie, pocięta lodowymi strumyczkami. Wyglądało na to, że Alice i Ed niczym się nie zajmują. Alice była w ósmym miesiącu ciąży.

– Wcale cię tu nie chciałam – powiedziała Leishy. – Po co przyjechałaś?

– Bo jesteś moją siostrą.

– Mój Boże, spójrz tylko na siebie. Czy tak właśnie ubierają się na Harvardzie? W takie bucior? Od kiedy to zrobiłaś się modną, Leisho? Zawsze była z ciebie taka intelektualistka, że nie zależało ci na strojach.

– O co w tym wszystkim chodzi, Alice? Dlaczego tutaj? Co ty wyprawiasz?

– Żyję – odparła Alice. – Z dala od kochanego tatuśka, z dala od Chicago, z dala od pijanej Susan. Wiedziałaś, że piję? Tak samo jak mama. To on tak niszczy ludzi. Ale ze mną mu się nie uda. Wyrwałam się. Ciekawe, czy ty też kiedyś zdołasz.

– Wyrwałaś się? W takie miejsce?

– Jestem szczęśliwa – odparła ze złością Alice. – Czy nie o to właśnie chodzi? Czy to nie jest właśnie cel twojego wspaniałego Kenzo Yagai – szczęście poprzez indywidualny wysiłek?

Leisha miała ochotę powiedzieć, że nie dostrzega, aby Alice zdobyła się na jakiś szczególny wysiłek. Ale nie powiedziała. Przez podwórze przebiegł kurczak. Za domem, wśród kolejnych piętér sienie mgły wznosiły się Appalachy. Leisha zastanawiała się, jak to miejsce wygląda zimą, całkowicie odcięte od świata, w którym ludzie dążą do własnych celów, uczą się, zmieniają.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Alice.

– Naprawdę?

– Tak.

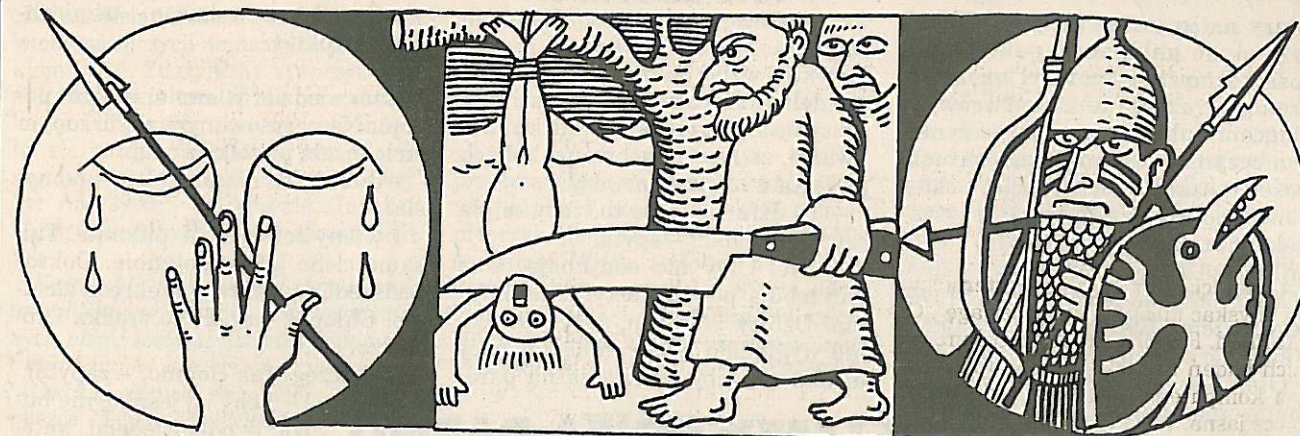
– W takim razie ja też się cieszę – rzuciła Alice niemal wyzywająco. W następnej chwili nieoczekiwanie uściśnęła Leishę, a wielki, twardy wzgórek jej brzucha znalazł się nagle między nimi. Włosy Alice miały słodkawy zapach, jak świeżo skoszona trawa na słońcu.

– Przyjadę jeszcze do ciebie.

– Nie przyjeżdżaj.

cdn.

Tomasz Niewiadomski



JESIEŃ

Wszedłem do klatki schodowej wlokąc za sobą torbę z książkami. „Śmietnik, zakupy, czytanki, odkurzacz, wypracowanie, kartofle” – powtarzałem w myślach.

Nie zauważyłbym go, gdyby nie zastawił mi drogi tępym końcem swojego oszczepu.

Był taki sam jak ja, miał moją twarz, tylko jego ubranie było inne i włosy dużo dłuższe.

Spojrzałem na jego czuprynę rozwianą zimnymi podmuchami, związaną w grubą kitę, na białą bliznę na czole, na przekłute cierniem lewe ucho, naszyjnik z mlecznych zębów wampira, futrzany kubrak, drewniane bransolety na przegubach, zatknięte za pas nagie ostrze szerokiego noża, wełniane nogawki spodni, przytroczony do uda pęk strzał o kamiennych grotach, wysokie buty z miękkiej skóry. On popatrzył w moje oczy. Mgiełka oddechu była zbyt cienka, aby przesłonić jego spojrzenie. Obaj milczeliśmy.

Sięgnął do worka na plecach, coś z niego wyjął. Uściśnął mocno moją rękę i odszedł w stronę lasu. Długo patrzyłem za nim, lecz nie odwrócił się.

Rozwarłem palce. W dłoni zostawił mi wyrzeźbiony w kości odyńca Księżyc w pełni z opuszczonymi powiekami i smutną twarzą. Księżyc płakał.

Wszedłem powoli na czwarte piętro. Otworzyłem drzwi. Zdjąłem kurtkę, założyłem kaptcie, włączyłem radio, po raz kolejny przejrzałem plik starych czasopism, odgrzałem i zjadłem przedwczorajszą zupę.

WIADRO JAKO NACZYNIE KRWIONOŚNE

Do wsi przysła zaraza.

Ludzie dostawali gorączki, potem czerwonych plam i po paru dniach umierali. Znachor powiedział, że jedyne lekarstwo to sok skrzatów. Ale skąd takie go skrzata wziąć?

Pewnie żyją w lesie.

Poszliśmy szukać w pięciu: ja, kowal z chłopakami i pastuch. Wzięliśmy siekiery, widły i wiadro. Błąkaliśmy się trzy dni. I nic. Ubiliśmy tylko jaszczurkę i dwie ropuchy.

Trzeba było wracać do wsi z pustymi rękami.

Już byliśmy przy samej wsi, a tu nagle na polanie przy podwójnym dębie coś się rusza. Podeszliśmy bliżej. Patrzymy, a tu w trawie tańczą małe stwory. Pięć ich było, całe gołe, włosy jak słoma i wianki na głowach.

Nic, tylko skrzaty.

Wszystkie chwyciliśmy. Strasznie się szarpały, gryzły i krzyczały. Ale nie puściliśmy.

Daliśmy obuchem po łbach, nie za mocno, żeby czerepów nie rozwalić i dalej toczymy z nich sok!

Każdego małego za nogi na gałąź i nożem po gardle. Ciekła z nich jucha czerwona jak u człowieka, prosto do wiadra. Aż się całe uzbierało. Trupy zostawiliśmy koło mrowiska, a potem szybko do wsi, żeby nie skrzepło.

To się ludzie ucieszyli. Wszyscy się zbiegli. Pili lekarstwo łyżkami i smarowali nim gęby. A co zostało, to zaniesli tym, co z łóżek nie mogli się podnieść.

Wtedy przyleciał znachor i zaczął wrzeszczeć, że nie mówił „sok skrzatów” tylko „sok z chrzanu”.

Któryś się musiał przestęszec.

A potem się wydało, że te małe to nie były skrzaty, tylko dzieciaki gajowego.

WIECZÓR

Oto najwaleczniejsza i najodważniejsza drużyna świata: Podarte Skrzydło – on nigdy nie chybiał, jego strzały są szybsze od nietoperzy. Wilczy Dół z pękiem kociej sierści przy hełmie, jest najstarszy z nas, zaciska dłonie na drzewcu topora. Odziany w pancerz ze skóry węża Łowca Motyli. Płomień – ma włosy w kolorze rdzy na ostrzu miecza, który znaleźliśmy na dnie jeziora. Czarna Chusta – jego twarz pokrywają blizny po pojedynku z królem jaszczurek. Ogón Czarnego Psa – tropiciel z nagim nożem zatkniętym za pas. Zawsze milczący Głęboka Woda, nikt nie pokona go w walce na miecze. Srebrna Tarcza zwany też Łuską Smoka – jego włócznia to postrach szerszeni. Szary Oddech – wiatr jest jego opiekunem, razem ujeżdżają ptaki, z cholewy buta wystaje mu rękojeść srebrnego sztyletu. Niszczyciel pajęczyn w długiej pelerynie to Niebooki.

Jestem taki mały jak oni. Stoję na czole. Zaraz ruszamy. Po fałdach koldry zjeżdżamy na podłogę. Poprowadzę ich przez rury kanalizacyjne. Będziemy podglądać dziewczyny kąpiące się w sąsiednich łazienkach, wydamy bitwę szczurom, ich krew spłynie ze ściekami. Potem przekradniemy się do ogrodu. Tam rośnie księżnicznik. Jego kwiat rozwija się tylko przy pełni i podąża za srebrną tarczą, tęski do niej.

Nadetniemy toporem łodygę i umoczymy grot strzał w ciekącym wolno soku, który daje długi głęboki sen.

Pójdziemy w góry. Odnajdziemy jaskinię, gdzie na posłaniu z podartych gazet i żółtych liści śpi nagi olbrzym.

On ma moją twarz i te same blizny.

Napniemy cięciwy, wymierzmy w pośladki.

On powinien spać bardzo, bardzo długo.

Stary mężczyzna stał przy otwartym oknie gabinetu i palił papierosa. Zamyślony patrzył na zakurzone, rozgrzane czerwonym słońcem ulicę, na mały rynek z nieczynną fontanną, na ratusz, kościół, szkołę, restaurację, posterunek policji. Na sklep i przystanek autobusowy. Widział całe miasto ze swego okna.

Miał na sobie biały kitel. Był weterynarzem. Rozmyślał o upałach, o suszy, o epidemii wścieklizny.

Otarł pomarszczoną dłoń pomarszczone czoło. Odprowadził wzrokiem wiozącą węgiel ciężarówkę, która złościła kołami rozmiętkły asfalt. Gdy umilkł warkot silnika, ktoś zapukał do gabinetu.

– Proszę! – krzyknął doktor i odwrócił się w stronę drzwi.

Do środka wsunął głowę mały, opalony na czerwono chłopak.

– Dzień dobry. Czy to pan leczy zwierzęta?

– Tak – odparł doktor.

– Wejdz.

Chłopak podeszedł do okna i rozejrzał się.

– Kto zachorował? – spytał weterynarz.

Przybysz wyjął z kieszeni spodni pudełko po zapalniczkach i położył na biurku. Doktor otworzył je. W środku na kilku spalonych zapalniczkach leżała ćma. Miała matowe białobrazowe skrzydła. Plamy na nich układały się w zawiły wzór przypominający wyblakłą pergaminową mapę. Krawędź jednego skrzydła była lekko nadpalona. Ćma miała duże pomarańczowe oczy.

– Nie żyje – powiedział doktor.

– Nieprawda! Śpi, bo jest bardzo chora! – zawołał chłopak.

– Co jej się stało?

– Znalazłem ćmę na poduszce, chyba przygniotłem ją głową. Trzymam ją w pudełku, bo ona boi się słońca. Ale lubi ogień.

– Od czego ma przypalone skrzydło?

– Od świeczki.

– Wczoraj nie było u was światła?

– Było. Ale ja też lubię bawić się ogniem.

Przez chwilę obaj milczeli. Potem chłopak bardzo cicho zapytał:

– Wyleczy ją pan?

– Nie uważałem w szkole dla lekarzy zwierząt, kiedy uczyli o chorobach nocnych motyli.

– Nic pan nie zrobi?

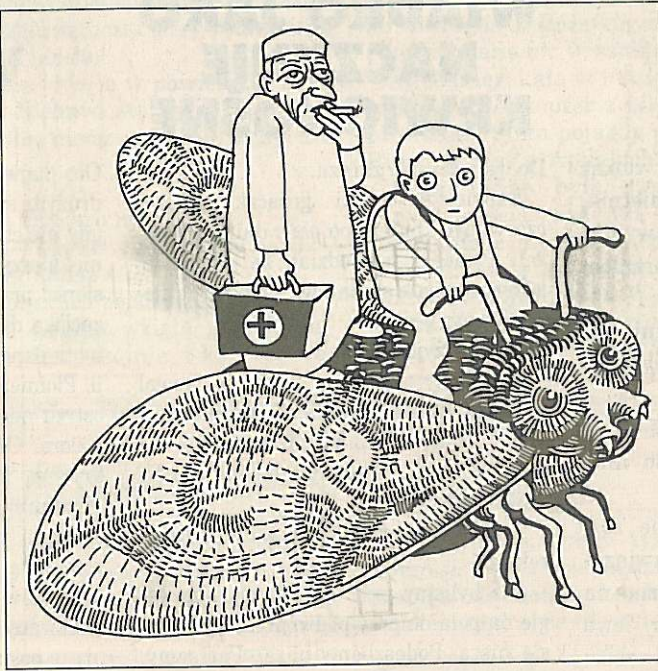
– Jeszcze nie wiem. Muszę ją obejrzeć.

Doktor wziął do ręki małe szczypce, delikatnie chwycił ćmę za całe skrzydło i położył ją na biurku. Zauważył, że na wierzchu i po bokach pudełka wycięte są otwory.

– Te dziurki są po to, żeby miała czym oddychać? – spytał.

– Nie. Ćmy nie oddychają. One potrzebują powietrza tylko do latania. Dziury zrobiłem, żeby pudełko nie wyglądało jak trumna. W nocy myślałem, żeby położyć ją na para-

ĆMY LECZY SIĘ ZA DARMO



pecie, żeby ją zjadł nietoperz albo sowa i by znów latała, ale to by bolało. I nie zobaczyłaby już ognia.

Nagły podmuch ciepłego suchego wiatru szerzej rozwarł okno i poruszył skrzydłami leżącego na blacie owada.

– Widzi pan? Ona żyje! Mówiłem.

W nocy też się trochę ruszała – krzyknął chłopak.

Doktor lekko dmuchnął na ćmę. Skrzydła znów zadrżały.

– Przyjdź do mnie dzisiaj, jak się ściemni. Mieszkam tutaj, w tym domu na piętrze. Trafisz po ciemku?

– Tak.

– Rodzice cię puszczą?

– Jestem tu u babci na wakacjach.

Ona jest prawie głucha. Do spania zdejmuję taki aparat, żeby lepiej słyszeć i wtedy mogę robić, co tylko chcę.

– Ona niech zostanie na razie u mnie. W nocy ją wyleczymy.

Chłopak rozpiął pasek na przegubie.

– Ale ja nie mam pieniędzy. Mogę dać panu zegarek. W wakacje i tak mi niepotrzebny.

– Ćmy lecze za darmo – uśmiechnął się doktor.

✱

Doktor siedział w swoim małym pokoju. Na porzucanym zakurzonej stole leżało pudełko z ćmą.

– Już chyba nie przyjdzie – pomyślał.

I wtedy rozległo się pukanie. Tak samo ciche jak w południe. Doktor podeszedł do drzwi i przekreślił zasuwę. Chłopak wszedł do środka i rozejrzał się.

– Dlaczego tak ciemno? – zapytał.

– Żeby jej jeszcze nie budzić – odpowiedział weterynarz. – Chcesz herbaty?

– Tak. Tylko żeby było dużo cukru.

Doktor zapalił gaz na małej kuchence i postawił na niej czajnik. Tą samą zapalniczką przypalił papierosa.

W świetle zapalniczki chłopak zobaczył białe blizny na grzbiecie dłoni weterynarza. Widział je już wcześniej, w gabinecie, ale bał się pytać. Teraz się odważył.

– Od czego ma pan te ślady na ręku?

– Od pazurów tygrysa. Kiedyś pracowałem w cyrku.

– Czytałem raz książkę o doktorze, który rozmawiał ze zwierzętami. Pan też umie?

– Trochę. Ale z ćmą nie porozmawiam. Ona ciągle

część opozycji przechodzi na „czerwony prowiant” albo umiera z głodu, co oczywiście jest mile widziane. No, a potem znowu wybucha wojna i nastają czasy dobrobytu, jest mnóstwo jedzenia także z najwyższym znakiem jakości. Kiedyś była wojna na Wschodzie i na rynku pojawiło się masę konserw ze znakiem Q. Tylko potem przestali się przykładać do produkcji i trzeba było wyjmować kawałki skóry z mielonki.

Miałam wtedy 5 lat i pewnie dlatego tak wyrosłam – na dobrych odżywkach. W ogóle nasz rocznik jest bardzo udany, choć specje od żywności uważają nas za żyłastych. Wolałabym nie przyznawać się do tego w ogniwie, ale deprymuje mnie fakt, że ledwo skończyłam piętnaście lat, a już sprawdzają moją przydatność do spożycia. Przecież jeśli się będę pilnować, nie czytać, czego nie trzeba, i jeśli mi się uda dostać do partii, to mogę dociągnąć spokojnie do 45, ba do 50. Podobno poprzedni gabinet był w tym wieku, zanim go nie obaliła junta. Dużo było z tym radości, zniesiono kartki na żywność i wycofano z rynku te okropne

spi. Chodź, obudzimy ją. Już czas.

Podeszli obaj do stołu. Doktor położył ćmę na gazecie i zbliżył ją do stojącego obok wentylatora.

– Zaraz będzie latać – szepnął i nacisnął włącznik elektrycznego wentylatora.

Chłopak szeroko otworzył oczy.

Prąd powietrza porwał ćmę z gazety i poniósł ją w stronę otwartego okna, za którym było widać uliczną latarnię. Ćma była już prawie na zewnątrz, gdy odbiła się od krawędzi firanki. Zawróciła. Poszybowała nad stołem, nad przepelnioną popielniczką i wpadła w ogień kucharki.

Cicho splotęła.

I w tej samej chwili zaczął gwizdać czajnik.

Doktor i chłopak siedzieli jeszcze ponad dwie godziny w małym pokoju. Prawie do świtu. Rozmawiali o lataniu i o ogniu. Pili herbatę ugotowaną na białobrazowych skrzydłach, przypominających mapę wyspy, na której piraci zakopali skarby.

Tomasz Niewiadomski

„Indeks Ksiąg Zakazanych” obejmował większość pozycji napisanych przed rokiem 3000. Zdażyliśmy stworzyć własną klasykę, a tamtej nie potrzebowaliśmy. Niby nigdy się o niej nie mówiło, ale każdy wiedział, że jest. Pierwszą datą w „Kronikach Historii Nowej” był rok 2998 – stworzenie „Indeksu Ksiąg Zakazanych”, który zaczynał się tak:

Każdy, kto dobrowolnie zatruje swój umysł lekturą jednego z niżej wymienionych pism, zostanie skazany na śmierć i umieszczony w czerwonej puszcze.

Co za różnica, w jakiej puszcze. Tylko opozycjoniści nie jedli z czerwonych puszek, jak zawsze przeciwni rządowi i ustalonemu porządkowi. Jakby to kogoś na górze naprawdę obchodziło, że taki A257, czy B765 nie jedzą mięsa z czerwonych puszek. No, ale tacy już byli – na przekór. Co do zielonych konserw, to trafiali tam ci, którzy „mimowolnie oddali się lub byli poddani lekturze niżej wymienionych ksiąg”.

Właściwie nie wiadomo, kto sporządził „Indeks”, ani czym się kierował. Tytuły zawarte w „Indeksie” i tak nic już nam nie mówią: „Stary Testament”, „Kodeks Napoleona”. My po prostu żyjemy starając się przestrzegać praw i od czasu do czasu ustanowień specjalnych. Tych ostatnich najwięcej w latach kryzysu, kiedy nie ma co jeść i nawet

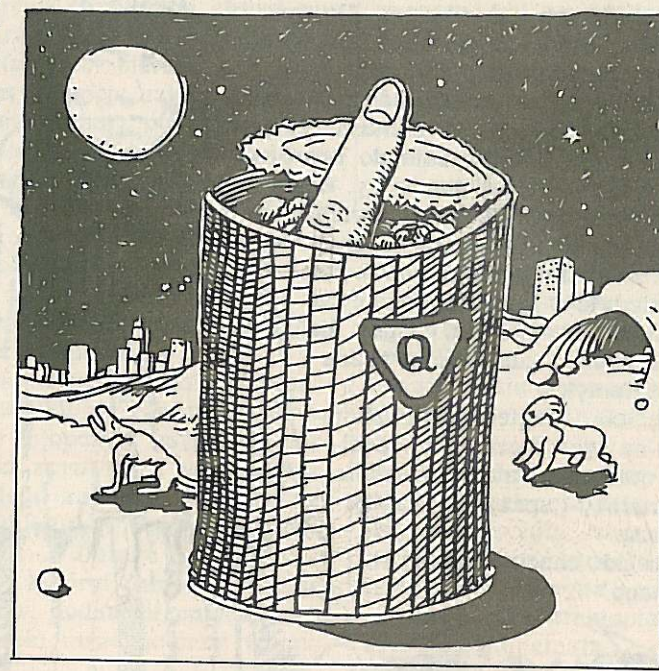
część opozycji przechodzi na „czerwony prowiant” albo umiera z głodu, co oczywiście jest mile widziane. No, a potem znowu wybucha wojna i nastają czasy dobrobytu, jest mnóstwo jedzenia także z najwyższym znakiem jakości. Kiedyś była wojna na Wschodzie i na rynku pojawiło się masę konserw ze znakiem Q. Tylko potem przestali się przykładać do produkcji i trzeba było wyjmować kawałki skóry z mielonki.

Miałam wtedy 5 lat i pewnie dlatego tak wyrosłam – na dobrych odżywkach. W ogóle nasz rocznik jest bardzo udany, choć specje od żywności uważają nas za żyłastych. Wolałabym nie przyznawać się do tego w ogniwie, ale deprymuje mnie fakt, że ledwo skończyłam piętnaście lat, a już sprawdzają moją przydatność do spożycia. Przecież jeśli się będę pilnować, nie czytać, czego nie trzeba, i jeśli mi się uda dostać do partii, to mogę dociągnąć spokojnie do 45, ba do 50. Podobno poprzedni gabinet był w tym wieku, zanim go nie obaliła junta. Dużo było z tym radości, zniesiono kartki na żywność i wycofano z rynku te okropne

piguły na podniesienie płodności, od których wszystkim, nawet mnie, robiło się niedobrze.

Pamiętam, jak zniknął pierwszy z moich znajomych. Może jestem dziwna, ale potem przy każdym posiłku przetrząsałam widelcem mięso, a nawet papkę z kości. Ten kolega miał pieprzyk na policzku i tego właśnie szukałam. Wiem, że to bez sensu. Powinam była powiedzieć o tym opiekunowi, cóż – obawiałam się kary. Nie wolno nam zbliżać się wzajemnie. Przerzucają nas z miejsca na miejsce,

WÓDZ



żebyśmy się nie przyzwyczajali do siebie. Możliwość spotkania kogoś ponownie jest bardzo niewielka, a o ewentualnych pomyłkach należy natychmiast informować w kadrach. Myśmy tego nie zrobili. Straszne, chcieliśmy ze sobą przebywać, rozmawiać – a to przecież zabronione. Nie rozmowa, w końcu, lecz zdolność wymiany komunikatów odróżnia nas od tych cholernych, niejadalnych piesaków. Zabronione jest pogłębianie więzi. TO jest niebezpieczne. Teraz wiem dlaczego.

✱

Nazywał się R 215 i należał do innej grupy wiekowej, co było o tyle dziwne, iż zazwyczaj starano się nas skupiać w grupach rówieśniczych. On był dwa lata starszy. Od razu zwróciłam na niego uwagę. Spodobał mi się. Miał w sobie jakiś magnetyzm. I nie chodziło tylko o seks. Toteż bardzo przeżyłam, kiedy przerzucono mnie do obozu w górach. Właściwie zawęził się tylko horyzont, jaki mogłam objąć wzrokiem, ale poczułam się bardzo źle i leczono mnie na infekcję wirusową. Nie jest najlepiej, kiedy ktoś umiera od

choroby, bo to stwarza potem masę problemów – odkazanie itd.

Któregoś dnia zobaczyłam R 215 – wracał z naręczem martwych piesaków. Nie mogłam krzyknąć z obawy przed dekonspiracją, ale zabiegłam mu drogę. Widziałam, jak rozjaśnia mu się twarz. Pobiegł zdać piesaki do internanta, a potem spotkaliśmy się w jaskini. Spędziliśmy pół nocy na rozmowie. Czulałam, że moja infekcja minęła. Postanowiliśmy nie przyznawać się do znajomości. Każde z nas prowadziło w dzień przypisany mu tryb życia, a o zmierzchu spotykaliśmy się w jaskini. Aż któregoś dnia wszystko się skończyło. Spóźnił się bardzo i przyszedł dopiero nad ranem. Obudziły mnie jego kroki na mokrym żwirze jaskini. Usiadł i przez chwilę nic nie mówił. A potem nagle:

– Przeczytałem, znalazłem pod kamieniem. – I wyciągnął plik kartek, zmięty i zniszczony.

Nie chciałam czytać, przekonywałam go, żeby zapomniał, wyrzucił z pamięci, ale on tylko powtarzał: „Niech mnie zjedzą, niech mnie zjedzą, nie chcę żyć...” Plakałam i prosiłam go, żeby przestał, przekonywałam, że nie wie, co mówi. Nic do niego nie docierało, zdenerwował się tylko i krzyknął:

– A czy ty w ogóle wiesz, czym może być życie! – I wybiegł z jaskini.

Nazajutrz rozszarpały go piesaki.

Długo nie chciałam wracać do tej jaskini, ale kiedy wreszcie tam poszłam, zastałam wszystko w takim stanie jak wtedy. Kopczyk kamieni piętrzył się nad książką, którą zostawił R wybiegając z jaskini. Usypywałam go przy wstającym słońcu z zamkniętymi oczami. A teraz z rozmysłem zdejmowałam kamień po kamieniu. Nikt mnie do tego nie zmuszał. Aż w końcu zobaczyłam. Czytać umie każdy – jest to niezbędne dla obsługi maszyn, a poza tym i my mamy literaturę... własną. Ale tamta to nie była jedna z naszych książek. Nosiła tytuł „Uczta”. Kiedy wyszłam z jaskini, rozumiałam już R.

To było przeszło 30 lat temu, a ja nadal pamiętam prawie każde przeczytane wtedy słowo. Nikomu się nie przyznałam, starałam się zachowywać tak samo – jestem silna. Tylko czasami wychodziłam z obozów i wyłam z piesakami do księżycy.

Tego oczywiście nie znajdziecie w mojej biografii – nikt o tym nie wie. Do czego by to mogło doprowadzić. Wódz Partii w czerwonej puszcze. Śmiechu warte.

TKACZ ILUZJI

Ewa Białofęcka

Lustro lampy nie odbijało światła tak, jak powinno. Rajwyższy czas, by znowu je wypolerować. Podkreśliłem knot i pochyliłem się nad preparatem. Zarodek jaszczurki piaskowej, obrzydli-
stwo. Tyle tylko, że ta babranina da mi materiał do pracy nad nową metodą leczenia porażenia mózgowego. Ciekawe, co powiedzą starsi Kręgu. Czy skierują opracowanie do kapiarni? Przednie lustro odbijało maskę wielookiej poczwary. Człowiek mający mikroskop na twarzy wygląda niesamowicie.

Ra żewnątrz chaty przeraźliwie beczała koza. Raukowe badania i koza. Bogowie, cóż za zestawienie! Ale tak bywa, gdy człowiek jest magiem zaledwie w klasie Obserwatora. Magiem się nie zostaje, magiem się rodzisz i nigdy nie zdobędziesz niczego więcej niż to, co zostało ci przeznaczone. Chociaż, może właśnie Kamyk...

Razuwam się Płowy. Jestem magiem. Mieszkam w wiejskiej chacie, zarabiam na życie leczeniem nosaczyny u koni i kołowaczyny u owiec. Rastawiam złamane kości, szczepię przeciwko gruźlicy i sprzedaję „napoje miłości”, w które sam nie wierzę.

Wieśniacy okazują mi szacunek, chociaż nie silę się na tajemniczość jak wielu mego fachu. Żyję jak wszyscy mieszkańcy tej wioski. Zajmuję niewielką, drewnianą chatę, dzieląc ją z trzema kozami i... Kamykiem.

Właśnie wszedł. Od reszty pomieszczenia oddzielała mnie tylko cienka kotara i wyraźnie słyszałem łoskot przewróconego stołka, tupanie, zgrzyt pokrywki o brzeg garnka. Riewiarygodne, ile hałasu potrafi zrobić ten chłopiec. Rajsmutniejszy, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Szurnęła zasłona, zza mego ramienia wysunęła się ręka Kamyka, trzymająca duże, rumiane jabłko. Usunąłem szkła sprzed oczu i wziąłem podarunek. Kamyk uśmiechał się szeroko, pokazując rzędy białych, równych zębów. Co on kombinuje? Jabłko miało właściwy ciężar i zapach. Skórka stawiała opór zębom, a na język spłynął słodko-kwaśny sok. Brakło tylko jednego.

„Dobrze” – kiwnąłem głową i odłożyłem jabłko na stół. Uśmiech Kamyka



Jarosław Musiał

znikł jak zdmuchnięty. Nie tak łatwo było go oszukać. „Dlaczego?” – dłonie chłopca zatańczyły, kreśląc w powietrzu ciąg znaków. „Co było źle? Które elementy?”

Westchnąłem. Krąg dłonią na płask, dotknąć skroni, rozprostować palce.

„Wszystko dobrze. Brak jednego. Ric nie słyszałem”.

„Jabłka też... mówią?” – Twarz Kamyka wyrażała zniechęcenie.

„Tak”.

Owoc zniknął. Chłopiec odszedł zgarbiony. Jabłka nie mówiły, ale jak wytłumaczyć głuchoniemu dziecku, że przy ugryzieniu słychać chrupnięcie?

Dziesięć lat temu trafiłem do wsi Strzelce. Razywała się tak dlatego, że mieszkańcy wyrabiali najlepsze łuki i strzały w całej północnej Lengorchii. Po co magowi łuk? Cóż, przed rozmaitymi obwiesiami chroni nas niewyobrażalny prestiż Kręgu, ale jak każdy śmiertelnik posiadamy ciała łaknące nieraz dziczyzny. W Strzelcach chętnie przyjęto moje usługi. Dach nad głową zapewnił mi Chmura, rymarz posiadający nie-liczną rodzinę. Składała się z cichej, zatroskanej żony imieniem Stokrotka i równie cichego dziecka. Życie w Strzelcach toczyło się z niezmienną regularnością następujących po sobie siewów, zbiorów, narodzin, pogrzebów oraz przyjazdów kupców z towarami i po towar. Wieśniacy byli tak samo prości, jak ich imiona. Ric nie wskazywało na to, by którykolwiek osiągnął coś więcej niż jego rodzice i dziadowie.

Synek Chmury często bawił się samotnie na piaszczystym podwórzu. Z początku nie zwróciłem na niego uwagi. Po prostu mały chłopczyk, usypiający kopczyki z piasku. Przypadek sprawił, że pewnego ranka przypatrzywałem się jego zabawie. Ra pierwszy rzut oka małe męczył kilka żuków. Ale, o dziwo, żuków było to trzy, to siedem... Małały, rośli... Bogowie piekiel! – zmieniały też kolory! Chłopczyk z zajęciem wrzucał je do dołków, podsuwał patyczki pod gmerające rozpaczliwie łapki, mruczając przy tym monotonnie.

– Co ty robisz, mały!? – zapytałem, może trochę zbyt gwałtownie.

Brzdąc, pochłonięty zabawą, nie drgnął nawet. Powtórzyłem pytanie głośniejszym głosem i stuknąłem go w ramię. Małec podskoczył i zamarł, wlepiając we mnie nieprzytomne, brązowe oczy.

– Kto cię tego nauczył?

Kolorowe cudenka znikły. Dwa zmęczone owady umknęły w chwasty pod płotem. Za sobą usłyszałem głos Chmury:

– To na nic, panie. Urodziło się toto nierozumne. Po- ciechy z niego nijakiej.

Chmura westchnął ciężko i machnąwszy ręką, poszedł do warsztatu.

Uważnie obserwowałem Kamyka. Wypytywałem jego rodziców i odkryłem ponurą prawdę. Dziecko było normalne. Było tylko głuchonieme, ale to małe słówko „tylko” urastało do potwornych rozmiarów. Głuche dziecko z magicznym talentem – straszliwa drwina losu. Kamyk już w tej chwili, samodzielnie, w prosty, co prawda, sposób, potrafił wykorzystać swe zdolności. Czym stałby się w przyszłości, gdyby nie jego kalectwo? Jak długo jeszcze będzie tolerowanym maluchem? Kiedy stanie się poszturchiwanym wyrostkiem, darmozjadem, popychadłem?

Niebawem opuściłem tę wieś, ale pamięć o ci- chym dziecku nie zbladła. Wspomnienie o Kamyku

tkwiło w niej w postaci wyrzutu sumienia. Są różne kategorie magów. Ja sam wyczuwam myśli i uczucia ludzi. Są także Mówcy odbierający je i przekazu- jący Wędrowcy – ci znikają w jednym miejscu i pojawiają się w drugim. Długo trzeba by wymie- niać. Kamyk przejawiał nieczęsto spotykany talent Tkacza Iluzji. Ale kto podjąłby się nauki głuchego dziecka?

Rok później dotarła do mnie wiadomość z Kręgu: na południu wyżyny Lenn szalała epidemia i każdy mag miał obowiązek pomóc w jej opanowaniu. W ten sposób los znów zaprowadził mnie do Strzel- ców. Zaraza wygasła, a ja odszedłem stamtąd, pro- wadząc za rękę chudego chłopczyka o poważnej buzi.

Od tamtej chwili minęło wiele lat. Kamyk zaczynał wyrastać już na młodzieńca. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nigdy nie żałowałem tamtej decyzji, że nie ogarniało mnie zmęczenie i zniechęcenie. Nie zawsze potrafiłem zrozumieć Kamyka, a on nie zawsze był wzorem posłuszeństwa. Rigdy nie za- pomnę pierwszych, koszmarnych tygodni, gdy po- rozumienie się w błahych nawet sprawach wydawa- ło się niemożliwe. Jednak wśród wątpliwości, też Ka- myka, moich i jego błędów wyrosła wreszcie więź nie do zerwania – on był mój, a ja jego.

Rigdy nie nauczył się mówić. Nie zdawał sobie sprawy z istnienia świata dźwięków. „Mowa”, „hałas” były dla niego pustymi pojęciami. Dlatego też nigdy nie starał się cicho zamykać drzwi, stawiać delikat- nie miski, nie trząskać przedmiotami w naszym go- spodarstwie. Ra próżno układałem mu usta, kaza- łem wydychać w określony sposób powietrze, kła- dłem jego rękę na mojej krtani. Mowa była dla niego drganiem gardła, równie niezrozumiałym jak dyg- otanie chustki suszącej się na silnym wietrze. „Czyta- łem” umysł Kamyka i widziałem świat takim, jakim poznawał go ten chłopiec. Świat, gdzie moneta była twarda i kanciasta, lecz nigdy brzęcząca, burza oznaczała błyskawice, a nie gromy.

Świecił za to Kamyk triumfem w tym, co przeniósł przez pierwszą z Bram Istnienia. Potrafił godzinami przesiadywać w pozycji medytacyjnej, nadając coraz bardziej fantastyczne kształty najmniejszemu zdżbłu trawy. W końcu zaczął kształtować nawet powietrze, poddawało się jego woli jak glina palcom garncarza. Marzyłem o tym, by Kamyk stanął do egzaminu w Kręgu. Śniłem o igłach tatuownika, które kreśliły znak Kręgu i runę „dłoń” nad lewą piersią Kamyka. Riestety, to były tylko sny. Do pełnego mistrzostwa brakło mu jednej rzeczy. Jego drzewa poruszane wia- trem nie szumiały, ogniste ptaki były nieme, wielkie, groźne bestie bezgłośnie otwierały pyski. Potrafił stworzyć iluzje wszystkiego, prócz dźwięku. Z wie- kiem coraz pełniej zdawał sobie sprawę z przepaści, która dzieliła go od reszty ludzi. Czuł się coraz bar- dziej pokrzywdzony, coraz więcej zbuntowany. Wła- śnie ten bunt miał go zaprowadzić dalej niż mogłbym przypuszczać.

Kilka dni po wydarzeniu z jabłkiem napinana latami struna wreszcie pękła. Siedzieliśmy przy stole. Ka- myk bazgrał w skupieniu na łupkowej tabliczce, spi- sując osobiste obserwacje. Usiłowałem zredagować wpis do diariusza, w czym przeszkadzało mi potworne skrzywienie Kamykowego rysika. Już miałem zwrócić chłopcu uwagę, by go sprawdził, gdy Kamyk podniósł głowę znad tabliczki i zapytał:

„Dlaczego nie można narysować psa, zamiast rysować te wzorki?” Tu wskazał palcem na ciagi run. „Było by łatwiej”.

Odłożyłem pióro.

„Nie wszystko da się narysować. Sam o tym wiesz. Smutek, zimno, muzyka...” W momencie składania rąk do ostatniego znaku zrozumiałem popełniony błąd. „Muzyka” niezmiennie doprowadzała Kamyka do pasji, gdyż w żaden sposób nie potrafiłem mu wyjaśnić, na czym polega. Tak więc, gdy zrobiłem ten fatalny gest, Kamyk wybuchnął. Jego dłonie zaczęły się poruszać z wielką szybkością. Twarz chłopca zastygła w maskę złości.

„Muzyka, co to jest muzyka, znowu coś, gdzie trzeba mieć uszy, ja mam uszy i co z tego, mogę ich nie mieć i będzie to samot” Szarpnął się za nie, jakby chciał je oderwać od głowy. „Nigdy nie będę prawdziwym magiem, nie umiem dobrze układać iluzji, lepiej umrzeć i niech piekło...”

Przycisnąłem mu ręce do biału. Trwaliśmy tak długą chwilę. Wreszcie twarz Kamyka straciła dziki wyraz. Puściłem go. Popatrzył na do połowy zapisaną tabliczkę, wziął rysik i powoli napisał runy „grom”, „pieśń”. Równie powoli jego dłonie ułożyły pytanie:

„Czy naprawdę nigdy nie dowiem się, co one znaczą? Czy ktoś umiałby mnie wyleczyć?”

Co miałem mu odpowiedzieć? Kto potrafiłby odwrócić zniszczone nerwy słuchowe? Może jeden Buron, legenda i bożyszcze wszystkich magów z kasty Stworzycieli, tyle że nie żył już od kilku wieków. Rikł w obecnych czasach nie ryzykował transformacji „żywego w żywe” na człowieku. A może jednak, choć częściej? Czy miałem prawo odbierać Kamykowi tę szansę?

„Stworzyciel” – ułożyłem palce w kształty „koło i płomień”.

Wbrew moim obawom Kamyk nie indagował dalej. Wytarł porządnie tabliczkę, odłożył ją na półkę i usiadł przed chatą w pozycji medytacyjnej. Siedział tak przez wiele godzin, ale nie dostrzegłem, by przed nim pojawiła się choć jedna zjawia. Myślał intensywnie. Budziło to we mnie niepokój i musiałem powstrzymać się przed wejściem w jego umysł.

Rankiem Kamyk stanął przede mną z torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Przeczuwałem to, ale przecież zakłóciło mnie w sercu i ujrzałem Kamyka już nie jako chłopca, lecz młodego mężczyznę, wiedzącego, czego chce.

„Wybacz. Muszę odejść” – wytrzepotały dłonie Kamyka.

„Wróć!”

„Gdy tylko odnajdę Stworzyciela”.

„A jeśli nie znajdziesz?”

„Znajdę i wrócę”. Kamyk zmarszczył brwi.

Ro, tak. Jednym z najwyraźniejszych rysów jego charakteru był upór.

Dałem mu na drogę kilka sztuk srebra. Uściskaliśmy się krótko, po męsku. Poszedł. Wyglądało to na ośchłe i niewdzięczne pożegnanie, lecz miałem przed sobą myśli Kamyka. Wyraźne jak runy na karcie księgi. Wiedziałem, jak bardzo żał mu odchodzić, jak ciepłe uczucia żywi do mnie i miejsca, które przez większą część życia było mu domem.

Mijały dni, zmieniały się pory roku. Soczysta zieloność Pagórków odmieniła się z wolna w ugor wyschniętej trawy, gdy Księżniczka Wiosny ustąpiła

miejsca Księżnej Lata. Przybywało zapisanych kart w księdze i coraz grubszy stawał się stosik pergaminów gromadzący wiedzę o preparatach biostymulacyjnych.

Brakowało mi Kamyka. Męczyła mnie samotność, przerywana tylko odwiedzinami potrzebujących porady. Codziennie wyglądałem na trakt prowadzący ku Pagórkom i co dzień przeżywałem rozczarowanie. Przypominałem sobie każdy szczegół twarzy Kamyka, gdyż któregoś razu spostrzegłem, że zacierają się w mej pamięci. Spuszczałem powieki i dopasowywałem, jak części mozaiki, wysokie czoło, brwi zarysowane mocną kreską, krótkie, ciemne włosy, które nie potrafiły się zdecydować, czy skrócić się w loki, czy rosnąć prosto. Wspominałem szczupłą, kancistałą twarz i osadzone w niej wąskie, wciąż rozbiegane oczy, chcące jak najwięcej dostrzec i zapamiętać.

Odeszło lato, a z nim zbiory owoców i ciepłe dni. Przyszły deszcze. Poziom rzekł rósł, a ciemne fale niosły ze sobą żyzny muł – błogosławieństwo lengorchiańskich rolników. Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek zobaczę mego chłopca.

Była już prawie noc, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Ratychmiast po nim, nie czekając na zaproszenie, wszedł gość. Ociekał deszczem. Mokre ubranie oblepiało go tak, że wydawał się bardzo wysoki i chudy. Przy jego nodze kulił się, równie przemoczony, biały pies.

– Bądź pozdrowiony, gościu – powiedziałem.

Przybysz zdjął kaptur. W zwodniczym świetle źle wyregulowanej lampy zobaczyłem...

– Kamyk!!!

Teraz śpi, zmęczony długą podróżą i opowiadaniem o swoich przygodach. Coś mu się śni, bo po podglądaniu biegają złote jaszczurki, których nie ma w rzeczywistości. Biały pies (czy mogę go tak nazywać?) drzemie na koziej skórze przed paleniskiem. Co jakiś czas otwiera jedno oko i spogląda na mnie.

Spisuję historię podróży Kamyka. Tak, jak ją poznałem. Tak, jak spisałby ją on sam. Och, nie, przyznam się, że wyglądam trochę styl i dodaję własne określenia.

Moje najbardziej wyraźne wspomnienie z dzieciństwa dotyczy pewnego chłodnego dnia, gdy ponury i obrażony na cały świat, siedziałem pod płotem na skraju drogi. Wiejskie dzieci nie dopuściły mnie do jakiegś zabawy i życzyłem im szczerze, by zamieniły się w żaby. Rozpamiętywałem swą krzywdę i strasznie sam siebie żałowałem. Wtedy zobaczyłem tamtą dwójkę. Nadeszli od strony Pagórków. Wizerunek starca zatarł się w mej pamięci. Wiem tylko, że zdawał mi się szalenie wysoki. Podróżny płaszcz targany wiatrem unosił się na jego ramionach jak wielkie skrzydło. Starzec podpierał się długim kijem. Połowę twarzy od czoła do czubka nosa skrywała mu ciemna przepaska. Trzymał rękę na ramieniu dziecka, które go prowadziło. Trudno powiedzieć, czy był to chłopiec, czy dziewczynka. Ja jednak sądzę, że dziewczynka, choć przeczyły temu krótkie włosy. Mama ozdobiła wyszarzały płaszcz skromną, zieloną tasiemką, a z jej kaptura wyglądała garść polnych kwiatów. Gdy mnie mijali, dziewczynka spojrzała ciekawie i uniosła ręce, by odgarnąć z oczu czarne kosmyki. Długie rękawy osunęły się i... zobaczyłem, że przedramiona tego dziecka kończą się gdzieś w połowie,

a dłonie zostały zastąpione drewnianymi pazurkami. Para wędrowców minęła mnie. Dziewczynka podskoczyła jak wesoly królik. Jej ciężkie trepy uniosły kłęb kurzu, który, niesiony wiatrem, zasypał mi oczy. Kiedy je przetarłem, starca i dziewczynki nie było już widać. Zniknęli między chatami. Pamiętałem o tamtym dziecku przez długie lata, gdyż było kimś, z kim los obszedł się równie bezwzględnie jak ze mną. Przestałem się nad sobą użalać, a jednocześnie poczułem ulgę. Może powinienem się jej wstydzić.

Po awanturze z tobą, kiedy godzinami siedziałem na podwórzu, prześladował mnie obraz tamtego dziecka. Ziarenka piasku jakby bez mego udziału ułożyły się w wizerunek małej buzi tak, jak ją zapamiętałem. Ciekawy rzut ciemnego oka i uśmiech odsłaniający drobne zęby. I włosy odgarniane ręką... której nie było. Burzyłem układ jednym ruchem, a on odtwarzał się znowu. I jeszcze raz, i na nowo. Oczy starca. Dziecko. Ręce zamienione na rzeźbione drewno. Uśmiech kalekiej dziewczynki.

Co mogłoby zastąpić moje uszy? Właśnie – jeśli nie wyleczyć, to zastąpić? Czy Stworzyciel da mi odpowiedź? Dziecięcą twarzą na piasku zastąpił Krag i Płomień – znak kasty Stworzycieli.

Zrozumiałeś mnie, Płowy, i dlatego pozwoliłeś mi odejść. Jeśli ma się niepełny talent, to jakby było się tylko kawałkiem maga. Na wieczny Krag! Nie tego chciałem.

Odnalezienie Stworzyciela nie miało być rzeczą łatwą. Przede wszystkim nie wiedziałem, gdzie go szukać. Wiedziałem natomiast, gdzie znajdę wiadomość o nim. W każdym większym mieście stała kamienna wieża, w której żył Mówca – żywa skarbnica wiedzy o całej Lengorchii. Długo wędrowałem zapyłonymi gościńcami. Omijały mnie złe przygody. Chyba wyglądałem zbyt ubogo, by rzezimieszkom chciało się mnie rabować. Kilka srebrnych monet, które mi dałeś, chowałem na czarną godzinę. Wieśniacy nie żalowali jedzenia po obejrzeniu kilku magicznych sztuczek. Wyjmowałem wiewiórki z rękawów, rozmnażałem drobne przedmioty. Prościutkie ćwiczenia, które robiłem już jako kilkulatek. Nie chciałem odsłaniać swoich prawdziwych umiejętności. Wstydziałem się, że były niepełne. A jednak pewnego razu...

To był bogaty dom. Wielki, o wysokich białych ścianach, z rzeźbionymi kolumnami, tarasami i kolorowymi szybami w oknach. Równie bogato prezentowały się pomieszczenia dla służby, do których wszedłem. Ledwie jednak oczarowałem klucznicę bukietem kwiatów wyciągniętym spod jej fartucha, poczułem szarpnięcie za rękę. Dziewczynka, mniejsza i dużo młodsza ode mnie, pociągnęła mnie białymi korytarzami. Biegła, podskakując jak żreback i ledwo za nią nadążałem, objając się o każdy węgiel. Co chwila odwracała do mnie twarz, a jej usta poruszały się bez przerwy. Wreszcie wciągnęła mnie do przestronnej komnaty, również białej. Rozglądałem się niezbyt chyba przytomnie. Dokoła stały ozdobne, drogie sprzęty, podłogę zaślano kolorowymi dywanami, do tej pory oglądałem je tylko w warsztatach tkackich – przeznaczone na sprzedaż. Po chwili dostrzegłem w tym natłoku czarnobrodego mężczyznę i kobietę w bardzo pięknej, ale chyba niewygodnej sukni. Dziewczynka pochylona ku mężczyźnie szeptała wskazując na mnie ręką. Kiwnął głową, mierzając mnie wzrokiem, jakby chciał zedrzyć nim ze mnie ubranie, skórę i obejrzyć kości. Za jego krzesłem wisiało duże lustro. Odbijał się w nim fragment oparcia i głowy siedzą-

cego, a przede wszystkim bardzo szczupły, wysoki, strasznie zakurzony młodzieniec o nieco dzikim wyrazie twarzy. Zawstydzilem się, w tym otoczeniu wyglądałem jak drobny złodziejask lub żebrak. Pan domu znowu skinął głową. Zaczepnąłem powietrza i rozkażalem kwiatom wyobrażonym na kobiercu wzrosnąć i rozwinąć barwne płatki. Lustro spłynęło ze ściany, zmieniając się w strumień, nad którym pochylały głowy spragnione sarny. Kobieta otworzyła szeroko usta, szarpnęła naszyjnik, którym dotąd bawiła się od niechcenia. Ręczne perły posypały się gradem między wizerunki kwiatów, gdzie natychmiast zaczęły je dziobać najbarwniejsze ptaki, jakie tylko umiałem wymyślić. Dziewczynka z radosną miną wyciągnęła ręce ku najbliższej sarnie, więc czym prędzej nadałem obrazowi masę i szorstkość sierści. Czarnobrody z niedowierzaniem nabrał w dłoń wody, o którą zadbałem już wcześniej, by zdawała się mokra. Kolorowe motyle latały między ścianami, siadały na twarzach i rękach, łaskocząc lekko. Dodawałem coraz to nowe elementy do wizji sielskiej łąki. Królika, kicającego przez trawę. Wiatr, który ochłodził twarz i rozwał lekki szal pani domu. Zapach wilgotnych roślin. Na moment pojawił się błękitny jednoróżec, zatańczył niespokojnie na tylnych kopytach i zniknął w chmurze kwiatnych płatków. Olsniona dziewczynka kręciła się po całej komnacie i ledwo nadążałem podsuwać wrażenie dotyku pod jej ciekawe dłonie. W końcu miałem dość. Czułem, że zaraz pęknie mi głowa. Wizerunki zniekształciły się i znikły. Szukałem ręką na ślepego zbawcę ściany, wiedząc, że za chwilę przewrócę się na ten wspaniały dywan i zostawię na nim część podróżnego pyłu. Przytomność przywrócił mi twardy dotyk męskich dłoni. Czarnobrody posadził mnie we własnym krześle. Komnata wyglądała jak przedtem, tyle że wydała mi się mniej wspaniała. Dziewczynka kucnęła na podłodze, zbierając w garstkę rozsypane perełki. Szło jej powoli, bo co rusz oglądała się na mnie. Jakby znikąd pojawili się służący. Stanął przede mną stół z dziesiątką rozmaitych naczyń. Zapachniało tak smakowicie, że pusty żołądek, o którym usiłowałem zapomnieć od wczorajszego wieczora, zamienił się w oszalałe zwierzę. Przypominałem sobie jednak, co przekazałeś mi, Płowy, o zachowaniu się przy stole. W pierwszej kolejności sięgnąłem po miskę z wodą do mycia rąk. Pan domu usiłował mówić do mnie, więc zdobyłem się na jeszcze jeden wysiłek i na tle białego obrusa przywołałem runy „ja”, „słyszeć”, znak przeczenia i jeszcze „pismo”. Przypuszczałem, że taki bogacz umie czytać. Umiał. Służąca przyniosła mu woskową tabliczkę i lampę olejową.

To był piękny pokaz, Tkacz Iluzji – wskrobał na białym wosku.

Patrzyłem, nie przerywając jedzenia. Mięso, ciasto, jakieś krajanki w kwaśnych i ostrych sosach. Niektóre potrawy jadłem pierwszy raz w życiu, przyznaję, że były świetne.

Jak ci na imię, Tkacz Iluzji?

Przywołałem obraz okrucha granitu. Byłem zmęczony, ale wciąż jeszcze zdolny do takich drobiazgów. Brodacz skrobał i skrobał. Wypytywał o mnóstwo rzeczy. Skąd jestem? Czy zdałem już egzamin w Kręgu? Dokąd wędruję? Gdy brakowało mu miejsca, ogrzewał tabliczkę nad lampą, czekał, aż wosk znów zastygnie i skrobał od nowa. Wyciągnął ze mnie nawet to, że szukam Stworzyciela z powodu mego kalectwa.

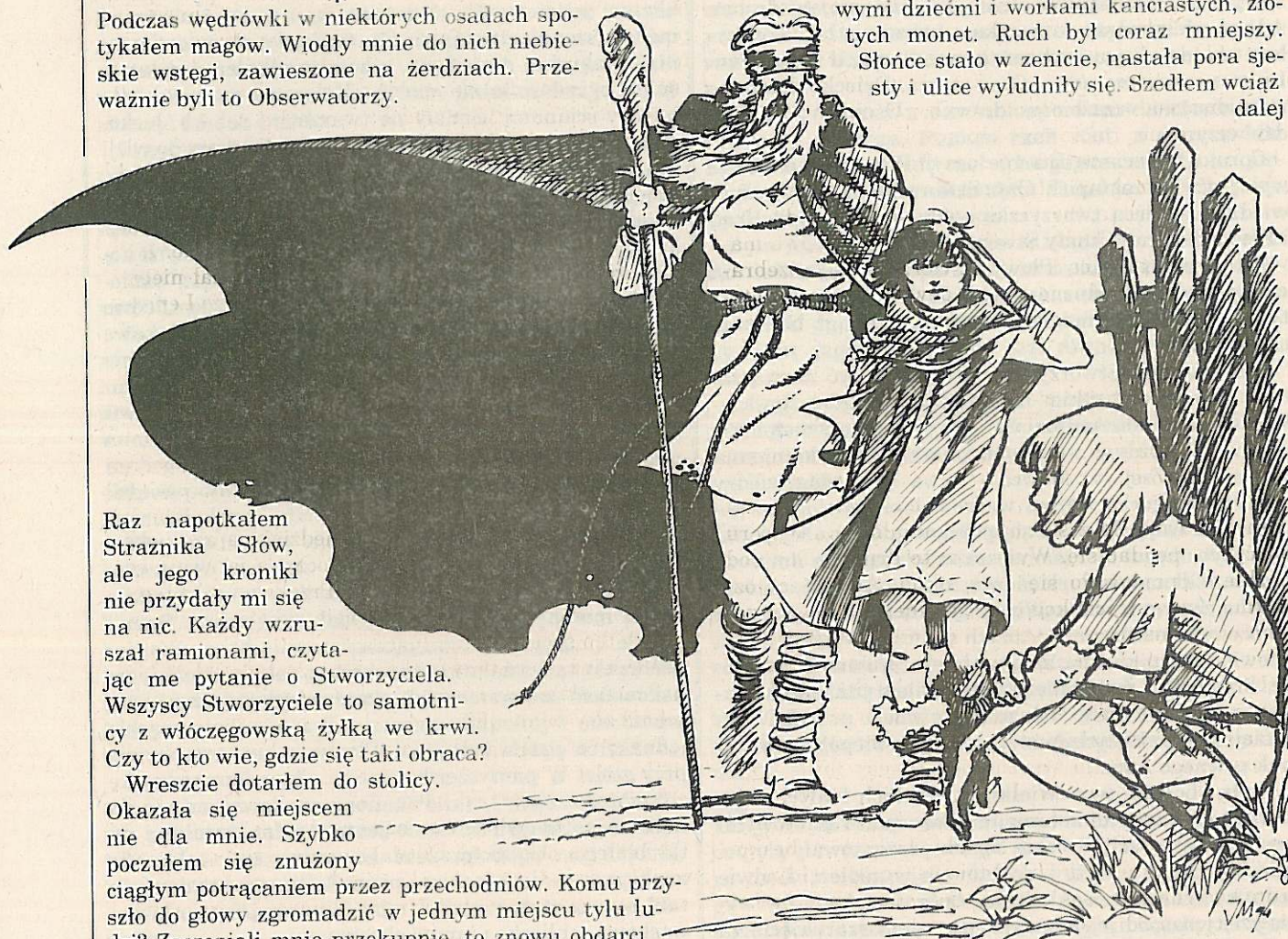
Nie przyjąłem propozycji noclegu, chociaż nalegał. Nie chciałem też dłużej odpoczywać. Ten dom był dla

mnie zbyt wspaniały. Córka brodacza poprowadziła mnie znowu białymi korytarzami, między drogimi meblami i zasłonami haftowanymi w gryfy. Przy bramie wcisnęła mi coś do ręki. Na pożegnanie przywołałam obraz puszystej wiewiórki, która usiadła małej na ramieniu i umyła sobie pyszczek. Dopiero na drodze obejrzałam podarunek. To była sześciokątna złota moneta. Ten drobiazg mógł mi starczyć na całą podróż. Czyżby ta łakowa iluzja była aż tyle warta? Sądzę, że nie, ale nie potraktowałam tego jak jałmużny. Po prostu ci ludzie dali mi to, czego nie posiadałam. Ja też podarowałam im coś, co było dla nich nieosiągalne. Dar, który otrzymałam przechodząc przez Bramę Istnienia.

Podczas wędrówki w niektórych osadach spotykałam magów. Wiodły mnie do nich niebieskie wstęgi, zawieszane na żerdziach. Przeważnie byli to Obserwatorzy.

nie porozcinane z boków aż do bioder, odsłaniały długie nogi. Całości dopełniały niezwykle fryzury – włosy upięte w prawie półmetrowe wieże upstrzone świecidełkami. Dziewczyny uśmiechały się, kusząco uchylając wargi malowane na kształt kwiatów. Wdzięczyły się i krygowały. Zagapiony, omal nie wpadłem pod lektykę. Od tej chwili bardziej uważałem.

Rażące fasady domów ustąpiły miejsca jasnym murom z piaskowca. Znad krawędzi szorstkich ścian wyłaniały się tylko dachy i fragmenty tarasów obwieszonych pnączem o białych kwiatach. Ta część miasta pachniała inaczej. Było tu też czystiej. A więc za tymi murami żyli zadowoleni ludzie ze swymi pięknymi, obwieszonymi perłami żonami, ładnymi, zdrowymi dziećmi i workami kanciastych, złotych monet. Ruch był coraz mniejszy. Słońce stało w zenicie, nastąpiła pora sjeisty i ulice wyludniły się. Szedłem wciąż dalej



Jarosław Mustaj

Raz napotkałem Strażnika Słów, ale jego kroniki nie przydały mi się na nic. Każdy wzruszał ramionami, czytając me pytanie o Stworzyciela. Wszyscy Stworzyciele to samotnicy z włóczęgowską żyłką we krwi. Czy to kto wie, gdzie się taki obraca?

Wreszcie dotarłem do stolicy. Okazała się miejscem nie dla mnie. Szybko poczułem się znużony ciągłym potrącaniem przez przechodniów. Komu przyszło do głowy zgromadzić w jednym miejscu tylu ludzi? Zaczepiali mnie przekupnie, to znowu obdarci żebracy, mielący bezsensownie ustami. Jaskrawe kolory ścian domów i ubrań męczyły wzrok. Zatręskaniem do spokojnych, trawiastych wzgórz i gajów, gdzie mogłem godzinami obserwować drobne zwierzątka, zaprzątnięte swoimi małymi sprawami. Miasto było za wielkie, za ruchliwe. Natłok wszystkiego, co usiłowałem zanalizować, przyprawiał o ból głowy. Poza tym miasto śmierdziało. Wstrętny odór rynsztoków walczył z mieszaniną zapachów tysiąca kuchni, a wszystko to zaprawione było wszechobecnym odorem niedomytych ciał i podłych pachnideł. Przedzierałem się przez tłok głównych ulic, kurczowo ściskając pod pachą podróżną torbę. Na wieczny Krag! Trafiłem chyba na dzień targowy, bo niemożliwe, by szaleństwo trwało tu zawsze! W pewnej chwili zagapiłem się na grupkę wyjątkowo kolorowych kobiet. Ubrane były dziwnie. Wydekoltowane tak, że piersi nosiły praktycznie na wierzchu. Spód-

i dalej. Mury, ciągle mury. Skręcałem kilkakrotnie, a właściwie nic się nie zmieniało. Stolica była naprawdę ogromna. A może mi się zdawało? Może po prostu kręciłem się w kółko? W lesie z łatwością znajdowałem drogę, dobrze orientowałem się w stronach świata, ale tu kompletnie straciłem poczucie kierunku. Zgubiłem się. Zrozumiałem, że takie chodzenie na chybił trafił nie przyniesie mi nic, prócz zmęczenia. Jak dostrzec wieżę Mówcy w tym labiryncie wysokich ścian? Stanałem pod bramą gesto poprzecinaną żelaznymi listwami. Obojętnie patrzyłem na kołatkę wyobrażającą łeb psa szczerzącego zęby. To przygnębiało. Najwyraźniej goście nie byli mile widziani w tym domu. Południowe słońce błyszczało na wypukłościach kołatki, więc dopiero po chwili dostrzegłem swoją pomyłkę. To wcale nie był pies. Szerokie jak u konia chrapy, duże ślepia prze-

kreślone pionowymi żrenicami, łyżkowate uszy... Do bramy przymocowano mosiężny wizerunek smoczej głowy.

Wziąłem to za dobrą wróżbę. Przecież smoki mają tyle wspólnego z nami, magami. Każdy smok jest jednocześnie Obserwatorem, Mówcą, Stworzycielem i Strażnikiem Słów – przechowującym wiedzę pokoleń. Wybrałem najprostszy sposób wydostania się z płataniny miejskich ulic. Używając żelastwa na bramie jako oparcia dla stóp i palców, zacząłem pięć się w górę. Chociaż jestem zwinny, w każdy ruch wkładałem sporo wysiłku. Omal nie trysnęła mi krew spod paznokci. Po co mieszkańcom była potrzebna tak wysoka brama? Nosili przez nią drabiny na sztorc? Zakończona była u góry kamiennym łukiem i to, że zdołałem go sforsować, uważam za cud. Wyprostowałem się na wąskim zwieńczeniu wrót i osłaniając oczy przed słońcem zacząłem się rozglądać. Widziałem podwórce, płaskie dachy zamienione w tarasy ocienione roślinami kipiącymi z kamiennych mis oraz płóciennymi baldachimami. Fontanny w kształcie smoków (ulubionego tu chyba motywu). Bez sensu zresztą, bo smoki nie cierpią wody. Na każdej ścianie widniały płaskorzeźby i kolorowe malowidła wyobrażające kwiaty, zwierzęta lub rozebrane dziewczyny. Jednego byłem pewien – w tym otoczeniu nie mógł mieszkać Mówca. Drugą stronę zasłaniał taras. Żeby cokolwiek więcej zobaczyć, musiałem wejść wyżej. Przeszedłem po szczycie muru i uważnie balansując ciałem, przelazłem na daszek zwieńczający alkierz. Lecz ledwie na nim się znalazłem, coś złapało mnie za nogę i szarpnęło gwałtownie. Tylko refleks uratował mnie przed runięciem na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. To „coś” ciągnęło powoli, lecz stanowczo i miałem do wyboru spaść albo poddać się. Wybrałem to drugie. Tuż pod daszkiem znajdowało się małe okno. Akurat o rozmiarach, by zmieścić kogoś tak chudego jak ja. Przeciągnęło mnie przez nie jak nić przez igielne ucho. Z obu stron spadły na me ramiona i kark ciężkie ręce. Unieruchomiony przez dwóch wielkich muskularnych mężczyzn, mogłem najwyżej pokivać palcami. Sądząc po rozwieszonych na ścianach broni, trafiłem do pomieszczenia dla strażników. Dwóch mnie trzymało, trzeci nogą wypchnął na środek izby ławę, podszedł do ściany i zdjął z kołka ciężki korbacz, zwinięty w kilka pętli. Skóra mi ścierpła. Tylko tego brakowało! Zostałem wzięty za złodzieja. Głupcy! Gdybym naprawdę chciał tu coś ukraść, nie zobaczyliby nawet mojego cienia! Ci dwaj już ciągnęli mnie na miejsce karni. Mogłem zrobić tylko jedno, zanim strażnik zdąży uderzyć, i zrobiłem to. Strażnicy, którym wiezień po prostu w rękach zmienił się w smoka, odskoczyli jak oparzeni. Ten z batem zresztą tak samo. Byłem tak zdenerwowany, że nie potrafiłem utrzymać iluzji dłużej niż przez chwilę. Już we własnej postaci skoczyłem do drzwi. Szczęśliwie otwierały się na zewnątrz. Kręte schody, następne drzwi, dziedziniec... brama! Zamknięta na ciężkie antaby. Szarpałem je, a potem obejrzałem się. Strażnicy byli tuż za mną. Cofnąłem się w narożnik dziedzińca, zdecydowany walczyć. Ku memu zdumieniu żaden z mężczyzn nie próbował już mnie schwytać. Strażnik z batem splunął na kamienne płyty. Zmarszczywszy brwi, mówił coś, wskazując mnie palcem. Podszedł do bramy, dwoma pociągnięciami odsunął zasuwę i uchylił ciężkie skrzydło. Machnął zwiniętym biczem, zachęcając

do przejścia. Jeszcze mu nie ufałem. Cofnął się kilka kroków.

Opuściłem niegościnnie progi szybciej niż strzała wypuszczona z łuku i zatrzymałem się dopiero za zakrętem. Zebrałem rozproszone myśli i zrozumiałem, co właściwie uchroniło mnie przed ciężkim pobiciem. Nie smocza iluzja. Coś o wiele większego i prostszego zarazem – ogromny, niewyobrażalny wręcz prestiż Kręgu Magów, obejmujący swym wpływem nawet tak niedorobionego adepta jak ja. W momencie rozpoznania maga strażnicy nie mieli prawa tknąć go choćby palcem. Może, gdyby sprawdzili, że nie mam jeszcze tatuażu, wyszedłbym z tej sytuacji z paroma sińcami. Szczęśliwie obyło się i bez tego. To było gorzkie doświadczenie. Palił mnie wstyd, że tak bezmyślnie wpłatałem się w kłopoty. Jednak włożenie na mur miało swoją dobrą stronę. Z dachu alkierza przez króciutką chwilę widziałem coś, co zaprowadziło mnie do Mówcy – niebieskie pasemko na tle rozpalonego nieba.

Człowiek, który bez mrugnięcia okiem przyjmuje pod swój dach brudnego, wymiętoszonego włóczęgę, musi być albo świętym, albo magiem. Mówca był krępkim staruszkiem o zupełnie białych włosach i brodzie. Zrazu myślałem, że pochodzi z północy, gdyż miał niebieskie oczy, ale przeczyły temu rysy przeciętnego Lengorchianina. Mimo pełni lata nosił wełnianą szatę, bo surowy bazalt, z którego zbudowano jego wieżę, zachował jeszcze chłód pory deszczów. Musiałem wyglądać kiepsko. Ledwo mag ujrzał mnie na progu, natychmiast wprowadził do środka, bez żadnego nagabywania.

Na wieczny Krag! Jak rozkoszna jest ciepła woda, gorące jedzenie i miękkie łóżko, doceni tylko ten, kto był ich pozbawiony przez dłuższy czas.

Mówca „zajrzał” mi do głowy. Siedział naprzeciwko, uśmiechał się i mrużył niebieskie oczy, a ja wyczuwałem jego myśli jak swoje własne. Przekazywał mi zrozumiałe obrazy i uczucia. W zapisie runicznym wyglądało to w ten sposób:

„Wiem już, po co przyszedłeś. Z początku miałem kłopoty ze znalezieniem twojego kodu. Myślisz trochę inaczej niż zwykli ludzie”.

„Czy Stworzyciel może sprawić, że będę słyszał i mówił?”

„Nie wiem. Może tak, może nie”.

„Przecież Stworzyciele są najwięksi z nas”.

„Nie są wszechmocni. Odtwarzanie zniszczonych nerwów to nie proste spajanie kości czy leczenie infekcji”.

„Stworzyciele są najpotężniejsi w Kręgu” – upierałem się.

„Są potężni, ale wobec siły natury tak skromni, jak twoje imię, Kamyku”.

„Kamyk pchnięty ze szczytu góry powoduje lawinę”.

Znów się uśmiechnął.

„Jak na głuchoniemego jesteś bardzo pyskаты”.

„Szukam Stworzyciela, a ty, Mówco, możesz mi powiedzieć, gdzie żyje najbliższy”.

„To się ciągle zmienia. Włóczę się po całym królestwie”.

Mówca wstał z wyscieranego karła i podszedł do wielkiej mapy Lengorchii, wiszącej na ścianie. Prawie cała pokryta była szpilkami o niebieskich główkach. W centrum poupinane były gęściami, ku brzegom coraz rzadziej, a na jednej z wysp Smoczego Archipelagu tkwiła samotnie tylko jedna.

„To wszystko moi bracia, Mówcy. Zbierają informacje ze swoich rewirów, przekazują najbliższemu sąsiadowi,



a on podaje je dalej, dodając własne. Wiadomości znan granic wędrują kilka godzin”.

„Krótko. A ten na wyspach?”

„To Słony. Zbiera materiały do pracy o smokach”.

„Nie boi się?”

„Smoki nie są złe”.

„Są dobre?”

„Neutralne, a to znaczy, że można się z nimi porozumieć”.

„Czy Stworzyciel...”

„Ty znów to samo. Będiesz miał swojego Stworzyciela za niecałą godzinę”. Tu Mówca wskazał zegar wodny, który spokojnie przeciekał na półce. „Niedługo pora łączności. Najbliższy Stworzyciel mieszkał w osadzie Grobla, dzień drogi stąd. Będę wiedział już niedługo czy nie wyniósł się stamtąd od ostatniej pełni”.

Gdy nadeszła pora łączenia umysłów, mag usadowił się na starym miejscu. Zamknął oczy, opuścił głowę na piersi i zdawało się, że śpi. Krople z wodnego zegara spadały jedna za drugą, a Mówca nie poruszał się. Oczywiście, nie przeszkadzało mu. Czytałam ze smakiem opracowanie anatomii centaury. Studiowałem uważnie ryciny, a w głowie powstawał mi szkic następnej iluzji.

„Głód wiedzy, to jest dobre dla młodego maga”. Nie zauważyłem, kiedy Mówca skończył swój seans. Jedną ręką masował ścierpnięty kark, drugą przecierał oczy i przekazywał mi kolejną myśl. „Ucz się, czytaj, obserwuj jak najwięcej. Ludzie chcą oglądać dobre, mądre i ciekawe wizerunki. Jesteś żywą księgą, a to duża odpowiedzialność”.

Zmieszałem się. Jakoś do tej pory nie spojrzałem na swój dar z tej strony. Traktowałem go jak, owszem, dobrą i pożyteczną i czasem opłacalną, ale... rozrywkę.

„Stworzyciel jeszcze się nigdzie nie wyniósł, ale może to zrobić w każdej chwili. Ich kasta to wędrowne ptaki. Chodź, pokażę ci na mapie, jak dojść do Grobli. Wyruszysz rano”.

Trafiłem do tej wsi z dziecinną łatwością. Gościniec prowadził, jakby zrobiono go z myślą o mnie. Grobla rozłożyła się po obu stronach rzeki, na wzgórzach schodzących ku wodzie niby wielkie schody. Domy najbliższe rzece stały na palach, zabezpieczone przed jesiennymi i wiosennymi wylewami. To była duża, kwitnąca osada, z mnóstwem manufaktur i małą świątynią, poświęconą bogom urodzaju. Nic dziwnego, że Stworzyciel postanowił trochę tu pomieszkać. Grobla, z jej tarasowymi polami i sadami, wyglądała jak skrawek Kraju Szczęścia. Nauczony poprzednimi doświadczeniami, wypatrywałem niebieskiej wstęgi nad dachami. Kiedy więc wreszcie ujrzałem skrawek błękitu zwisający bezwładnie w nieruchomym powietrzu, ulga zalała mi duszę jak kojący balsam. Dom Stworzyciela na pierwszy rzut oka wyglądał zwyczajnie. Na drugi, różnił się od reszty w sposób bardzo charakterystyczny. Drewno i kamienie budowli nie zostały spojone zaprawą, lecz stopiły się w jedno, zmuszone wolą właściciela. Na zagraconym podwórku nie było nikogo. Zajrzałem do ogrodu. Chwasty pleniły się tam bujnie, za to na grządkach pod ścianą chaty równiutkie i zadbane rosły rzadkie zioła. Rozpoznałem kilka leczniczych gatunków i kilka śmiertelnie trujących. Stworzyciel musiał być interesującą postacią. To wrażenie potwierdziło kolejne odkrycie. Oto przy oknach przymocowano autentyczne ludzkie czaszki! Przyjrzałem się jednej z nich. Była pomalowana. Zeskrobałem paznokciami cienką warstewkę i zbliżyłem palec do nosa. Pachniały fosforem. Naprawdę bardzo, bardzo zabawne. Zwłaszcza w nocy. Nad drzwiami chaty wisiały, przybite: trochę wyleniały nietoperz, ususzona żmija, naszyjnik z ludzkich żeber i jeszcze jedna czaszka. Stworzyciel bardzo chyba cenił samotność. Uderzyłem dwa razy w drzwi. Nikt się nie pojawił. Walnąłem jeszcze parokrotnie i miałem odejść, gdy drzwi otworzyły się nagle. Blade, rozczochrane widmo z oczami zaczerwienionymi jak u smoka podsunęło mi kufek pod nos i drzwi znów się zamknęły. Może jednak źle trafiłem. W następnej uświadomiłem sobie, że rozchełstana koszula zaniedbanego mężczyzny odsłaniała piersi. Nad lewą widniał wykłuty znak Kregu i Płomienia.

„Może i jesteś wielkim Stworzycielem, ale ja jestem Tkaczem Iluzji i nie pozwolę się traktować w ten sposób” – pomyślałem. Skierowałem się do najbliższego okna, przycisnąłem czoło do szyby i, osłaniając oczy dłońmi, zajrzałem do wnętrza. Stworzyciel siedział przodem do mnie, przy wielkim stole zawałonym księgami i stosami pergaminów. Trzymał w ręku pióro, podierał policzek dłonią i dumiał głęboko. Twarz pokrywał mu kilkunniowy zarost.

„Uważaj, nadchodzę” – pomyślałem.

Przed Stworzycielem, na pokreślonej karcie pojawiła się wielka, rozdęta, bardzo pryszczata żaba. Brwi maga podjechały do połowy czoła. Dotknął żaby piórem, nie wierząc własnym oczom. Żaba podskoczyła. Nic więcej nie zdażyłem wymyślić. Zobaczyłem wpatrzony we mnie, przekrwione, wściekłe oczy Stworzyciela, a w następnej chwili kolana ugięły się pod mną. Walnąłem

Jarosław Musiał

brodą w parapet, przeszorowałem twarzą po belkach ściany i skulony, usiłowałem dojść do siebie. Czułem się jakby ktoś potraktował mój umysł niczym worek napełniony różnościami – najpierw potrząsnął nim, a potem przewrócił do góry nogami, wysypał wszystko na stos i zamasyście rozgrzebał. To było potworne.

Straszna siła uniosła mnie za włosy i stanąłem nos w nos ze Stworzycielem. Patrzył spode łba, wysunawszy szczękę. Robił wszystko, by nie być miłym. Wytrzymałem jego zmęczone spojrzenie długą chwilę. Puścił mą czuprynę, w głowie na moment pojawiła mi się wizja uchylonych drzwi. Wszedłem więc do jego sanktuarium. W środku panował nieopisany nieład. Pod ścianami ciągnęły się długie blaty zastawione setkami butelek, dziwnymi modelami z gliny i patyków, sprzętem do chemicznych doświadczeń, narzędziami, słojami z wypreparowanymi narządami i jeszcze tysiącem rzeczy; miałem mgliste pojęcie, do czego służą. Różniło się to bardzo od schludnego wnętrza naszej chaty, a przecież nagle poczułem się jak w domu. Stworzyciel usiadł za stołem, a mnie wskazał miejsce naprzeciwko. Przez chwilę grzebał w stosach notatek, szukając chyba czystej karty, ale żadnej nie znalazł. Wysypał więc piasek do suszenia atramentu na gładki blat i palcem wyrysował runy. Widziałem je do góry nogami, ale mag, zamiast je zmacać, zrobił coś innego. Splachcił piasek scalił na moment, przekreślił, cały i równy jak nakrochmalona chustka. Pod napisem: *Czego chcesz?* pojawiło się: *Zdziwiony?*

Wzruszyłem ramionami i przywołałem iluzję pisma.

„Wiesz już, że jestem głuchy. Chcę, żebyś mnie wyleczył”.

Runy na piasku zmieniły się pod jego spojrzeniem.

Masz pieniądze?

„Magowie nie płacą magom” – odparłem.

Kąciki jego warg drgały, kiedy patrzył na mnie spod przymkniętych powiek, pocierając zarosniętą brodę. Poczułem nawiązującą się między nami cieniutką nitkę porozumienia. Spostrzegłem też, że Stworzyciel jest młody, nie ma nawet trzydziestu lat.

Czy warto marnować na ciebie energię? Żabę potrafi zrobić każdy.

Skupiłem się. Przed Stworzycielem pojawiła się pomarańcza. Miała odpowiedni kształt, kolor, zapach, fakturę i ciężar. Stworzyciel sprawdził to wszystko i kiwnął głową, ale minę miał pobłażliwą. Uniosłem pomarańczę w powietrze, obrałem ze ją skórki, która spłynęła na stół cieniutką spiralą. Owoc rozdzielił się na cząstki. Mag włożył jedną do ust. Zaczekałem na pierwszy ruch jego szczęk. Stworzyciel skrzywił się okropnie i czym prędzej wypluł na dłoń... kamyk. Zwykły kamyczek, trochę wygładzony. Taki, jaki można znaleźć na dnie każdej rzeczki. W następnej chwili kamień przekształcił się w dwie runy odlane z ołowiu, pytające: „Zdziwiony?”

Stworzyciel zaczął się śmiać. Trząsał się, gwał jak trzcina na wietrze, trzymając za brzuch. Wiedziałem, że wygrałem. Wciąż śmiejąc się, napisał na piasku: *Mały demon*, a potem: *Jestem zmęczony. Przyjdź jutro*. Skinałem głową na znak zgody i odszedłem. Mniejsza z tym, jak spędziłem noc. W każdym razie niewiele spałem, podniecony bliskim rozwiązaniem swego problemu.

✱

Rano drzwi domu maga zastałem zachęcająco uchylone. Wewnątrz panował mniejszy bałagan niż poprzednio. Stworzyciel miał na sobie czystą, starannie zasznurowaną koszulę i golił się, stojąc przed srebrnym lu-

strem w fantastycznych ramach. Zauważyłem, że większość przedmiotów w tym domu, choć porzucanych niedbale, wykonano bardzo starannie z drogich materiałów. Czerpak zawieszony na brzegu cebrzyka zrobiono z jednej bryły bursztynu. Kotara zasłaniająca niszę z łóżkiem była przetkana złotą nitką. Naczynia, poustawiane tu i tam, wykonano kunsztownie z porcelany, srebra, a nawet ze złota.

„Zdziwiony?” – tym razem Stworzyciel nawiązał kontakt na sposób Mówców. „Pomyśl sam, w co ja mam właściwie ładować pieniądze? Mogę mieć, co tylko zechcę, to mój talent, a klienci jeszcze płacą i to sporo. Nie uwierzyłbyś, ilu możnowładców przywozi swoje brzydkie córki, by poprawić im nos albo wyprostować plecy. Podobają ci się coś z tych rzeczy? Weź, co chcesz”.

Nie chciałem. Nie po to tu przyszedłem. W ogóle wołałbym, żeby przestał traktować mnie protekcyjnie.

„Jadłeś?” Stworzyciel kończył golenie krótkimi pociągnięciami ostrza. Widział mnie w lustrze, więc przecząco pokręciłem głową. Wytarł twarz ręcznikiem, nabrał wody z cebrzyka i patrzył w czerpak zmarszczywszy czoło. Podał mi go, wypełniony białym płynem. Zapachniało gorącym mlekiem. Trzymałem naczynie w obu rękach, nie mogąc zdecydować się na pierwszy łyk.

„Pij, jest prawdziwe. To jedna z praktycznych stron mojej profesji”.

Było nie tylko prawdziwe. Było świetne. Spróbowałem, nie mogłem się powstrzymać i wypilem wszystko duszkiem. Tymczasem skądś pojawiły się gotowane jajka i placki.

„Czym to przedtem było?” – pomyślałem.

Stworzyciel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

„Lepiej nie wiedzieć. Teraz jest tym, czym jest. Jedz, czekają ci ciężkie godziny”.

Więc miało boleć? Trudno, spodziewałem się tego.

Nie bolało, ale nie jestem pewien, czy nie wołałbym bolesnej operacji od psychicznego magla, przez który przepuścił mnie Stworzyciel. Egzamin w Kregu to w porównaniu z tym błahostka. Pływak (w końcu raczył się przedstawić) kazał mi tworzyć iluzje. Zaczął od łatwych, ale następne były coraz trudniejsze. Przywoływałem przedmioty, rośliny i zwierzęta. Pływak dokładnie sprawdzał ich właściwości.

Kazał mi utrzymywać kilkanaście wizji w pełnym wymiarze. Animować wszystkie naraz i dodawać nowe. Tworzyłem symetryczne bliźniaki, pozorne przekroje, sztuczne źródła światła i fałszywe światłocienie. Stworzyciel gryzł przywołane przeze mnie owoce, każąc mi zajmować się czterema pajakami plotącymi swe nieprawdziwe sieci, każdą o innym wzorze. Musiałem tkąć iluzje za swymi plecami, patrząc w lustro i z zawiązanymi oczami, spoglądając przez płomień świecy...

Dał mi spokój, gdy dostałem gwałtownego krwotoku z nosa. Padłem bezwładnie na ławę, opierając czoło o blat i kryjąc twarz w mokrej chuście, którą podał mi Pływak. Skłamałbym, twierdząc, że pękała mi głowa. Ja już wcale nie miałem głowy. Stworzyciel położył mi chłodną rękę na karku. Krew przestała płynąć równie nagle, jak zaczęła. Poczułem się lepiej. Pływak wziął ćwiartkę pergaminu i napisał: *Zrobiliśmy dobry początek*.

To był dopiero początek? Wyjąłem mu pióro z ręki i nakreśliłem pod spodem: *Po co to wszystko?*

Znalazł drugie pióro.

Musiałem znać pulap twoich możliwości. Przyznaję, że jest bardzo wysoki. Podejrzewam, że właśnie dlatego nie słyszysz.

Nie rozumiałem. Co ma talent maga do tego, czy sły-
szę, czy nie?

Stworzyciel znów umoczył pióro w atramencie.

Kto był największym Tkaczem Iluzji?

Biały Róg ze Wzgórz Iluzyjnych.

*Miał bezwzględne nogi. Za wielkie talenty płaci się
wielkie ceny.*

Coś zaczęło mi chodzić po głowie. Zastanawiałem się
nad tą myślą, ledwie zauważając, że obgryzam pazno-
kieć. Wreszcie odważyłem się napisać: *Czy myślisz, że
mam zdolności zbliżone do tych Białego Rogu?*

Tym razem to Stworzyciel zastanawiał się długo.
Wstał, przechadzał się. Zaplała ręce na karku i pocie-
rał brodę. Na koniec dopisał u dołu strony tylko jedną
runę: *Większe*.

Opadła mi szczeka. Większe?! Przecież Biały Róg to
legenda. Najwybitniejszy Tkacz Iluzji od czasów Roz-
proszenia. Kroniki Kręgu twierdziły podobno, że utrzy-
mywał przez trzy dni iluzję miasta, które oblegli barba-
rzyńcy z Północy, gdy tymczasem nadeszły nasze siły
i rozbiły wroga w puch. I ja miałbym większe zdolności?
Nawet Wzgórz Iluzyjne mają taką, a nie inną nazwę
dlatego, że Biały Róg tam się urodził. Przewróciłem
kartę na drugą stronę i nabazgrałem, rozmazując atra-
ment:

*Jeśli nie nauczę się tworzyć dźwięku, cały mój wielki
talent będzie tyle wart, co kurz na wietrze.*

Stworzyciel stawiał równe zdania pod spodem.

*Zobaczmy, co się da zrobić. Gdyby się udało, świat
krzyknąłby z podziwu głośniejsze niż mogłoby to wytrzy-
mać jego gardło.*

Chyba niezupełnie dobrze rozumiałem ostatnie ru-
ny. Znak „krzyżeć” znałem. Oznaczał szybkie wydy-
chanie powietrza przy jednoczesnym drganiu gardła.
Zestawienie go z runą „podziw” wyglądało głupio.

Stworzyciel przyniósł napełnione wodą pucharki, cały
zestaw szklanych buteleczek i miseczkę miodu. Odmie-
rzył po dwie, trzy krople każdej mikstury i wpuszczał je
do wody. Na koniec dolał miodu.

„Jest wstrętne w smaku” – tym razem wszedł mi
wprost do głowy. „Wypijemy to obaj”.

„I co?”

„Zobaczysz”.

Upiłem drobną łyżeczkę i skrzywiłem się. Nie, miód
niewiele pomógł.

„Do dna, mały” – przekazał Pływak, wytrząsając
ostatnie krople na język. „I najlepiej od razu się połóż.
Nieprzywykłych ścina z nóg błyskawicznie”.

Miał rację. Reszta wydawała się snem. Czy sam do-
szedłem na wskazane posłanie, czy to Stworzyciel mnie
tam zawlókł? Nie pamiętam. I może rzeczywiście snem
był obnażony do pasa mag, z którego ciała sterczały
długie, lśniące igły? Czy wydawało mi się tylko, że całe
moje ciało pulsuje, jakby było ogromnym sercem? Mia-
łem płuca wielkie jak jaskinie, a napełnianie ich powie-
trzem trwało całe godziny. Pływak pochylał się nade
mną. Coraz niżej i niżej. Jego oczy ogromniały. Nie było
już nic, tylko te oczy, w które wpadłem. Przestrzeń wy-
pełniona światłami ciągnęła się we wszystkich kierun-
kach. Nie miałem ciała, ale zdawałem sobie sprawę
z własnego istnienia i tożsamości. Pływak był ze mną
i we mnie. Światła zwinęły się w jeden punkt, a potem
rozwinęły w niesamowitą, lśniącą drogę prowadzącą
z jednej nieskończoności w drugą. Nieznana siła pchnę-
ła mnie tą drogą z oszatającą prędkością. Światła
zlewały się w błyszczące smugi, wirowały wokół, aż na-
gle rozprysnęły się, uderzone potworną mocą. I jeszcze

raz, i znowu... Jasność nikła, rozbijana wstrząsami, aż
pozostały tylko dwie iskiere, lśniące w ciemnych
oczach Pływaka, który klepał mnie po policzkach.

„Ocknij się, mały. Wracaj. Jesteś tu?”

„Jestem. Przestań”.

Podniosłem się. Na twarzy Stworzyciela widniały śla-
dy nakłuć.

„Stymulacja nerwów” – wyjaśnił z roztargnieniem.

„Nie udało się?”

Potrząsnął głową.

„Zajrzałem do twojego organizmu. Obejrzałem sobie
mózg. Interesujący. Ośrodek słuchu został całkowicie
zajęty przez to, co nazywamy Magiczną Plamą”.

„Mój talent zjadł mi uszy?”

„Dokładnie”.

„Nie możesz nic zrobić?”

Ze złością kopnął stołek.

„Mogę. Mogę próbować grzebać ci w mózgu i przy
okazji zmienić cię w roślinę. Wybacz, ale nie będę ryzy-
kował”.

Wstałem i poszedłem do drzwi.

„Dokąd idziesz?”

„Muszę się przejąć”.

Poszedłem za dom i waliłem głową o ścianę. W pe-
wien przewrotny sposób przyniosło mi to ulgę.

✱

Pływak był miłym gospodarzem, jeśli poznało się go bli-
żej, ale szybko go opuściłem. Nie wiedziałem, co ze sobą
począć. Wracać do domu? I co dalej? Chciałem się
uczyć, rozwijać zdolności tak wysoko ocenione przez
Stworzyciela. Niemożność tworzenia iluzji dźwięku by-
ła jak mur przegradzający drogę do doskonałości. Prze-
stało mi się spieszyć. Lato kończyło się i właściwie po-
winne wracać, by zdążyć przed porą ulew i powodzi.
Zamiast tego włóczyłem się to tu, to tam. Zatrzymywa-
łem się po kilka dni w jednym miejscu. Duszę miałem
chorą z rozczarowania.

Zachciało mi się powalać w okolicy opuszczonych ka-
mieniolomów. Jasne, niebotycznie wysokie ściany, podzi-
urawione starymi wyrobiskami miały w sobie coś tajemni-
czego i pełnego godności. W ich obliczu czułem się bardzo
mały. Były tu, zanim się narodziłem i będą długo po mojej
śmierci. Tu niewiele się zmieniło. Usiadłem na skraju gi-
gantycznego kamiennego jaru i rzucałem kamyczkami
w przeciwną ścianę. Wiatr dmuchał mi w tył głowy.
Wybierałem kamyczki, rzucałem, dolatywały do jasnej ścia-
ny i odbijały się od niej. Zamyślony, dopiero po paru mi-
nutach zorientowałem się, że podmuchy zrobiły się ciepłe.
Nie spodziewając się niczego szczególnego, obejrzałem
się... i omal nie spadłem kilkanaście metrów w dół, na dno
kamieniołomu. Ciepły wiatr był oddechem monstrualnego
stworzenia, czającego się tuż za mną! Ogromny smok roz-
kładał skrzydła, wyciągał łeb ze ślepiami jak dwie krwa-
we plamy i potworną liczbą zębów. Instynkt podsunął mi
najkrótszą i najprostszą drogę ucieczki – w dół, strasznie
stromą, wąską ścieżyną, dobrą może dla kóz, ale nie dla
ludzi. Przewróciłem się. Strach przygłuszył ból porozbija-
nych kolan i łokci. Biegłem, ile sił, pewien, że bestia mnie
goni. Czułem wciąż na plecach jej oddech. Kamieniołom
kończył się ślepym zaułkiem. Wciśnięty weń spojrzałem
w oczy śmierci. Smok zbliżał się leniwym krokiem, wie-
dząc, że już nigdzie nie umknie. Mimo przerażenia spo-
strzegłem, że jest piękny. Bielutki niby cukier, z gładkim
futrem i błoniastymi skrzydłami, lekko rozłożonymi jak
u łabędzia. Był coraz bliżej. Stapał z gracją kota. Zamkną-
łem oczy i modliłem się do bogów, by zabił mnie szybko,
a nie bawił się, właśnie tak, jak kot.

Wtedy stał się cud. Smocze „ja” bez żadnych ceregieli
weszło w mój umysł.

„Nie jadam ludzi. Są niesmaczni”.

To był inny niż u Mówców rodzaj kontaktu. Prawie
widziałem, jak nasze myśli idą ku sobie po niemate-
rialnym moście i spotykają się pośrodku. Smok odsło-
nił przede mną swoje wnętrze tak, że i ja mogłem zo-
rientować się w jego myślach i zamiarach. Ogarnęło
mnie uczucie ulgi tak wielkie, że osłabłem i musia-
łem usiąść. Całe wydarzenie było żartem. Według
mnie bardzo miernym. Żartem, który się nie udał.
Młody, skłonny do psot smok miał zamiar podkraść
się do zadumanego chłopca i przestraszyć go.

Tymczasem zdzierał sobie gardło,

a ofiara nawet nie drgnęła.

„Ale i tak cię nastraszyłem” –

myśl białego smoka zabarwiona

była satysfakcją.

„Niewielka sztuka” –

wytknął mu. „Jesteś

dużo większy i sil-
niejszy”.

Był naprawdę

duży. Nie jestem

pewien, czy

dałbym radę

dosięgnąć je-
go barków,

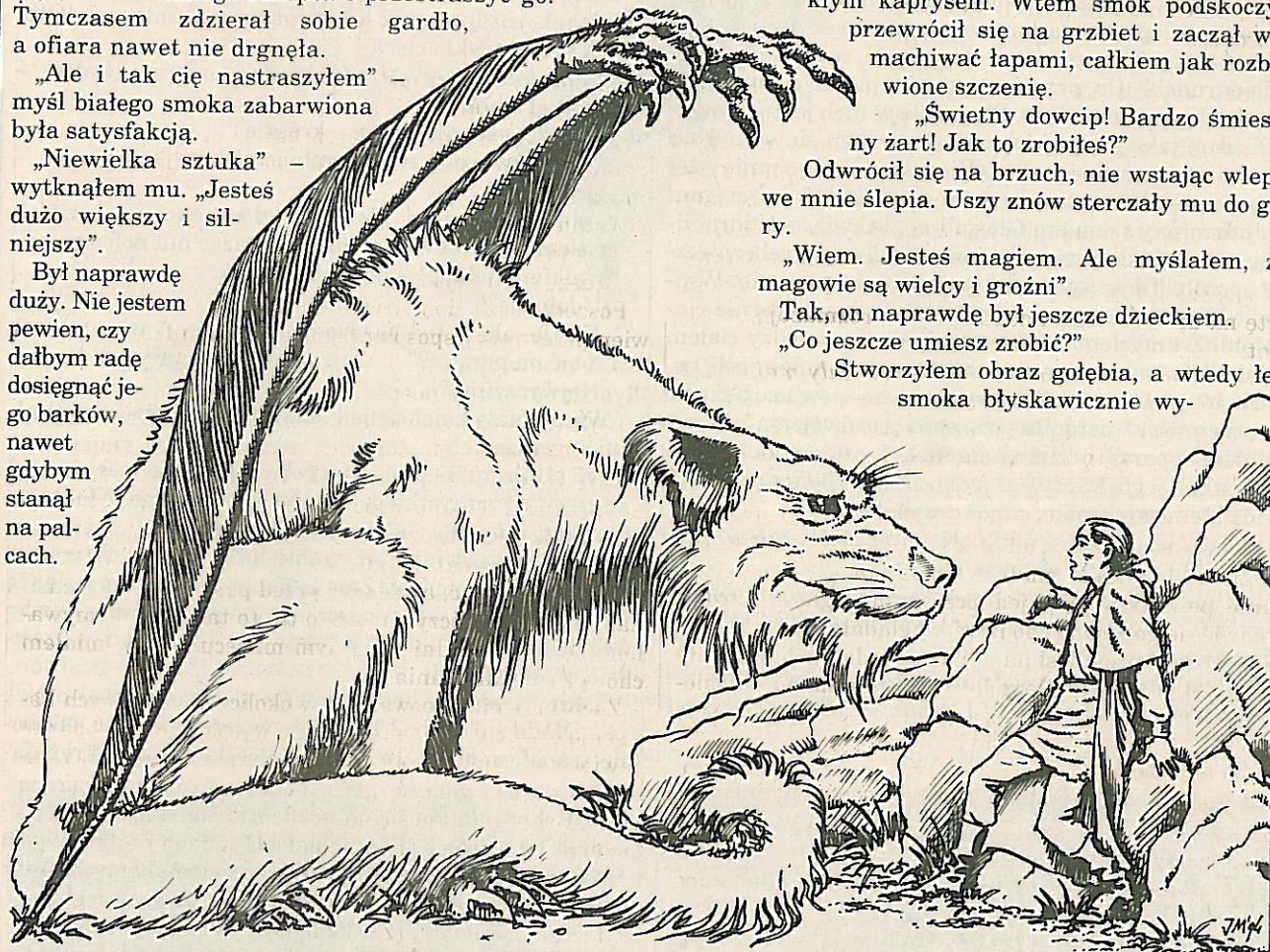
nawet

gdybym

stanął

na pal-
cach.

Jarostaw Musiał



„Nadal rosne” – pochwalił się.

Chciałem wiedzieć, ile ma lat, skoro nadal rósł. Ja też
rosłem, a zacząłem piętnasty rok. Polizał łapę, machnął
ogonem, zwlekając z odpowiedzią.

„Dopiero osiemdziesiąt” – przyznał się, zawstydzony.

Faktycznie, smarkacz. Skoro smoki żyją paręset lat,
a może i dłużej...

„Trochę się włóczę. W domu jest nudno, a ja lubię po-
drażnić ludzi. Są tacy śmieszni, gdy uciekają na łeb, na
szyję”.

Trochę się zezłościłem i postanowiłem dać mu ma-
łą lekcję. Tuż nad nim uformowałem wielką kulę lo-
dowatej wody, która w następnej chwili efektownym
wodospadem chlusnęła prosto na wymuskanego żar-
townisza. Wypłynął w górę, jakby miał sprężyny we
wszystkich czterech łapach. Zaczął miotać się na
prawo i lewo, a po psychicznym „moście”, wciąż nas
łączącym, pędziły wrażenia najwyższego zaskocze-
nia, obrzydzenia i odrazy. Smok otrząsał się raz po
raz. Zdjąłem iluzję. Raptem stwierdził, że znów jest

suchy. Obejrzał się podejrzliwie i jeszcze raz otrzą-
snął. Fala przeszła przez białe futro od głowy aż do
koniuszka ogona jak tchnienie wiatru przez łan zbo-
za.

„To ty!!!” – jego myśl wybuchła mi w głowie. Sprężył
się do skoku. Uniesiony w górę ogon kreślił spirale
w powietrzu.

Nagle wyszło mi w gardle. Wargi smoka drżały,
uszy przyległy płasko do łba, a źrenice zwięzły się
w cienkie kreski. Myśleliśmy do siebie beztrudnie i zu-
pełnie zapominałem, że to jest jednak smok. I że w każ-
dej chwili może zrobić mi krzywdę, powodowany zwy-
kłym kaprysem. Wtem smok podskoczył,
przewrócił się na grzbiet i zaczął wy-
machiwać łapami, całkiem jak rozba-
wione szczenię.

„Świetny dowcip! Bardzo śmiesz-
ny żart! Jak to zrobiłeś?”

Odwrócił się na brzuch, nie wstając wlepił
we mnie ślepią. Uszy znów sterczały mu do gó-
ry.

„Wiem. Jesteś magiem. Ale myślałem, że
magowie są wielcy i groźni”.

Tak, on naprawdę był jeszcze dzieckiem.

„Co jeszcze umiesz zrobić?”

Stworzyłem obraz gołębia, a wtedy łeb
smoka błyskawicznie wy-

prysnął do przodu, szczęki jednym, ledwo zauważal-
nym ruchem zwały się na iluzyjnym ptaku. Strasznie
to mną wstrząsnęło. Nie zdawałem sobie sprawy, jak
szybki może być smok. Atak trwał ułamek sekundy.
Biały smok poruszył nosem i rozwarł paszczę.

„Nie ma go. Nie zjadłem, a zniknął”.

„Głuptas jesteś. To tylko obraz. Nie można go zjeść”.

Był naprawdę bardzo zainteresowany moim talen-
tem. Dla zabawy przywołałem jego bliźniaka. Fałszywy
smok powtarzał każdy ruch prawdziwego. Smoczy
szczeniak bawił się znakomicie, pozując przed niby lu-
strem, toteż zdziwiłem się, gdy nagle porzucił te igras-
ki. Usiadł, prosto składając skrzydła i wysłał myśl bez
żadnych ogródek:

„Ty nie słyszysz. Zauważyłem to od razu”.

Odwrociłem głowę, ale myśli smoka nadal do niej do-
cierały.

„To dla ciebie duży kłopot, prawda?”

„Duży”.

„Jak duży?”

W ten sposób, krok po kroczku, wyciągnął ze mnie całą historię. Siedząc tak, spokojnie, z długą szyją wygiętą we wdzięczny łuk, z łapami owiniętymi ogonem, zadając inteligentne pytania, wydał mi się jednak starszy, poważniejszy, zupełnie dorosły. Gdy dowiedział się o wszystkim, zerwał kontakt. Poczułem się, jakby coś mi zabrano. Porozumienie przez psychiczny most było tak proste i przyjemne. Zastanowiłem się, czy po prostu nie odejść. Może znudził się mną. Co ja właściwie wiem o smokach? Wstałem, z przykrością stwierdzając, że ubranie przyszło do skaleczeń. Smok rozmyślał o czymś głęboko.

„Zaczekaj!” – polecenie było tak gwałtowne, że zatrzymało mnie lepiej niż arkan zarzucony na szyję.

„Lubię cię. Chcę coś dla ciebie zrobić, coś ci dać”.

Podarunek? Co prawda, istnieją plotki o smoczach skarbach, ale sam wiesz, Płowy, ile w nich jest prawdy.

Kiedyś, jako mały chłopczyk, zapadłem się w mul na brzegu rzeki prawie po pas. Kiedy wyciągano mnie z tej pułapki, miałem przez moment wrażenie, że rozciągam się jak mokry rzemień. Głowa i nogi tkwiące w zdradliwej mazi oddalały się od siebie w dziwny, niebezpieczny sposób. Teraz ogarnęło mnie to samo uczucie. Wrażenie, że część mego „ja” jest gdzieś niemiłosiernie ciągnięta. Z umysłem napiętym jak struna między ciałem a jakimś nieokreślonym punktem, czułem, że jeśli potrwa to jeszcze chwilę, zwariuję na pewno. Uczucie „rozciągnięcia” ustąpiło wrażeniu „rozdwojenia”. Wpółleżałem, oparty o zimny kamień i czułem dokładnie wszystkie jego kany, a jednocześnie byłem... gdzie? Widziałem sam siebie, skądś z wysoka.

„Jesteś we mnie” – dotknęła mnie myśl smoka. „Widzisz moimi oczami. A teraz uważaj”.

Nie potrafię dokładnie przekazać, co się zdarzyło. Powietrze... drżało... wibrowało i wpadało mi do wnętrza czaszki, gdzie...

Widziałem wciąż swoje ciało. Twarz błądą jak płótno, kurczowo splecione palce. I wciąż to niesamowite uczucie...

„Co to jest?”

„Słyszysz wiatr. Podmuchy objają się o skalne nawisy”.

Słyszałem wiatr... Niespodziewanie inne drgnienie przeszło mi uszy jak cienka igła.

„Co to?!”

„Jastrząb. Jest gdzieś wysoko”.

Słyszałem uszami smoka! Zaprosił mnie, wciągnął do swego wnętrza, w jakiś niepojęty sposób, nieznany na-

EWA BIAŁOLECKA

Urodziła się w 1967 roku. Marzyła o ilustracji; los sprawił, że przez pięć lat była nauczycielką w przedszkolu. Obecnie z satysfakcją zajmuje się witrażami; konwentowi bywalcy mogli podziwiać jej prace na ubiegłorocznym Nordconie. Wieloletnia działaczka Elbląskiego Klubu Fantastyki „Freman”, obecnie, wraz z mężem Jackiem, w Gdańskim „First Generation”. Debiutowała w „Fenixie” shortem „Wariatka”, niedawno opublikowała tam opowiadanie „Jestem lamia”; drukuje również w „Czerwonym Karle” (cykl o smokach).

„Tkacz iluzji”, pierwsze opowiadanie Ewy na naszych łamach, jest piękną, bardzo osobistą fantazy, utrzymaną w bliskowschodnich klimatach. Przejmująca figura bohatera (uproszczony gigant magii, czy to nie odległe echo Oramusowego garbusa-Deograsiusa?), piękny świat, oryginalny smok (kolejny po Sapku, po Cypriaku, nowa polska propozycja w tej dziedzinie), spokojna „babska” narracja nasycona barwnymi zdarzeniami i ciepłymi, humanistycznymi emocjami – wszystko złożyło się na poruszającą całość trudną do zapomnienia. (mp)

wet Stworzycielom. Słyszałem, po raz pierwszy w życiu słyszałem. To był wspaniały dar. Smocze uszy łowiły coraz to nowe odgłosy, a on objaśniał:

„Łopot skrzydeł skalnego gołębia”.

„To była mysz”.

„Tam kamień osunął się ze zbocza”.

„A teraz zaryczę” – uprzedził, choć ja nie miałem pojęcia, co to znaczy. Potężny, przeciągły dźwięk był jak uderzenie na odlew. Ledwo przemiął, w mych płucach, gardle powstał i wybuchł następny. Usłyszałem go, nie tak wspaniały, słaby, ale równie przejmujący. Zupełnie jakbym narodził się powtórnie.

Znowu miałem tylko jedno ciało. Leżałem zwinięty w kłębek, rozdygotany, kryjąc głowę w ramionach. Otaczała mnie zwykła cisza.

„Musiałem przerwać. Za bardzo to przeżywałeś” – przekazał smok.

„To było wspaniałe. Ale... krótkie”.

„I nie rozwiązuje twego problemu?”

„Nie wiem”.

Wciąż miałem w głowie odgłos ptasich skrzydeł. Wstałem i uformowałem gołębia, każąc mu pofrunąć.

„Całkiem dobrze” – pochwalił smok.

„Udało się?”

„Nieźle, ale to był bardzo chory gołąb. A więc umiesz to robić na pamięć?”

„Najwyraźniej”.

Wtedy biały smok rzucił lekko, jakby mówił o aktualnej pogodzie:

„W takim razie zostanę z tobą jakiś czas, żebyś mógł nauczyć się wszystkiego, co ci jest potrzebne. Niedługo, parę lat, żeby moi rodzice się nie martwili”.

Sądzę, że powinienem zrobić kilka dziwnych rzeczy. Na przykład zemdleć. Zamiast tego zmartwiłem się, że dalsza podróż z takim ogromnym stworzeniem mogłaby być kłopotliwa. Smok przechwycił tę myśl i natychmiast znalazł radę.

„Mam parę wzorców genetycznych. Bawołu, orla... psa. Nada się chyba? Tylko nie wolno ci patrzeć, jak będę transformował. To brudne zajęcie i trochę krępujące”.

Tak więc smok poszedł zamienić się w psa, a ja czekałem na niego, nie wierząc własnemu szczęściu. Parę lat to znaczyło co najmniej dwa! A przez dwa lata można zrobić naprawdę bardzo dużo!

W tym miejscu Kamyk przerwał, bo zemdlali mu ręce. Zresztą wszystko, co było najważniejsze, zostało przekazane.

Imię smoka-psa przełożone ze smoczej mowy na lengorchiański brzmiało mniej więcej: „Dobry Biały Fruwacz. Unoszący się Wysoko i Zjadający Obłoki Takiej Barwy Jak On Sam”. Kamyk więc skrócił to do Pożeracza Chmur. Wspomagany przez swego niezwykle towarzyszącego, mój Tkacz Iluzji nauczył się wszystkiego. czego brakło mu do tej pory. Jestem o tym przekonany. Teraz odkładam już pióro. Mam czas na pisanie. Ta opowieść nie skończy się ani jutro, ani pojutrze. Będę pisał o Kręgu, w którym stanie Kamyk za kilka lat, by poddać się surowej ocenie Mistrzów. O Mistrzu Tatuażu i jego igłach... Czekam niecierpliwie, aż świat krzyknie z podziwu głośniejsz niż będzie w stanie wytrzymać jego gardło.

Elbląg 1992 – Gdańsk 1993

Ewa Białolecka

Seks i erotyzm w filmie SF

BOLESŁAW HOŁDYS



SZCZEGÓLNYM,

częstym w SF, przypadkiem totalitaryzmu jest społeczeństwo przyszłości, zdominowane przez kobiety, będące rodzajem nowoczesnego matriarchatu. Klasyczne filmy tego rodzaju to „Queen of Outer Space” (Królowa Kosmosu, 1958, reż. Edward Bernds) i „Zardoz” (1973). Ten ostatni opowiada o agresywnym matriarchacie XXIII wieku i o cenie, jaką płać kobiety za sprawowanie władzy (niezdolność do emocjonalnych i erotycznych przeżyć). Dopiero

wojowniczy Zed (Sean Connery) potrafi im uzmysłowić racjonalność i atrakcyjność związków męskodamskich. W tym wypadku twórca filmu John Boorman podjął dyskusję z hasłami ruchu wyzwolenia kobiet w USA (było więcej obrazów tego typu).

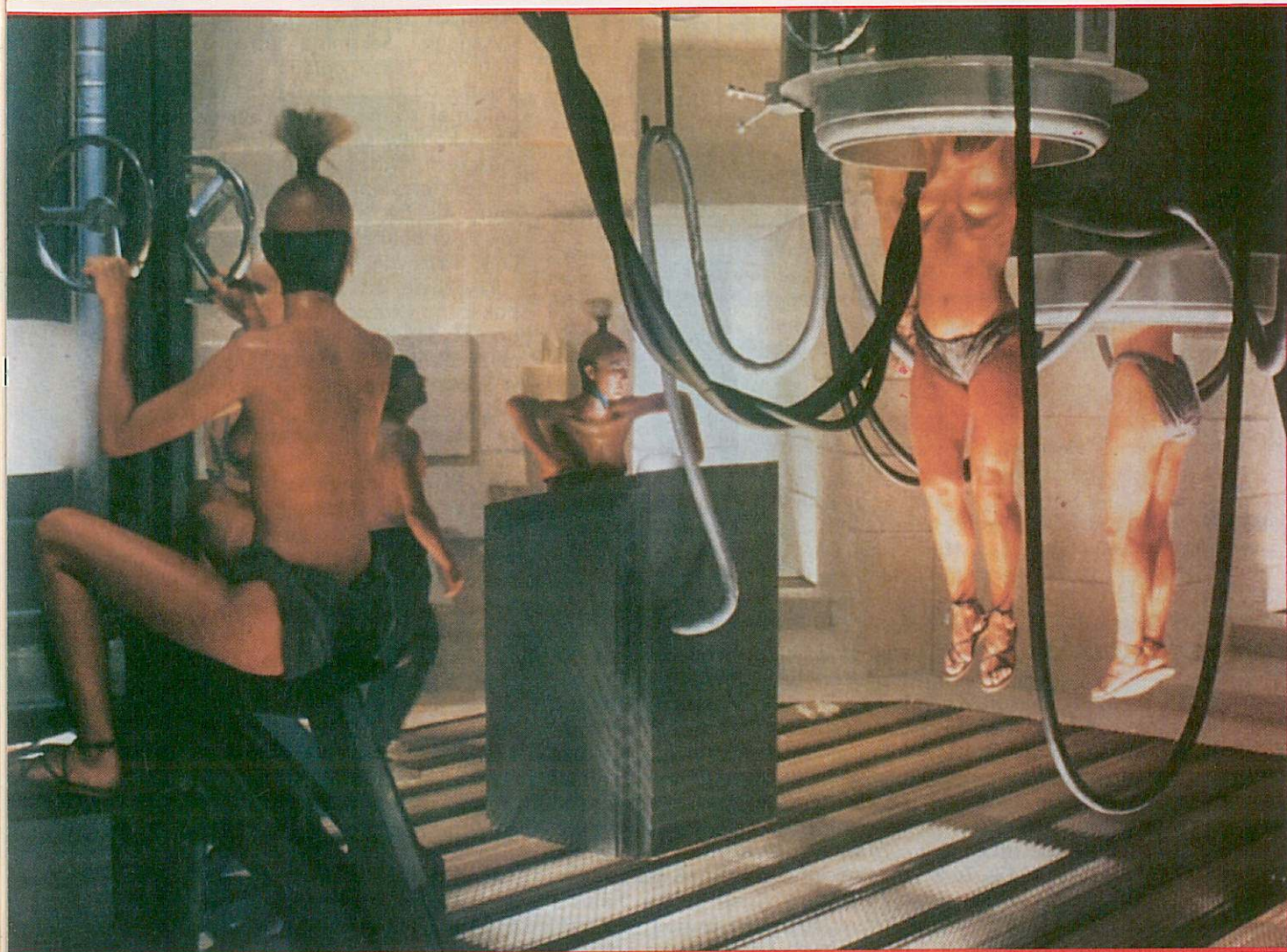
Filmem najciekawszym i bodaj najdowcipniejszym z tej serii okazała się „Seksmissja” (1983) Juliusza Machulskiego. Pokazano tu społeczność samych kobiet, świat oderotyzowany, bez uczuć i seksu. To parodia, doprowadzenie do absurdu

skrajnych tendencji ruchu feministycznego. „Seksmissja” utrwała też stereotyp seksu oglądanego przez dziurkę od klucza, zwłaszcza w symbolicznej scenie, kiedy kąpiące się nago kobiety są podglądane przez mężczyzn. Widzimy ich rozpląszone nosy, przyklepione do szyby akwarium. Ale tak naprawdę podglądamy tu wspólnie: bohaterowie filmu i my, widzowie.

Właściwie od „Seksmissji”, gdzie pokazano widzom wszystko to, czego dotąd można się było jedynie domyśleć, polskie kino erotyczne w ogóle – a w filmie SF w szczególności – znalazło się w ślepym zaułku. W latach osiemdziesiątych, kiedy światowe, ambitne kino powoli zaczęło rezygnować z epatowania seksem, w polskim kinie pojawiła się nowa fala nagości, o której żartobliwie pisał Zygmunt Kałużyński: *eksplozowała w naszym kinie rozpusta – tak nagle, niespodziewana, bez przygotowania, czyli po prostu tak mechaniczna, wyuzdana, ale bez serca, że rodacy reagują na nią obojętnie, zimnym okiem i zaskakującą nieobecnością ducha*. Gwałtownością scen erotycznych, pełnych nagiego seksu, zwróciły uwagę – w tym swoistym wyścigu ku soft pornografii – takie filmy jak „Medium” (miłość podszyta masochizmem) czy „Widziadło”. Kiedyś Andrzej Banach powiedział ironicznie: *Polak prawdziwy erotyzm lokował między obowiązkiem małżeńskim a grzechem śmiertelnym*. Nic dziwnego, że seks i erotyzm po polsku

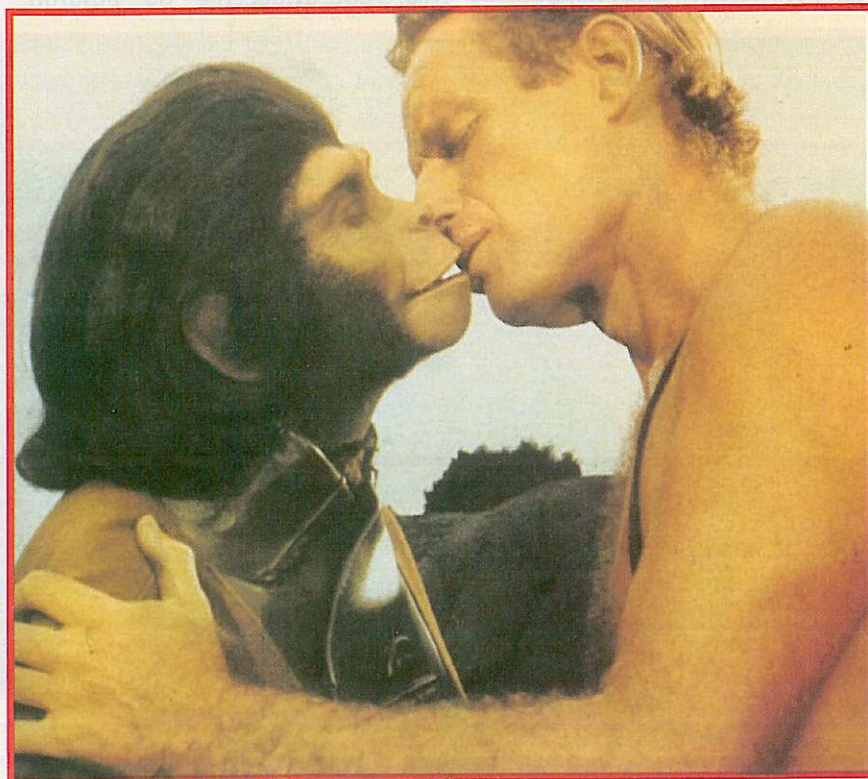


„MECHANICZNA POMARAŃCZA”



wyglądają nader ubogo. W Polsce nie było tradycji literatury erotycznej – takiego hasła nie podaje nawet encyklopedia „Literatura Polska” – nie sprzyjał jej dość ubogi w tej sferze język. W polskich filmach erotycznych zasadą było pokazywanie nagiej pary leżącej na sobie i imitującej ruchy kopulacyjne. To oglądaliśmy przez parę minut. Po tym akcja filmu powracała do zasadniczego wątku.

Dlatego tak niewiele polskich scen erotycznych możemy zapamiętać. Wyróżnił się chyba tylko – poza Machulskim w „Seksmissji” – Piotr Szulkin w katastroficznej trylogii „Wojna światów. Następne stulecie”, „Ga. Ga. Chwała bohaterom” i „O-bi, O-ba. Koniec cywilizacji”. Znow mamy tu do czynienia z erotyzmem bez erotyzmu (scena fingowanego gwałtu w „Ga. Ga”, przerywana brutalnie, podobnie jak identyczna sekwencja w „Wojnie światów”). Podobnie w „Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego, twórcy uprawiającego kino plastycznie rozbudowane



„PLANETA MAŁP”

chane, agresywne i ekspresyjne. Sceny z rozbieranymi kobietami przebijają się na ekranie, ale nie zawierają ładunku erotycznego. Dlatego jedynym wartościowym polskim filmem erotycznym, z wysmakowaną formą estetyczną, są „Dzieje grzechu” Waleriana Borowczyka. Niestety, nawet przy najlepszych chęciach nie można zaliczyć go do fantastyki.

FILM SF

proponuje różnorodne formy współżycia seksualnego w bliższej lub dalszej przyszłości: poprzez tzw. kołowe połączenie (specjalna sieć telefoniczna, która na parę godzin może zmaterializować kobietę), zastosowane w „Ucieczce Logana”; poprzez orgazmotron („Śpioch” Woody’ego

słowo o zabarwieniu biseksualnym, lecz – i to jest swoistą wartością filmu – o erotyzm pojmowany jako namiastka szczęścia.

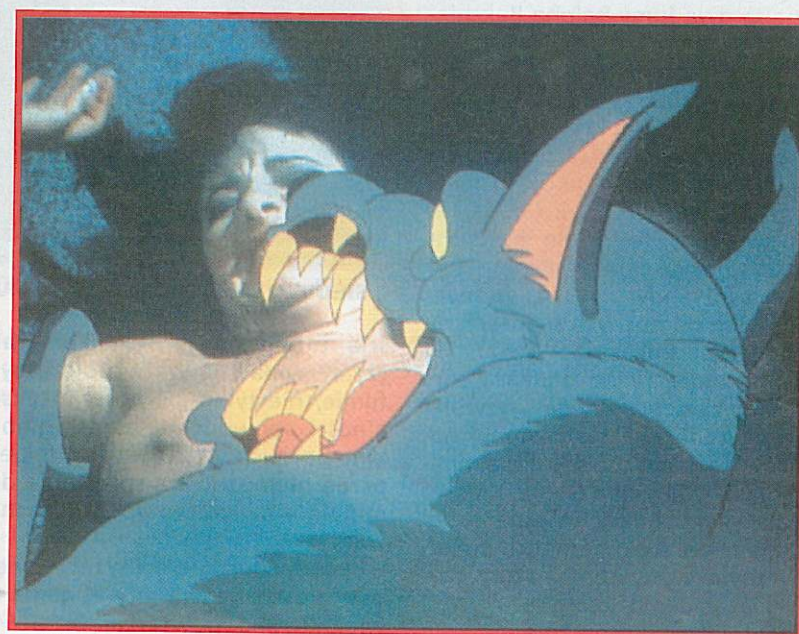
Można wspomnieć jeszcze o wariacie kryptopornograficznym, wulgarnym, ukazującym zaskakujące propozycje seksualne, pojawiającym się w niektórych filmach SF: „Nagi profesor” i „The Paradise Murders” (o specyficznych wynalazkach zwiększających potencję u mężczyzn), czy „Sexmaschine” (sposoby zamiany energii zużywanej podczas stosunku na prąd elektryczny). Trudno wprawdzie wyraźnie oddzielić erotykę i seks od pornografii, płynność i niejednoznaczność definicji nie pozwala jednak zamknąć oczu na swoistą ekspansję. Na Zachodzie pornografia stała się potężnym przemysłem; wystarczy powiedzieć, że

właśnie na Ziemię dochodzą seks-promienie. Flash spotyka tu cesarzową Wang, w której pałacu systematycznie odbywają się orgie i seksualne targi. Bohater walczy z Penisozaurami i robotami-gwałcicielami, aż wreszcie unieszkodliwia maszynę wysyłającą promienie, aby w finale całkowicie zniszczyć owo siedlisko rozpusty. W sumie była to niezła komedia, dostarczająca zwariowanej zabawy i wielu erotycznych gagów.

Większość erotycznych filmów SF jest jednak raczej na żenującym poziomie, zarówno w sferze fabuły, jak i realizacji; jedyną atrakcją jest tam wulgarny, dosadny seks. Tak było w „Stosstrupp Venus blast zum Angriff” (prod. austriacko-RFN, 1974), w którym mieszkańcy Wenus pojawiają się na Ziemi wyłącznie po to, aby pobrać spermę niezbędną na



„VALERIE”



„EVIL TOONS”

Allena), seks z kobietą-robotem (w „Cherry 2000”), a nawet z komputerem („Nasienie potwora”).

Przyznam, że najbardziej odpowiada mi wariant romantyczny, proponowany w „Gwiezdnym przybyśzu” Johna Carpentera (reklamowanym w USA jako *kosmiczna love story*). Z miłości kosmity i Ziemianki rodzi się syn, który – być może – ulepszy nasz niedoskonały świat.

Interesujący jest też powrót do tematyki psychoanalizy w „Zagadce nieśmiertelności” (1983), będącej ciekawym połączeniem SF z horrorem. Przedstawiona tu historia pary kochanków-wampirów zawiera wiele elementów perwersyjnego erotyzmu, także w odmianie lesbijskiej. Jednak w tym filmie Tony’ego Scotta nie chodzi głównie o seks, o zmy-

w dziedzinie filmu porno przyznawane są corocznie specjalne Oscary.

Niegdyś film „Flash Gordon” gorzyl ówczesnych amerykańskich purytanów swym – jak pisano – *rozpasanym erotyzmem* (a chodziło tylko o głębokie dekolty Dale Arden i córki Minga, księżniczki Aury). Jak więc musiał szokować „Flash Gordon” (1974) w reż. Michaela Benveniste i Howarda Zihma? W tym mocno erotycznym pastiszu akcja filmu rozpoczyna się w momencie, kiedy na Ziemię dochodzą seks-promienie z kosmosu, powodujące eksplozję aktywności seksualnej. Dlatego Flash Gordon jest zmuszony lecieć falliczną rakieta wyprodukowaną przez Jerkoffa (z ang. *jerk-off* oznacza masturbację) na planetę Porno, będącą królestwem seksu i z której

ich wymierającej planecie; typowy seks-film z elementami SF. Tym samym był „The Body Stealers” (1969, prod. ang.-USA), gdzie pozaziemska cywilizacja porwuje z Ziemi nader aktywnych seksualnie mężczyzn, aby na ich rodzimej planecie pomogli w prokreacji. Z kolei „Way... Way out” (1966, prod. USA) w reż. Gordona Douglasa jest żalosną seks-farsą. Amerykanie i Rosjanie posiadają stałe bazy na Księżycu. Aby uniknąć incydentów homoseksualnych, decyzją najwyższych władz USA i ZSRR ustalono, że w bazach mogą przebywać tylko pary męsko-damskie. Doprowadza to do pojedynku, która nacja spłodzi więcej dzieci.

W „Sex 2000” (1977, prod. USA, reż. Al Adamson) seks jest zreduko-

wany do czysto mechanicznej czynności. Właściwie poza parawanem SF fantastyczne są tylko niesamowite sposoby kopulowania. Takie przykłady kina fantastyczno-naukowego dla dorosłych można by mnożyć („Spermula” Charlesa Mattonsa, „Calmos” Bertranda Bliera itp.). W filmach tych seks i erotyzm są tanie i natrętne, nieuzasadnione dramaturgicznie, szermujące goliźnią – i niczego ciekawego nie wnoszą do kina SF. Erotyzm – rzecz zrozumiała – fascynuje i pochłania kino tak bardzo, że filmy w większości są pretekstem i parawanem służącym tylko temu, aby seks i erotyzm lepiej lub gorzej eksploatować.

SILNIE

erotyczne, ale wartościowe i niebanalne są dwa filmy Ralphi Bakshiego: „9 wcieleń kota Fritza” i „Intensywny ruch publiczny”, gdzie dominują szaleńczy erotyzm i zmysłowość. Jak pisali krytycy, *panuje tu równowaga między przerostem piersi u kobiet i członków u mężczyzn*. Niezwykle wysoko oceniany jest, uważany za dzieło kultowe, film Jima Sharmanna „Rocky Horror Picture Show” (1974, wyświetlany tylko na nocnych seansach na Zachodzie). Pokazując świat, w którym rządzą różne odmiany seksu, głosi zasady pełnego wyzwolenia erotycznego i pozbawionej hamulców rozkoszy. Jest to znakomicie zrealizowany film (songi, piosenki, muzyka), będący świetną zabawą, ale także niezmiernie charakterystycznym wytworem kultury masowej lat siedemdziesiątych.

Rzecz jasna lansowanie nowych form zachowań erotyczno-seksualnych jest ściśle związane z modą, odzwierciedlającą przemiany obyczajowe. Jednak rzadko w filmach tych prezentowany jest erotyzm odkrywczy, raczej jest to seks konfekcyjny, dosadny, wspierający ubóstwo myślowe i warsztatowe reżysera. Rzadko pojawiają się filmy będące nosicielem psychologicznych, obyczajowych i egzystencjalnych znaczeń, gdzie erotyzm byłby eksplikacją moralnych konfliktów jednostki z rzeczywistością. Wyjątkiem „Mechaniczna pomarańcza” Stanleya Kubricka, w której miłosne dewiacje i sadystyczne ekscesy są doskonale estetycznie uzasadnioną ilustracją tematu obyczajowo-społecznego i stwarzają szansę ukazania efektów zderzenia motywów siły, władzy i potencji seksualnej ze słabością, uległo-



„SIEDMIU MĘŻCZYZN Z SUMURU”

ścią i impotencją. W „Pomarańczy...” widać, iż we współczesnym filmie, nie tylko SF, obsesja seksualności spowodowana jest głębokim poczuciem frustracji i lękiem przed niemożnością sprostania dominującym stereotypom zachowań.

Skandalizujący erotyzm święci obecnie swoje triumfy. Oglądamy wielokrotnie powtarzające się figury erotyczne i piękno nagiego

ciała kobiecego. Taki jest film „Percy”, bardzo popularny w latach osiemdziesiątych. Podejmuje on temat pierwszego w dziejach ludzkości przeszczepu męskiego organu, zwanego w filmie eufemistycznie *percy*. Konteksty erotyczno-komediowe wynikają z sytuacji, kiedy kobiety poprzedniego właściciela *percy* przenoszą swoje zainteresowanie na nowego właściciela. Tak od romantycznej subli-



„DANIENKI” Z „WOJUJĄCEJ GALAKTYKI”



„ANDROID”

macji uczuć przeszliśmy do biologicznego seksualizmu i perwersji. Odzwierciedlając i współtworząc nowe obyczaje erotyczne film jakby wychodzi naprzeciw udrękom i niepokojom moralnym ludzi ery atomowej, poddawanych presji zmysłów. Starając się zrozumieć tajemnice bytu i fizjologii, gubi jednak z pola widzenia sferę uczuć i duchowych więzi. Seks wypiera miłość. Czy jednak te tendencje

staną się zjawiskiem trwałym, czy też przemijają jak inne mody, pokaże przyszłość.

FILMOWY

sezon 1992/1993 potwierdził tendencję do prezentacji na ekranie perwersyjnej mieszanki erotyzmu, seksu i przemocy. Zmysłowość w wykonaniu komiksowym występuje w „Powrocie Batmana” czy

w filmie „Kobieta-kot”; seks przyszłości w wariacie komputerowym (tzw. seks cybernetyczny) proponuje „Kosiarz umysłów” (według pomysłu Stephena Kinga), seks morderczy i na pograniczu perwersji znajdziemy w „Nagim instynkcie”. Niedługo zobaczymy siódmą z kolei wersję przygód erotycznych „Emmanuelli”, filmy o tematyce homoseksualnej („The Mayer of Castro Street”) czy szokujący film australijskiej reżyserki Cynthii Connup „Secred Sex”, będący katalogiem erotyczno-seksualnych przyjemności, od seksu grupowego po jednoosobowy show, nazywany w filmie dosadnie *publiczną wypowiedzią szyjki macicy*.

Niewykluczone, że te manifestacje natrętnej, dosłownej i fizjologicznej seksualności są jednym z objawów niedojrzałości psychicznej i emocjonalnej, pozbawiającej istotę ludzką zdolności do miłości. *Miłość nie jest kwestią obiektu* – pisał Fromm – *lecz zdolności kochania*. Dlatego psychoanalitycy twierdzą, że obsesja seksualności wynika też z impotencji współczesnego człowieka, dla którego – jak żartobliwie pisał Walerian Borowczyk – *ostatnią rozkoszą jest rozkosz patrzenia*.

Bolesław Holdys



„1984”



Ta książka to nie wszystko!

Jeśli jesteś graczem systemów RPG, możesz dzięki podręcznikom dostępnym w języku angielskim oraz akcesoriom przenieść się do cudownego świata Forgotten Realms.

Forgotten Realms

Forgotten Realms New Edition Campaign Setting
Forgotten Realms Adventure
Atlas of the Forgotten Realms
Aurora's Whole Realms Catalog

Menzoberranzan Campaign Expansion
Ruins of Myth Drannor Campaign Expansion
Ruins of Undermountain Adventure
Ruins of Undermountain II: The Deep Levels Adventure

Każdy z tych tytułów oraz wiele innych dostępnych jest w sprzedaży wysyłkowej prowadzonej przez firmę ISA.

Napisz do nas, a otrzymasz katalog zawierający ceny i szczegółowe informacje o możliwości zamówień. Jeśli jesteś zainteresowany, napisz!

ISA

skr. poczt. nr 58
00-962 WARSZAWA 122

**Krainy
Chwały**

pod redakcją
Jamesa Lowdera

**Krainy
Chwały**

pod redakcją
Jamesa Lowdera

**Krainy
Chwały**

pod redakcją
Jamesa Lowdera

W literaturze tradycyjnej słowa służyły jedynie przenoszeniu treści, były podporządkowane potrzebom historii, jaką opowiadał dany tekst. Dziś, gdy wszystkie oryginalne historie zostały już opowiedziane, sprawa wygląda inaczej. Treść utworu schodzi na plan dalszy, a najważniejszy staje się sposób, w jaki czytelnik odbiera i interpretuje słowa. Ważny jest nie tekst, lecz jego twórczy odbiór – czytanie.

Trzy gry Andrzeja Sapkowskiego

Dominika Materska • Ewa Popiołek

Postmodernizm, kierunek dominujący obecnie w literaturze głównego nurtu, koncentruje się właśnie na czytelniku. Współczesne teksty starają się wciągnąć odbiorcę w rozliczne pułapki, skompromitować jego schematyczny i stereotypowy sposób myślenia, schwytac w błędne koło mechanicznego czytania po to, by w końcu zmusić do myślenia.

Twórczość Andrzeja Sapkowskiego, przeznaczona dla szerokiej publiczności, należy raczej do literatury popularnej. Jednak jego styl nawiązuje do postmodernizmu, gdyż autor stosuje trzy ukochane gry postmodernistów: Grę z Tym, Co Już Było, Grę z Językiem i Grę z Czytelnikiem. Spojrzenie na opowiadania Sapkowskiego pod tym właśnie kątem pozwala nie tylko lepiej zrozumieć jego świat wiedźminów, czarowników, bardów i smoków, ale daje odpowiedź na najważniejsze pytanie: skąd wzięły się te opowieści i jak powstała legenda Geralta z Rivii.

Gra z Tym, Co Już Było

Wiedźmin spotykał w życiu złodziei wyglądających jak rajcy miejscy, rajców wyglądających jak prośalne dziady, nierządnicę wyglądającą jak królową, królowy wyglądające jak cielnę krowy i królów wyglądających jak złodzieje. A Stregobor zawsze wyglądał tak, jak wedle wszystkich prawideł i wyobrażeń powinien wyglądać czarodziej (...). CO DZIWNIEJSZE, Stregobor faktycznie był czarodziejem.

Od stereotypów nie da się uciec, poprzez nie postrzegamy rzeczywistość i czytamy bajki – musimy więc ich używać pisząc owe bajki. Sapkowski rozumie ten mechanizm i nie próbuje uciec przed schematami. Robi jednak coś innego – każdy z często używanych przez niego stereotypów kryje w sobie antystereotyp, jakąś część, która mówi „nie”. W zacytowanym fragmencie „Mniejszego zła” rolę tę spełnia sformułowanie „co dziwniejsze”. Czarownik wyglądający jak czarownik staje się w ten sposób automatycznie podejrzanym. Stregobora obserwuje wiedźmin i on też kwestionuje tu stereotyp. Istredd, czarownik z „Okruchu lodu” wprowadza antystereotyp sam – przynajmniej, że tradycyjne praktyki magiczne to jeden wielki teatr obliczony na to, by być holotą nie zaczęła eksperymentować z czarami. Wreszcie w „Granicy możliwości” stereotypowi błędnego rycerza mówi „nie” krasnolud Yarpen Zigrin, wysmiewający etos rycerski.

Kolejny element ulubionej przez Sapkowskiego Gry z Tym, Co Już Było stanowią bohaterowie dobrze znani, postacie, których imiona są już dzisiaj ogólnie komunikatywnymi hasłami. Królowa Snieżka, Szewczyk Dratewka czy Mała Syrenka – słowa te wzbudzają w nas określone skojarzenia. Oczekujemy, że autor opowie nam o nich tak, jak zwykle robią to bajki. Nic bardziej mylnego. Sapkowski woli oddać głos samym postaciom (warto przy tym zauważyć, że w tradycyjnych bajkach są one zawsze nieme, traktowane przedmiotowo). Hi-



storia opowiedziana przez Renfri (Królową Snieżkę) różni się bardzo od kanonicznej wersji wydarzeń: mowa tu o mutacjach, gwałtach, wszach i brudzie. Kozojed (Szewczyk Dratewka) okazuje się prymitywnym i wulgarnym prostakiem, który podczas krucjaty przeciw złotemu smokowi co chwila sugeruje, że trzeba tylko uradzić, czym napchamy ścierwo, żeby gad skapiał co rychlej, zaś Sh'eenaz (Mała Syrenka) stwierdza, że z miłości do księcia co dzień wyłaziła dla niego na skały, luskę sobie wytarła na tyłku!

Aby opowiedzieć bajkę, prócz bohaterów i stereotypów trzeba jeszcze pewnej ideologii, starej i uznanej opozycji dobre-złe, koniecznej, by zaistniał konflikt i walka. Dobro i zło (a właściwie porządek i chaos) zajmują w tych tekstach poczesne miejsce, ale tworzone przez nie system wartości jest stale naruszany. Sapkowski zdaje sobie sprawę ze sztuczności podziałów i konsekwentnie rozsadza ten system. Czini to przez ambiwalencję – nie jesteśmy na przykład w stanie stwierdzić, czy Renfri to niebezpieczna mutantka, jak twierdzi Stregobor, czy też

ofiara knoń zły macochy (wersja kanoniczna). Kolejnym sposobem naruszania jest zdrowy rozsądek prezentowany przez Geralta, przeciwstawiony szumnym frazesom „dobrych” postaci. Tak na przykład w „Granicy możliwości” Dorregaray definiuje dobro jako zachowanie równowagi w przyrodzie, zaś zło jako jej zachwianie – poprzez zabijanie. Wiedźmin komentuje: *Druidzka teoria, znam ją. Wyłożył mi ją kiedyś pewien stary hierofant (...). Dwa dni po naszej rozmowie rozszarpały go szczurolaki. Zachwianie równowagi nie dało się stwierdzić.*

Kto jest po stronie porządku (dobra), a kto reprezentuje chaos (zło)? Na to kluczowe dla każdej bajki pytanie dostajemy zwykle odpowiedź na samym początku lektury. U Sapkowskiego z pozoru jest podobnie, jednak bardzo szybko zaczynamy mieć wątpliwości. Postacie dobre okazują się być niebezpiecznie powiązane z chaosem – tym, co niezdrowe i nieludzkie. Dobrym przykładem są tu postacie kobiet – tradycyjnie anielskie, pasywne, erotyczne obiekty, o które się walczy, nabierają nagle cech nietypowych. W „Kwestii ceny” okazuje się, że niewinna Pavetta, królowa, o której rękę rywalizują rycerze, jest obdarzona nadprzyrodzoną mocą, a ponadto nie jest dziewczcą. Ukochana przez wiedźmina Yennefer to sterylna czarownica, zaś towarzyszące smokowi dziewczęta z Zerrikani walczą okrutniej i skuteczniej w obronie potwora niż wielu mężczyzn.

Według tradycyjnego systemu wartości dobrzy są ludzie, a złe potwory: smoki, wilkołaki, mutanci, jednak nawet podział ludzkie-nieludzkie jest u Sapkowskiego kwestionowany. Potwór-mimik potrafi stać się doskonałą kopią człowieka, fizycznie i psychicznie przeżyć całe życie jak on, a walczące z ludźmi diady to w większości ludzkie dziewczynki uprowadzone i wychowane w lesie. Najlepszym przykładem przewrotności tekstu jest postać Złotego Smoka z „Granicy możliwości”. Nasz główny bohater Geralt to wiedźmin walczący z potworami w obronie ludzi (dobra); Złoty Smok spełnia funkcję analogiczną – walczy z ludźmi w obronie potworów (zła? inaczej pojmowanego dobra?). Wciągnięci w pułapkę nie jesteśmy już w stanie przyporządkować tej walce żadnej oceny moralnej. Pocieszymy się – w postmodernizmie jest to zupełnie normalne.

Gra z Językiem

Bawisz się słowami. Upajasz się nimi (...). Twoje słowa to tylko dźwięki („Okruch lodu”).

Setki lat używania sprawiły, że słowa zgubiły swoje pierwotne znaczenie, są wytarte i zdevaluowane, nieoryginalne. Sapkowski swoją grą i sztuczkami próbuje je ożywić, przywrócić im wartość. Pierwsza taka próba ma miejsce na poziomie pojedynczych wyrazów – teksty pełne są neologizmów, słów zrozumiałych, ale zaskakujących nas swoją nowością. Słowem takim jest „wiedźmin” (rodzaj męski rzeczownika „wiedźma” w staropolszczyźnie to „wieszcz”),

są widlogony (widły + ogon) i szczurołaki (szczur + wilkołak), jest palący znak Igni (ignis – ogień). Czytelnik wciągany zostaje w grę skojarzeń i poszukiwania źródłosłowów.

Ciekawsze jeszcze niż nowe słowa są nowe (a raczej stare) języki odkrywane przez Sapkowskiego. Nasz język okazuje się wtórny, kłamliwy i nie przystający do rzeczywistości. Jest on zaledwie cieniem Starszej Mowy – oryginalnej i zgubionej. Sapkowski chce ją odnaleźć. W tym celu rozpatruje dialekty rozmaitych, odciętych od cywilizacji grup. Przykładem będzie tu język syren („Trochę poświęcenia”) oparty na gamie muzycznej, prawdziwszy, bo melodyczny (muzyka się nie starzeje), oraz język leśnych driad. Ten ostatni ma pewne cechy języków uważanych powszechnie za stare: celtyckich i starogermańskich – zbitki „gw”, podwojenie końcowego „dd”, „th”, sąsiedztwo dwóch samogłosek „ae” (Gwynbleidd, wedd, Braenn, Eithné). Jednocześnie niektóre słowa przypominają wyrazy z języków współczesnych, tak jakby były ich wcześniejszymi, wspólnymi przodkami („bloede” – angielskie bloody, „ess” – francuskie est, „wedd” – to angielskie wed, „neen” – polskie „nie”, niemieckie nein, „foilé” – angielskie folly, francuskie folie).

Postmodernistyczne wyczucie na język widoczne jest także w samym sposobie pisania tych opowiadań. Humor charakterystyczny dla ich stylu opiera się właśnie na zderzeniu dwóch różnych kodów – na przykład mówienie o magii żargonem naukowym. Wiedźmin rozmawiając z człowiekiem, który był kiedyś zczarowany w kormorana pyta: *Wracając do uroku. Nawrotów nie masz? Pióra ci nie rosną? Zderzenie dwóch kodów, tym razem wysokiego, charakterystycznego dla elitarnej kultury dworskiej i niskiego – mowy wulgarnej krasnoluda, wykorzystane jest w „Granicy możliwości” do uzyskania częstego w postmodernizmie tzw. efektu zwierciadła: Niech herold otrąbi moje imię! (...) Za smokiem siła kłów i pazurów, i piekielna złość, a za mną prawda, za mną wiara, za mną tzy dziewic, mówi błędny rycerz. Za chwilę jego mowa jak w krzywym zwierciadle odbija się w słowach krasnoluda: Hej ty smoku chędożony! Słuchaj, co ci rzeknie herold! Znaczy się ja! Jako pierwszy zabierze się do ciebie honorowo obłądny rycerz. Te same słowa nabierają tu zupełnie innej wymowy, co dowodzi, że same w sobie, bez kontekstu nie znaczą nic – są tylko pionkami w grze.*

Gra z Czytelnikiem

Jaskier mógł zmienić treść ballady, napisać o tym, co wydarzyło się naprawdę. Nie zrobił tego. Prawdziwa historia nie wzruszyłaby przecież nikogo.

Jak już udowodniłyśmy powyżej, każde słowo jest względne i potencjalnie fałszywe, daje sposobność do manipulacji i kłamstwa. Teksty: bajki, ballady, opowiadania składają się właśnie z takich fałszywych słów. Czy więc mogą być prawdziwe?

Czytelnika próbującego znaleźć odpowiedź na to pytanie w tekstach Sapkowskiego czeka przykra niespodzianka – teksty te, jak na postmodernizm przystało, nie grają fair, dają informacje sprzeczne ze sobą. Na początek rozważmy historie i ballady opiewane sobie przez bohaterów. Nietrudno zauważyć, że bardzo często wraz z opowieścią cytowane jest jej zaprzeczenie. Tak historia dobrego mistrza Iriona z „Mniejszego zła” zestawiona jest z historią niedobrego czarownika Stregobora, przy czym dowiadujemy się, że chodzi o tę samą osobę. Nie inaczej jest z balladami – wzruszającymi i pięknymi epickimi opowieściami o miłości

i cnotach. Są one cytowane, ale wraz z informacją, że *piśniarz wiedział, że mało kto uwierzy w historię, którą opowiadała ballada, ale nie przejmował się tym. Wiedział, że ballad nie pisze się po to, by w nie wierzyć, ale po to, by się nimi wzruszało*. Sapkowski nie oszczędza także przytaczanych tu bajek: opowieści o jedenastu braciach zamienionych w łabędzie towarzyszy komentarz, że brat to był właściwie jeden i to zamieniony w kormorana, zaś łabędzie są wymysłem bajora, który z siebie tylko wiadomych przyczyn uznał te ptaki za bardziej romantyczne.



Powstawanie bajek – opisy pracy bardów i poetów mają tu duże znaczenie. Pokazują proces naginania i zmieniania rzeczywistości dla potrzeb tekstu, lecz jednocześnie jej utrwalania i zachowywania. W ten właśnie sposób zbliżamy się do błędnego koła, w które uśiłuje nas wciągnąć Sapkowski. Pozornie szuka on oryginału, historii, która wydarzyła się naprawdę i której kanoniczne bajki są jedynie kopiami. Jednak te zakłamanie kopie są z kolei oryginałami w stosunku do samych opowiadań, które oryginału przecież szukają. Tak oto zamyka się błędne koło.

Na marginesie warto zauważyć, że poszukiwanie oryginału jest swoistą (również bardzo postmodernistyczną) obsesją Sapkowskiego: oryginalny człowiek wśród mimików i driad, oryginalne słowo wśród pustych dźwięków, Starsza Mowa, Starsza Krew i prawdziwe opowieści – wszystko to ma wiele wspólnego, zwłaszcza w świecie, gdzie wszystkie oryginalne historie zostały już opowiedziane.

Beznadziejność poszukiwania prawdy najlepiej obrazuje „Coś więcej”, opowiadanie-soczewka, gdzie pojawiają się wszystkie ważniejsze postacie cyklu o wiedźminie. Ciężko ranny Geralt przeżywa tam szereg wywołanych narkotykami wizji. Widzi te przeplatane są scenami ze świata „realnego”, szybko jednak różnica zaciera się i obrazy pozostają realne kończą się obudzeniem – nie wiemy już – z wizji czy w wizji? Ważne dla fabuły pytania: czy Yenfer żyje? czy Visenna jest matką Geralt? czy Geralt odnalazł Ciri? – dostają po kilka sprzecznych odpowiedzi. Każda kolejna wizja/nie-wizja wydaje się schodzić w głąb, bliżej prawdy, ale okazuje się jedynie kolejną powierzchnią. Dochodzimy w końcu do wniosku, że istnieją jedynie powierzchnie i że nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Po przeczytaniu ostatniego fragmentu „Czegoś więcej” możemy równie dobrze wrócić do strony pierwszej i czytać dalej.

Jedną z wyeksponowanych w „Czymś więcej” postaci jest Jaskier – bard, poeta i przyjaciel Geralt. Pojawia się on w kluczowych momentach całego cyklu, śpiewa swoje ballady na królewskich dworach i zwykłych jarmarkach, stara się uczestniczyć we wszystkich ważnych wydarzeniach. Ogląda je, by następnie opisać. Dobiera rymy i wymyśla tytuły do rzeczywistości: *Bądźcie cicho. Staram się zapamiętać, może da się wykorzystać, gdy się dobierze rymy („Granica możliwości”); Jak powiedziałeś? Granica możliwości? Rezerwuję sobie ten tytuł do ballady. Już mam pierwsze zwrotki, w mojej balladzie syrenka poświęci się dla księcia („Trochę poświęcenia”).*

Działalność Jaskra nie jest wcale niewinna, tak jak nie może być niewinnym nic związane z żonglowaniem złymi słowami. Wiemy, że przeinacza on i koloryzuje: *Ależ ty łiesz Jaskier. – Nie lże, ale ubarwiam, a to jest różnica.*

Równocześnie z wiadomościami o Jaskrze czytelnik otrzymuje informację, że po dworach i jarmarkach krążą legendy o czynach Białowłosego Wiedźmina, legendy niebezpiecznie przypominające opowiadania Sapkowskiego. Na domiar złego i one są zafalszowane i podkoloryzowane: *Posługuję się tym wygodnym mitem, gdy mi wygodnie. Nie jest prawdą, jakobym był tym, kogo zastano w domu, chociaż się nie spodziewano. Nie jest prawdą, jakobym właśnie dlatego został wiedźminem, mówi sam Geralt i w tym momencie sytuacja staje się dla nas jasna. Opowieści o wiedźminie Geraltie to tak naprawdę ballady wyśpiewane na jarmarkach przez nałogowego łgarza – barda Jaskra. Jako takie są oczywiście zakłamanie i mylące. Nie można wierzyć żadnej zawartej w nich informacji.*

Ten postmodernistyczny paradoks nie tłumaczy jednak faktu, że opowiadania podpisane przez Sapkowskiego ukazały się w druku – tu i teraz. Częściowo wyjaśnia go natomiast „Coś więcej”. W jednej ze scen tego opowiadania uciekający Jaskier wyrzuca worek ze swymi utworami do rzeki. Łatwo się domyślić, kto je wyłowil i opublikował.

Dominika Materska
Ewa Popiołek

Sok z Kuttnera

Oto jak rynek wymusza modyfikację serii wydawniczych: zniknęły po kilkunastu tytułach Dawne Fantazje Naukowe, a ich miejsce zajął Srebrny Glob – niby to samo, ale w atrakcyjniejszej szacie graficznej. Ukazały się tu już powieści Burroughsa, Williamso-na, Wellsa, a także trzyczęściowa składanka Kuttnera, zatytułowana „Pułapka czasu”.

Po bezlitosnej eksploatacji, jakiej poddał Kuttnera najpierw Arax, potem PiK, wydawało się, że ten autor jest już w Polsce spalony. Istotnie, był twórcą średniej miary, miał jednak kilka wzmotów. Umarł młodo na zawał, więc powiedzmy, że nie zdążył dojść do pełni głosu. W „Pułapce czasu” krótka powieść tytułowa pochodzi z 1938 roku i jest utworem bardzo powierzchownym, stanowiącym jakby przegląd tego, czym SF w owym czasie dysponowała i jak ją rozumiano. Pod pretekstem nieustannej podróży w czasie Kuttner dokonał przeglądu wątków i motywów tematycznych, z żadnego nie wyciskając więcej niż by to zrobił amator.

Natomiast dodane do „Pułapki” opowiadania są bardzo dobre i dla nich warto mieć tę książkę. Obydwa pochodzą z czasów wojennych, co widac po o wiele lepszej formie literackiej autora i podejmowanej przezeń tematyce (Trzygodzinna Wojna ma charakter starcia atomowego). „Oczy Thara” to klasyczne opowiadanie z rodzaju tych, które się pamięta jeszcze po latach i na które czekają czytelnicy. „Druga strona lustra” zaś to krajobraz postatomowy, z mnogością mutacji i dziwnym jeziorem, które całe jest żywym organizmem. Opis zmagania z tajemnicą jeziora jako żywo kojarzy się z „Solaris”, odbierając tym samym Lemowi pierwszeństwo pomysłu. Brak tu obecnych w „Pułapce czasu” naiwności oraz nieudolności formalnych. Takiego Kuttnera chciałoby się więcej.

Predator

Henry Kuttner: *Pułapka czasu*. Tłum. Julita Wroniak, Robert M. Sadowski. Alfa 1994. Biblioteka Klasyki Science Fiction 3 – Srebrny Glob.

Befsztyk z żywego serca

Więcej krwi i spermy! – wołał swego czasu Jacek Ingol w jednym z artykułów. Na ów postulat odpowiedział Graham Watkins powieścią „W ogniu”, gdzie te dwa najważniejsze płyny fizjologiczne mieszają się bez ustanku. Uszlachetnianie horroru pornoem to skądinąd zabieg już znany, często stosowany przez splatterpunkowców.

Fabula opiewa dzieje ośmiorga młodych amerykańskich yapiszonów, pędzących życie na spożywaniu smacznych kolacji i intensywnym uprawianiu seksu. Ludzie ci nie oczekiwania wygrywają dwutygodniowe wakacje w Ameryce łacińskiej; ostatecznie lądują w meksykańskim miasteczku Tlilan Tlapallan, ostatnim miejscu zamieszkanym przez potomków Azteków. Nie bez powodu – młodzi Amerykanie okazują się współczesnymi inkarnacjami starożytnych azteckich bogów, np. plastyk John to Quetzalcoatl, Pierzasty Wąż, ktoś w rodzaju meksykańskiego Prometeusza, dobroczyńca ludzkości. Musi on stoczyć walkę z byłym pilotem, obecnie programistą, Bertim, wcielaniem Tezcatlipoca, Dymiącego Zwierciadła, boga zła i zniszczenia. W miasteczku zaczyna się rytualna, magiczna gra, odzwierciedlająca fragmenty azteckiej mitologii.

Watkins nie obcina: bohaterowie zważają kopułą lubo wydzierają sobie żywym sercem, które potem ochoczo konsumują. Oba wzmiankowane płyny fizjologiczne tryskają hektolitrami, a penisy migają równie chybką co obydłanowe noże do rozpruwania piersi. Końcowe fragmenty to wariacki,

w założeniu rytualny taniec śmierci i seksu, trzeba przyznać, że momentami nawet porównawczy.

Powieść Watkinsa, mimo całej swej tandetności (niezbyt staranny przekład), ma w sobie jakąś chorobliwą, fascynującą siłę. Przypomina trochę mydlaną operę, od której trudno się oderwać – świat bohaterów, choć kiczowaty i plastyczny, wciąga i intryguje, apelując do najbardziej prymitywnych, prehistorycznych chuci. Dekalog i moralność to stosunkowo niedawne wynalazki.

Karburator

Graham Watkins: *W ogniu*. Tłum. Beata Jankowska-Rosadzińska. Rebis 1994. Horror.

Mdłości

Autor tych opowiadań nie stara się być przyjemny. W jego świecie, w toaletach, czają się ośmiornice, a z sedesów wysuwają pyski szczury pazerne na penisy. Kobiety mają użebione nie tylko pochwy, ale i odbytnice, zaś członki mężczyźni zamieniają się w rekiny. Tyżwiarze zabijają się nawzajem na lodowisku. Pasażerowie linczują się po tramwajach. Mężczyźni zamiast do młodych kobiet podniecają się do staruszek i psich kucek. Delikatni frustaci garbują skórę z gruboskórnych referentów. Esesmani, statysty z filmu, zachowują się jak prawdziwi. Ochroniarze biją w sklepach, milicjanci ubliżają kierowcom. Podczas wytrysku z delikatnego wyciekają śliskie płyny oraz płuca i wątroba, a zalekni młodzienci uwalniają się od frustracji, obcinając kobietom sutki sekatorem...

Matkowski w latach osiemdziesiątych tłumaczył Topora i było to, jak widać, powinowactwo z wyborem. Teraz tłumaczy, a właściwie spolszcza z francuskiego, swój cieszący się w Paryżu powodzeniem tomik o trudnym tytule „Le Devisage”. Oznacza to człowieka obserwowanego, a zarazem pozabawionego twarzy. To celna autodiagnoza. Matkowski obserwuje swych człowieczków bezlitosnie i mówi o nich te bezosobowe, beztwarzowe swniństwa, artykułując ich obsesję, które przywykliśmy ukrywać. Jest w tym czarny humor, szyderstwo, okrucieństwo, sadyzm, trochę wyobraźni i sporo obrzydliwości. Po części mam to za wykoncypowaną proekspertową grę (Francuzi!!!), ale także za skrywaną prawdę, której dyshonor wypowiedzenia autor wziął na siebie.

W latach 1984-85 „Fantastyka” drukowała niektóre z tych miniatur, w malej dawce robiły lepsze wrażenie. Opowiadanie „Za parawanem”, alegoria życia, które jest wojną, łagrem, więzieniem zrobionym z naszych czaszek, nieustanną kazią i... snem przed telewizorem – to był już akces nie do literatury obrzydliwej, lecz do literatury w ogóle. W tym tomie jest takich rzeczy ciut więcej. Na polskich fanów jednak za mało; przeoczyli książeczkę szperacze z Katowic i Krakowa zestawiając kompletną listę fantastycznych publikacji AD '93 do nagrody Zajdla. Między nami mówiąc – żadne nieszczyście.

Negocjator

Tomasz Matkowski: *Opowieści niebiańskie*. Polska Oficyna BGW 1993.

Byle jak

Ostatnio na pewnym dworcowym stoisku księgarskim poraził mnie pewien widok – oto stos tandetnych książek Norton przywał pojedynczy tom Sapkowskiego. Oto jak ilość rzymskiej się z jakością – niech to będzie ostrzeżeniem dla autora przygód Geralt, jako że przechodzi na zawodowe pisanie.

O „Planecie voodoo”, kolejnej pozycji z cyklu „Solar Queen”, traktującego o przygodach gwiazdnych kupców, kapitana Jelli-

co i Dana Thorsona, nie da się powiedzieć nic nowego – opowiadana historia ma w sobie tyleż komplikacji, co budowa tłuczka do kartofli. Nasi dzielni kupcy plus lekarz pokładowy Tau (hobby: czarna magia) są prośeni przez Naczelnego Strażnika Khatki (planety zamieszkałe przez potomków murzyńskich niewolników, bardzo modnej jako miejsce egzotycznego safari) o pomoc przeciwko czarownikowi Lumbrilo, godzącemu w rozdział czarownictwa od państwa i gotującym się do wprowadzenia magicznej teokracji. Kupcy, jako że statek jest w remoncie, po niezbyt długim namyśle decydują się na relaksowy wypad na Khatkę. Dalej według schematu – zagubieni w tropikalnej dżungli staczają walkę z wrednym Lumbrilo, oczywiście wygrywają i opuszczają planetę voodoo syci chwały.

Książeczka ma wszystkie wady poprzednich tomów cyklu (papierowość postaci, naginanie fabuły, infantylizm, płaska wyobraźnia) i jedną poważną zaletę – jest cienka, raptem 99 stron. Dodatkowo przekład wydaje się strawniejszy niż zwykle. Norton konsekwentnie utożsamia fantastykę młodzieżową z debiliną, co czuję się w obowiązku wytykać i tępić.

Karburator

Andre Norton: *Planeta voodoo*. Tłum. Marek Obarski. Rebis 1994. Klasyka Młodzieżowej Fantastyki.

Conan myśliciel

Jeżeli znasz Conana, to koniecznie musisz poznać jego przodka – Kulla, barbarzyńcę z Atlantyd, króla Valusji!!! – twierdzi wydawnictwo Andor, podsuwając czytelnikowi kolejny zbiorek opowiadań Roberta E. Howarda. „Kull” zawiera dziewięć utworów (plus prolog i epilog) spod jednej sztańcy. Podobnie spod jednej sztańcy są bohaterowie Howarda – Kull i Conan różnią się głównie imionami, aczkolwiek przy osłku z Cymmerii osilek z Atlantyd sprawia wrażenie intelektualisty. Jak na howardowskie normy, oczywiście.

Niektórym zapewne bohater zbiorku znany jest z opowiadania „Królestwo cieni”, znakomicie spolszczonego przez Piotra W. Cholewę (dawno temu w „Fantastyce”). I na tym radziłbym też znajomości zakończyć. W porównaniu z innymi utworami o Kullu „Królestwo cieni” to strzelisty akt intelektu i talentu autora. Na domiar złego włączono tę opowieść do zbiorku w koszmarnym tłumaczeniu panów Michała i Tomasza Kreczmarów. Dzięki tym dwóm osobnikom „Kull” został śmiertelnie zarżnięty pod względem językowym (czyżby Andor nie miał pieniędzy na korektę?).

Treść książki stanowią przygody silącego się na intelekt barbarzyńcy, który objął stanowisko króla Valusji (notabene: co to za polsko-angielski diwotwór?), obalając wpięrow z pomocą miecza *ancien régime*. Z biegiem czasu staje się jasne, że Kull nie nadaje się na głowę państwa i zmuszony jest coraz bardziej polegać na swoich doradcach (zwłaszcza tajemniczy Pikt Brule nie odstępował go ani na krok). W kraju szerzy się przekonanie, że dzikus z Atlantyd to hanba dla tronu i dla Valusji. Co gorsza, stara nomenklatura zaczyna podnosić głowę. Kull dochodzi do wniosku, że cała ta demokracja jest cholernie warta i czas przeprowadzić „wariant Jelcyne”.

Mimo miernoty fabularnej i językowej opowiadania o barbarzyńcy-filozofie mają w Polsce szanse na spore powodzenie. Andor grozi rychłym wypuszczeniem na rynek następnych zbiorów.

Krzysztof Lipka

Robert E. Howard: *Kull*. Tłum. Michał i Tomasz Kreczmarowie. Andor 1994. Heroic fantasy.

Greckie *gnosis* znaczy dosłownie „wiedza”. Gnostycyzm to filozoficzno-religijny prąd myślowy, wywodzący się jeszcze z czasów przedchrześcijańskich, prawdopodobnie ze starożytnej Persji, głoszący dualizm dobra i zła – dzieje świata składają się z ich odwiecznej walki. Nasz widzialny świat nie został stworzony przez Boga, tylko Demiurga, który uczynił to wbrew Jego woli. Gnostycy gardzą materią, przedkładając prawdziwie boskiego ducha (czyli z grecka *pneumę*). Zbawienia dostąpią tylko posiadający go pneumatycy; jedynie oni mogą zdobyć wiedzę o boskim pochodzeniu swej duszy. Gnostyk to inaczej posiadacz i wyznawca owej wiedzy.

Stany Zjednoczone często bywają nazywane dwudziestowiecznym Babilonem, co ma być synonimem bezbożnictwa i rozpusty. Zarazem to kraj stu tysięcy sekt grupujących miliony wyznawców, gotowych pójść za swymi guru aż do piekła (tragedia wspólnoty Jonesa w Gujanie, niedawna masakra sekty Koresha w Teksasie). Polowanie na Pana Boga staje się tam narodowym sportem czy snobistyczną modą – uległ jej także Philip K. Dick, czego dowodem jego znacząca powieść „Valis”.

Aby ją przeczytać, należy, jak proch z sandałów przed wejściem do świątyni, otrząsnąć umysł z wszelkich oznak racjonalizmu. Gnozy się nie analizuje, ją się przyjmuje, poddając egzegezie, czyli tłumaczeniu i objaśnieniu. W „Valisie” mamy współczesną egzegezę gnostyckiego nurtu zwanego walentynianizmem (od Walentyna z Aleksandrii, głoszącego swe poglądy w XII wieku w Egipcie i Azji); zdaniem walentynianów Demiurg to syn Mądrości (Sophii – u Dicka Umysłu; Demiurga nazywa ślepym, ułomnym bogiem), był niedoskonały, dlatego stworzony przez niego świat materialny jest taki irracjonalny, pełen zła, brak w nim pierwiastka duchowego, owej *pneumy* (u Dicka tożsamej chyba z plazmatem), właściwej prawdziwemu Bogu. Zazdrosny Demiurg postanowił odciąć od niego ludzi i sam się za takowego podał – to właśnie o nim traktuje Biblia.

Niemniej prawdziwy Bog istnieje, według Dicka w postaci Zebry – jest wtopiony, zamaskowany (jak zebra), ukryty w naszej rzeczywistości i tylko od czasu do czasu daje o sobie znać wybranym osobom, jak choćby bohaterowi „Valisa”, Koniolubowi Grubasowi, którego pewnego marcowego dnia 1974 roku trafił różowy promień (jak Św. Pawła w drodze do Damaszk), objawiając mu podstawy gnozy i zarazem informując o przyczynie choroby syna.

Właściwie nie wiadomo, ilu jest bohaterów tej powieści – narratorem, a zarazem jedną z postaci jest sam Dick, pisarz SF (w powieści wiele jest z jego bogatego życiorysu). Koniolub Grubas to grecko-niemieckie tłumaczenie jego imienia i nazwiska – autorska jaźń podzieliła się równo na pół: na racjonalnego pisarza oraz narkomana, niedosłownego samobójcę i religijnego maniaka. Jakby tego było mało, Grubas ma wrażenie, że jego świadomość zamieszkuje młody chrześcijanin z 70 roku n.e., roboczo zwany Thomasem, a i samemu Dickowi wydaje się chwilami, że wcale nie jest pisarzem SF, tylko nobliwym członkiem *middle class* mieszkającym nad pięknym jeziorem wraz ze śliczną, szczupłą żoną.

Nie tylko osobowości się rozpadają, rozszczepia się także rzeczywistość – Koniolubowi Grubasowi zdaje się, że Kalifornia ro-

ku 1974 jest równocześnie starożytnym Rzymem z czasów Thomasa. Nasz wszechświat okazuje się *hologramopodobną powierzchnią międzyfazową*, wspólną projekcją dwóch superbytów, Formy I (czyli doskonałego, prawdziwego Boga) i Formy II (ułomnego Demiurga). Ten drugi jest odpowiedzialny za chaos, cierpienie i śmierć. Forma I podejmuje próby interwencji, na przykład wysyłając Jezusa Chrystusa lub też strzelając w Grubasa różowym promieniem.

Stopień dezintegracji rzeczywistości, czasoprzestrzennego zapętlenia jest w pewnym momencie tak nieznosny, że Dick-narrator pyta z wściekłą rozpaczą: *Chryste, co tu się dzieje? Gdzie my jesteśmy i kiedy my jesteśmy, i kim my jesteśmy? Iloma ludźmi, w ilu miejscach i w ilu czasach?* Jedynym wyjściem wydaje się dotarcie do prawdziwego Boga będącego źródłem prawdy, dobra i doskonałości – to On, Zebra, nadaje formę chaotycznemu światu. Tylko dzięki niemu człowiek może być szczęśliwy i bezpieczny. Grubas przekonał się o tym po swej przygodzie z różo-

Mózg staje!

wym promieniem; *Bóg stanowił dla Grubasa oznakowany przez niego teren. Na jego nieszczęście po tym początkowym doświadczeniu nigdy już nie mógł znaleźć drogi do tego miejsca.*

„Valis” w istocie opowiada o drodze Konioluba Grubasa, człowieka pozbawionego motywacji do życia, do prawdziwego Boga. Droga ta ma postać gnostyckiej konfabulacji (opowiadanie zmyślonych faktów, od łac. *con* = razem + *fabula* = bajka), jako żywo przypominającej to, co uczynił Umberto Eco w „Wahadle Foucaulta”. U Eco źródłem obłąkańcego Planu templariuszy okazał się kupiecki rachunek, u Dicka jest to film „Valis” nakręcony przez rockowego gwiazdora, z pozoru typowy kicz SF, dla wtajemniczonych jednak – zakodowany przekaz. Od tego momentu Koniolub Grubas wraz z przyjaciółmi rzuca się w szaleńcy, konfabulacyjny pościg za Panem Bogiem. Rozum zostawiają w domu, liczą się tylko skojarzenia, pomagające rozgryźć symbolikę liczb i liter – zajmowali się tym niegdyś markozjanie, odłam walentynianów.

Jeśli według „Valisa” cokolwiek wnioskować o cechach Boga, to podstawową jest niepochwytłość. Im bardziej gorączkowo bohaterowie konfabulują, tym bardziej się zapętłają w gąszczu własnych dociekań. *Znajdujemy się w labiryncie, który sami zbudowaliśmy i teraz nie możemy się z niego wydostać* – stwierdza Mini, kompozytor psychodelicznej muzyki z zakodowanymi wezwaniami VALIS-a (skrót od *Vast Active Living Intelligence System* – Rozległy Czynny Żywy System Informatyczny). VALIS jest tajemniczą maszyną pozostającą poza naszym czasoprzestrzennym kontinuum (przypominającą jako żywo Oramusowy Arseniał), tworem kosmicznych praistot o trzech żrenicach, które kiedyś objawiły się Dogonom – rzecz jasna, nie mogło się obejść bez Dänikena. To właśnie VALIS poraził Grubasa różowym promieniem, to on zsyła na Ziemię kolejnych mesjaszy. Wariacka pogoria Pana Boga zakończyła się jego ostatecznym zagubieniem.

„Valis” to książka o rozpaczliwym łaknieniu Boga w świecie totalnej dezintegracji, jako że jest On ostatnim motywem uzasadniającym pozostawanie na tym padole łez i rozpacz. W dotychczasowych powieściach Dicka wiecznie podejrzana była rzeczywistość, bohaterowie zdołali zawsze zachować wewnętrzną psychiczną integralność. W „Valisie” wskakujemy na wyższy poziom – rozpada się osobowość bohatera, więcej nawet, w stan podejrzenia postawiono samego Boga – kim właściwie jest? Przenikającym widzialny świat Zebraw, ślepym demiurgiem czy maszyną służącą trójkielnie rasie potomków Echnatona? Albo Go wcale nie ma, a człowiek został równocześnie sam dla siebie bogiem i wyznawcą? I co ważniejsze, jak żyć w świecie, w którym nie sposób Go odnaleźć? W epilogu Koniolub Grubas i Dick rozstają się – pierwszy wyrusza na nowe poszukiwania, drugi czeka na miejscu, patrząc i czuwając. Czyżby nie sam Bóg był ważny, lecz wiodąca ku Niemu droga?

Powieść ma kształt wielce postmodernistyczny, gnostyckie egzegezy przeplatają się z kolejnymi przygodami Konioluba Grubasa i detektywistycznymi konfabulacjami – razem daje to piorunującą mieszankę, od której gotuje się mózg i wywracają na nice wszelkie zasady racjonalnego myślenia. Czytelnik zarazem czuje się porwany świętym szaleństwem, gorzejącym w piersiach tropiących Pana Boga myślowych, jak i przerażony bagnem gnostyckiej pseudologii. Mózg staje sztorcem i tańczy kankana na grobie Arystotelesa – modelowana tym rytmem wyobraźnia eksploduje, aby potem gnać przed siebie, nie zważając na jakiegokolwiek empiriokrytyczne ograniczenia, jakby w ogóle nie było wieku Oświecenia. Dane przez legion trzeźwych filozofów wyjaśnienia zdają się warte funta klaków, - irracjonalny świat można wytłumaczyć tylko obłąkańczą teorią. To bodaj jedyne założenie, które broni się odrobina logiki.

Dobrze, że tak ważną książkę przetłumaczył jedyny kompetentny ku temu człowiek, Lech Jęczyk. Nie wyobrażam sobie, kto inny mógłby przez to przebrnąć, nie zostawiając po sobie w polskiej wersji schizofrenicznego bełkotu. Jęczykowi udało się ocalić wewnętrzną spójność powieści – coś takiego bywa nawet w memuarach wariata. Zwłaszcza takiego jak Dick.

Powieść Dicka to studium religijno-gnostycznego obłądka, a zarazem jego *summa summarum*, Księga ksiąg, w której wszystkie obsesje dręczące tego autora osiągnęły formę szczytową i ostateczną. Nigdy jeszcze nie czytałem w fantastycznej książce w tak przejmujący sposób opisującej tragedię jednostki uwikłanej w przerastającą ją rzeczywistość, której tożsamości nie potrafi dociec. Philip K. Dick to Szekspir science fiction, jak wyraża się Lech Jęczyk. Równie trafnie ujmuję tę Dickową właściwość Stanisław Lem w „Fantastyce i futurologii” pisząc, że jest on w SF *niczym przybysz z obcych zupełnie stron, który swoje myśli, pragnienia, dylematy wcielił w to, czym ów gatunek dysponował, wykorzystując kostiumologię kiczu, by jak mim w składzie tandeciarza – rozgrywać dramat egzystencjalnej zagadki.*

Jacek Inglot

Philip K. Dick: *Valis*. Tłum. Lech Jęczyk. Rebis 1994. Salamandra.

Pamiętna, debiutancka powieść Jonathana Carrolla „Kraina Chichów” to niezwykle spłot pisarskiej biegłości, talentu i twórczej inwencji młodego pisarza, ale także udana próba przewietrzenia gatunku zwanego horrorem. Uderzała ta książka do głowy, bo była świeża, nieszablona i odległa od utartych wzorców literackiej roboty.

Minęło jednak parę lat i to, co nowe, co nadawało pęd tej prozie – przeciwstawiło się jej i stało przyszłościową kulą u nogi. Nowe utwory Carrolla stanowią odbicia motywów, fascynacji, problemów z jego pierwszej doskonałe pomyślanej i wykonanej powieści. Kolejne odzwierciedlenia (z wyjątkiem „Kości Księżyca”) nie dorównują klasie pierwowzoru. Cechuje je postępująca degradacja powieściowego tworzywa, naracją jest niespójna i chwilami mętna. Dobrze obrazuje to „Dziecko na niebie”, gdzie widać rozszczepiającą się i mnożącą bez liku, dając efekt chaotyczny i pozbawiony wyrazu. Sam autor twierdzi, że „Chichy” były jedynym jego utworem, w którym od początku do końca stosunkowo dobrze wiedział, czego chce.

Typowa dla Carrolla jest też książka na naszym rynku najnowszą, choć pochodzącą z 1988 roku, zatytułowana „Śpiąc w płomieniu”. Walker Easterling, model, aktor i scenarzysta filmowy, zakochuje się z wzajemnością w urodziwej fotomodelce pasjonującej się konstruowaniem miast z klocków Lego. Ta para to typowi bohaterowie

Jak tak to sobie wyobrażam: facet miał leką obsesję na punkcie Dalekiego Wschodu, a nie miał pieniędzy. Zdarzyło mu się za pewne swego czasu skrobnąć to i owo, i akurat była to SF. Poszedł z konspektem do wydawcy – jak już, to na całość, żadne minima: trylogia, i to do kwadratu, czyli dziewięć ksiąg, a każda pięćset stron najmniej. Facet nazywa się David Wingrove i mija właśnie półmetek swego cyklu „Chung Kuo”. Tłumacze: Chung Kuo znaczy Państwo Środka, co jest zarazem tytułem pierwszego tomu. Tłumacze tłumaczenie: Państwo Środka to oczywiście Chiny.

Książka ta to nie żadne arcydzieło, zwracam na nią uwagę z dwóch powodów pobocznych. Pierwszy – to samo założenie przyjęte przez autora: rasa żółta opanowuje świat. Chung Kuo to już praktycznie cała Ziemia. Z uwagi na rozmach projektu oczekiwałem tu jakiejś analizy i opisu kultury w szczegółach, a syntezy w filozofii w planie ogólnym, rozważań nad jej rozwojem – skoro się bierze za czas akcji cały XXIII wiek, a za jej scenę Wszechświat niemalże. Lecz Wingrove po prostu popłynął na fali fascynacji Azją i kasandrycznych przepowiedni o jej rychłej ekspansji. To smutne – ta jednowymiarowość widzenia Chińczyków jako narodu; jak głęboko sięgają stereotypy. Wingrove bez wątplenia przekopał się przez setki książek – Konfucjusz, historia Chin, haiku, teorie gier i wojen Wschodu, teksty Mao, pewnie i języków się uczył – lecz nie potrafił tego wykorzystać inaczej niż do budowania przeładowanej scenografii i epatowania czytelnika zgrabnymi cytatami.

Druga przyczyna, dla której uważam „Państwo Środka” za pozycję godną uwagi, zda się cokolwiek cyniczna. Ta książka stanowi niemal doskonały przykład pewnego systemu pisarskiego, który nazwę tu techniką wtórnych bestsellerów. Jego podstawa: temat gwarantujący maksymalny odzew wśród

Carrolla, rekrutujący się spośród artystycznej cyganerii. Znać w tym swoistą dyskryminację; tylko ludzie sztuki, osoby o naturze wrażliwej i otwartej na piękno, predysponowani są do obcowania z główną, organizującą całą twórczość pisarza obsesją „cudu i grozy tworzenia”. Carroll uporczywie poszukując inspiracji w filmie, literaturze czy poetyce snu zapomina, iż naprawdę wielcy kreatorzy niewiele dbali o artyzm. Chrystus był cieślą, Dżingis-chan koczowniczym, a ich dzieła pełne są zarówno cudu, jak i grozy. Neron, co prawda, pisał

wiersze, a Hitler malował, lecz nie zyskali na tym polu większego uznania.

Związek wspomnianej pary artystów pociąga za sobą serie nieprawdopodobnych zdarzeń. Walker odkrywa u siebie nadnaturalne zdolności, wędruje w snach przez łańcuch swoich reinkarnacji, przez czas i przestrzeń. Powodują to magia włącza się w rzeczywistość, niebezpiecznie ją odkształcając. Przyczyną wszystkiego okazuje się fakt, iż Walker jest trzydziestym ósmym wcieleniem postaci powołanej do życia przez pewną powieść, wybrzmiałą blisko dwieście lat temu. We wszystkim maczali palce bracia Grimm. Spisując zasłyszane bajki zmieniali zakończenia na stosowniejsze, Carroll zaś każe nam sądzić, że opowiada

czytelników, maksymalnie „chwytliwy”; przy czym nigdy nie jest on kwestią wyboru, raczej szczęścia autora, że trafił ze swoją obsesją – w tym wypadku to Chiny. Teraz składniki konieczne: pieniądze, seks, władza, żli i dobrzy, ostre konflikty, przerysowane dramaty, akcja czyli krew. Ten szkielet jest niezmienny. I na to dopiero idzie mięso zależne od wybranego przez autora gatunku.

„Chung Kuo” to przypadek kliniczny, są w nim obecne wszystkie najgłośniejsze trendy SF, niektóre transplantowane tak bezceremonialnie, że można wskazać pierwowzór.

Przepis na bestseller

Postać Kima, cały ten wątek, to kalka Cardowego Endera. Dickowskie zafalszowanie historii: Chiny panują od zawsze, biali to rasa niewolników, nie dokonali żadnego istotnego odkrycia, wszystko zawdzięczają Azjatom; rasa negroidalna nie istniała nigdy, to bajka (holocaust Murzynów). Dalej: eratz cyberpunku, z wojnami molochowatych korporacji, komputerowymi neurostykami, barwnym podziemiem, genetycznymi manipulacjami. I „Diuna”: feudalizm w zderzeniu z techniką, bizantyjskie intryki; dorastanie do władzy w arystokratycznej dynastii. I jeszcze mamy wstawkę jak z horroru, mroczne sekrety z przeszłości, krew bucha z odciętej ręki. Znajduje się i motyw eksploracji kosmosu, już budują statki. Zaś co parę stron wyziera nam z opisów i dialogów, z atmosfery – nieśmiertelny James Clavell.

Wash and go, wszystko w jednym.

„Państwo” jest pierwszym tomem sagi, prologiem – to, niestety, widać. Teraz rodzą się bohaterowie, zawiązują wątki, ujawniają konflikty, malowana jest scena dla przyszłych dramatów – stąd Wingrove musi się posiłkować rozbudowywaniem starć drugoplane-

wersję prawdziwą. Tym samym uprzedza postmodernistyczne wypadki w stronę dzieła niemieckich bajkopisarzy (np. opowiadanie „Muzykanci” Andrzeja Sapkowskiego).

Gdzie tu jednak ten anonsowany schematyzm? Gdzie stereotyp? Już wyjaśniam: schematem podsyta jest gra, jaką Carroll proponuje czytelnikom „Śpiąc w płomieniu”. Zastawione na nich misternie wyki i siatki pozostają puste, a to dlatego, że naczyli się je omijać. W poprzednich książkach Carroll mimochodem wyjawiał reguły swojej gry. Wiadomo: początek będzie spo-

kojny, po czym ostrożnie dawkowana makabra powinna wybuchnąć wraz z zakończeniem. Znających ten wzór prawie nic nie jest w stanie zaskoczyć. Niedługo ostrzegal przed tym Carrolla Franz Rottensteiner.

Dla tych, którzy pamiętają wcześniejsze dokonania tego autora, lektura „Śpiąc w płomieniu” będzie nieco jałowa. Przypomina remake filmu, gdzie jedyną atrakcją jest nowa obsada, dekoracje itp. Żywić jednak nadzieję, iż w przyszłości zagra z nami Carroll jeszcze nie raz. Tylko lepiej.

Mirosław Obarski

Jonathan Carroll: *Śpiąc w płomieniu*. Tłum. Paweł Kwiatkowski. Rebis 1994, cena 59 000 zł. Seria z salamandrą.

wych, żeby czytającego nie zanudzić. Dużo tu takich paków wypełniających szczeliny. Autor usilnie stara się powieść uatrakcyjnić, chwilami robi się z niej czysta space opera. Na tyle przynajmniej zna się na rzemiośle, że nie zdarzają mu się wpadki rażące. „Chung Kuo” jest całkowicie reprezentatywne dla tego typu „wielkich” cykli (nie tylko SF), które zaczynają zalewać nasz rynek, a różnią się między sobą jedynie scenografią, imionami własnymi, poziomem tłumaczenia i liczbą tomów – notabene wydawałoby się, że obowiązkową formą jest trylogia, lecz najwyraź-

niej trzy lata nie wystarczają, pisarze chcą mieć chleb zapewniony od razu na dekadę.

Mam zaś do Wingrove’a, że zmarnował potencjalnie tak bogaty temat jak przyszłość Azji i konfrontacja stoicyzmu zen i w ogóle filozofii orientalnych z postępowem technicznym. (Są o tym niezłe opracowania na przykładzie Japonii i pomniejszych tygrysów Wschodu.) Uproszczenia, od jakich roi się w książce, przyprowadzają o ból głowy. Na przykład mandaryni stopują od stuleci rozwój nauk w obawie przed jakąkolwiek zmianą. (*Utrzymując status quo utrzymujemy pokój*). Jest to oś konfliktu, jedno z głównych założeń powieści, nierealistyczne przez nieumiejętność wyegzekwowania podobnego zarządzenia. Naprawdę źle jest zaś wtedy, gdy zaczyna się charakteryzować postaci przez ich przynależność rasową. Nawet nie bardzo się mogą złościć na Davida Wingrove’a, facet chciał po prostu rzecz sprzedać. I sprzedał.

Jacek Dukaj

David Wingrove: *Chung Kuo. Księga I: Państwo Środka*. Tłum. Przemysław Znaniecki. Rebis 1993. Science Fiction.

Opinia naukowców na temat załogowych podróży międzygwiazdnych jest jednoznaczna. Oczywiście opiera się ona na o b e c n y m stanie wiedzy naukowej i jego racjonalnej ekstrapolacji w przyszłość. Wnioski, jakie stąd wynikają, są bezlitosne i wykluczają nadzieje na to, aby człowiek mógł kiedykolwiek osobiście polecieć w przestrzeń międzygwiazdną.

Niedosiężne gwiazdy (1)

Andrzej Marks

Zapewne kiedyś mogą zostać dokonane odkrycia, które umożliwią załogowe podróże międzygwiazdne. Spróbujmy jednak zapoznać się z dzisiejszymi realiami naukowymi i technicznymi.

Od razu trzeba stwierdzić, że lot z Ziemi w przestrzeń międzygwiazdną wcale nie jest trudny. W ciągu minionych dwudziestu lat wysłaliśmy już tam cztery aparaty kosmiczne: Pionier 10, Pionier 11, Voyager 1 i Voyager 2.

Aby odlecieć z Ziemi w przestrzeń międzygwiazdną, konieczne jest osiągnięcie trzeciej prędkości kosmicznej – około 16,7 km/s. Jeżeli jednak aparat międzygwiazdny wysłamy po takiej trajektorii, że umiejętnie wykorzystamy potężne pole grawitacyjne Jowisza, to zadowolimy się będzie można mniejszą prędkością – rzędu 14,2 km/s. A jeżeli jeszcze odpowiednio wykorzystamy pole grawitacyjne Wenus, to wystarczy może tylko około 11,5 km/s. Nie oznacza to, że możliwe jest odbycie z a ł o g o w e j podróży międzygwiazdnej. Należy sobie bowiem zdawać sprawę z tego, że odległości między gwiazdami są olbrzymie.

Dla ich przedstawienia astronomia posługuje się jednostką noszącą nazwę roku świetlnego. Jest to odległość, na której pokonanie światło potrzebuje roku.

W rejonie, w którym znajduje się Słońce ze swymi planetami, średnie odległości między gwiazdami wynoszą około 5 lat świetlnych. W odległości do 20 lat świetlnych od Słońca znajduje się ogółem 89 gwiazd.

Wysłane w przestrzeń międzygwiazdną cztery aparaty kosmiczne lecą w różnych kierunkach. Jeden z nich – Pionier 10 – zmierza (przypadkowo) mniej więcej w kierunku odległej od Słońca o około 11 lat świetlnych gwiazdy Ross 128. Kiedy przeleci w jej sąsiedztwie? Odpowiedź jest deprymująca – za około 830 tys. lat. Pamiętajmy przy tym, że wysłane w kosmos aparaty nie lecą ani ze stałą prędkością, ani po linii prostej.

A więc posłuszenie się do załogowych podróży międzygwiazdnych urządzeniami tej klasy co Pioniery 10 i 11 czy Voyagery 1 i 2 jest po prostu niedorzeczne.

Czy istnieje jakieś rozwiązanie tego problemu?

W teorii istnieje, i to trywialne. Po prostu należałoby podróżować z większą prędkością. Gdyby można było osiągnąć prędkość światła, to podróż

z Ziemi do gwiazdy Ross 128 trwałaby tylko 11 lat.

Niestety, ten sposób liczenia jest zupełnie błędny.

Po pierwsze, ciało obdarzone masą spoczynkową nie może osiągnąć prędkości światła. W miarę jak prędkość ciała rośnie, rośnie i jego masa – po osiągnięciu prędkości światła stałaby się nieskończenie wielka. Po drugie, statek kosmiczny lecący do gwiazdy Ross 128 z prędkością światła wcale nie byłby w podróży 11 lat, a 0 lat! W obiekcie poruszającym się czas biegnie wolniej, a w miarę wzrostu prędkości dylatacja czasu staje się coraz większa i osiąga wartość nieskończenie wielką w przypadku osiągnięcia prędkości światła. Inaczej mówiąc dla obiektu poruszającego się z prędkością światła czas „staje w miejscu”.

Także i długość przedmiotu poruszającego się, czyli jego wymiar wzdłuż kierunku ruchu, jest mniejsza niż przedmiotu nieruchomego, a w przypadku „osiągnięcia” prędkości światła długość ta stałaby się zerowa. Jednak pasażer statku kosmicznego lecącego z szybkością światła nie tylko by żadnego z tych zjawisk nie zauważył, ale nawet nie mógłby ich wykryć. Rozważań na temat podróży międzygwiazdnych nie można opierać na mechanice Newtona, lecz na mechanice relatywistycznej Einsteina.

Skoro podróże międzygwiazdne nie są zwykłymi podróżami kosmicznymi, tyle że na trochę większe odległości, czytelnicy mogą uznać, iż są one niemożliwe fizycznie. Nie wpadajmy w skrajności: między trzecią prędkością kosmiczną a prędkością światła jest bardzo duży przedział. Czy nie da się znaleźć jakiegoś realnego rozwiązania?

W zasadzie wszystko sprowadza się do prędkości lotu. Na pewno prędkość kilkunastu kilometrów na sekundę (czy choćby kilku tysięcy kilometrów na sekundę!) jest dla potrzeb załogowych podróży międzygwiazdnych za małą. Z kolei prędkość światła jest nieosiągalna ze względów fizycznych. Gdyby się jednak udało osiągnąć szybkość lotu rzędu kilkudziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę, to wówczas podróż międzygwiazdna stałaby się możliwa, choć tylko w sąsiedztwo najbliższych gwiazd, a i tak na lot tam i z powrotem trzeba by kilkudziesięciu lat.

Aby więc racjonalnie rozważać problem załogowej podróży międzygwiazdnej, trzeba przede wszystkim znaleźć silnik, zdolny do nadania stat-

kowi kosmicznemu prędkości kilkudziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Trzeba też oczywiście znaleźć dla tego silnika źródło energii.

Oczywiście w grę wchodzi tu tylko silnik rakietowy. Jest on tym lepszy (wydajniejszy), im szybciej substancja odrzutowa wylatuje z jego dyszy. W obecnych silnikach rakietowych zasilanych paliwem chemicznym prędkość ta osiąga około 4 km/s. Niestety jest to za mało; taki silnik dla międzygwiazdnego statku kosmicznego byłby za słaby.

Trzeba radykalnie zwiększyć prędkość wylotu substancji odrzucanej. Jak to osiągnąć?

Nie wdając się w analizowanie różnych możliwych rodzajów napędu, które są za słabe, sięgnijmy do tego, co najlepsze, czyli do silnika, w którym substancja wylatywałaby z dyszy z maksymalną prędkością, to znaczy z prędkością światła – 300 000 km/s. Koncepcja takiego silnika powstała jeszcze przed II wojną. Chodzi oczywiście o rakietowy silnik fotonowy. Substancję odrzucaną stanowiłby tu strumień fotonów. (Są to elementarne cząstki materii, istniejące tylko wtedy, gdy się poruszają, a poruszać się mogą tylko z prędkością światła. Nie mają masy spoczynkowej; masa ich manifestuje się tylko w ruchu). Konstrukcja takiego silnika jest nadzwyczaj prosta: jego przykładem jest zwykła latarka elektryczna. Gdy ją zaświecimy, wylatujący z reflektora latarki strumień fotonów powoduje jej odrzut w kierunku przeciwnym.

Strumień światła latarki jest jednak bardzo słaby, nikła jest też ilość energii, jaką może dostarczyć małe chemiczne ogniwo elektryczne. Gdyby latarkę elektryczną zaświecić w kosmosie, to do czasu rozładowania się baterii osiągnęłaby ona prędkość 0,1 mm/s.

Aby fotonowy silnik rakietowy stał się użytecznym źródłem napędu dla statku kosmicznego, jego źródło fotonów musi być o wiele silniejsze. I o wiele silniejsze musi być źródło jego energii.

Chcąc uzyskać intensywne świecenie jakiejś substancji, najprościej nagrzać ją do wysokiej temperatury. Jeżeli ciało nagrzemy do temperatury 5800 K (temperatura powierzchni Słońca), to każdy centymetr kwadratowy jego powierzchni wyrzuci strumień fotonów powodujący siłę odrzutu o wartości 0,003 Grama. To o wiele za mało. Zwiększmy temperaturę powierzchni do 37 000 K (temperatura bardzo gorących gwiazd). Wielkość strumienia fotonów oczywiście wzrośnie, a więc wzrośnie i siła odrzutu – do wartości 5 Gramów z centymetra kwadratowego. Nadal jest to za mało. Aby z 1 centymetra kwadratowego promieniującej substancji uzyskać strumień fotonów o sile ciągu – dla przykładu – 1 kg, potrzebna jest olbrzymia temperatura 140 000 K! Oczywiście we wszystkich podanych przykładach materia występuje już w postaci plazmy.

Aby więc z fotonowego silnika rakietowego uzyskać siłę ciągu 20 000 kg, należałoby posłużyć się jako źródłem promieniowania fotonów obłokiem plazmy o średnicy około 80 centymetrów, nagrzać go do temperatury

140 000 K i trwale ją utrzymywać. W przypadku międzygwiazdowego statku kosmicznego trwa to przez całe dziesięciolecie. Dodajmy, że jak na statek kosmiczny, i to międzygwiazdowy, 20 ton siły ciągu silnika to niewiele – współczesne rakiety chemiczne osiągnęły już siły ciągu ponad 3 000 ton.

Jak jednak wytworzyć taki obłok wysokotemperaturowej plazmy i trwale utrzymywać go w takiej postaci, by nie spowodować natychmiastowej eksplozji o sile wybuchu jądrowego? Wszak nagrany do wysokiej temperatury gaz (plazma) natychmiast się gwałtownie rozpręży. Dobrze znamy to z zachowania chemicznych materiałów wybuchowych, choć temperatury sięgają wtedy tylko 3000 K. I z czego skonstruować elementy silnika, aby wytrzymały taką temperaturę? Z czego wykonać zwłaszcza reflektor, aby całkowicie odbijał w jednym kierunku potężny strumień fotonów? Jeżeli bowiem będzie go choć trochę pochłaniać, to natychmiast się rozżarzy i wyparuje.

Te problemy czysto techniczne należałoby rozwiązać już na pierwszym etapie konstruowania międzygwiazdowego statku kosmicznego. Niestety, dziś nie widać realnych rozwiązań. A to za ledwie początek trudności.

Rakietowy silnik fotonowy gwiazdolu musiałby działać całe dziesięciolecie. Ile by na to trzeba energii?

W podanym przykładzie obłoku plazmy o średnicy 80 cm i temperaturze 140 000 K źródło energii musi mieć moc około 60 000 000 MW, czyli taką jak 15 000 elektrowni w Bełchatowie! Skąd je wziąć i jak podtrzymać jego działanie przez dziesięciolecie? Musiałoby ono być jednocześnie bardzo lekkie. Energia chemiczna jest na to za słaba. Za słaba jest na to także energia jądrowa, użytkowana z rozszczepienia uranu 235 czy plutonu 239. Za słaba jest także reakcja syntezy jądrowej helu z wodorem, najpotężniejsza opanowana reakcja jądrowa, wyzwalana tylko w wybuchach.

Na szczęście istnieje źródło energii, które byłoby dostatecznie potężne: anihilacja materii, czyli całkowita przemiana materii w energię. Proces ten następuje, gdy spotkają się ze sobą cząstka i antycząstka materii, na przykład elektron i pozyton. W reakcjach rozszczepienia w energię przekształca się tylko około 0,07 proc. materii, a w reakcjach syntezy około 0,7 proc.

Co do antycząstek, to trzeba je sztucznie wytwarzać z wielkim trudem i olbrzymim nakładem energii, nie występują one bowiem normalnie w naszym otoczeniu. Jeżeli nawet pojawiają się w wyniku jakichś przypadkowych reakcji jądrowych, na przykład w wyniku oddziaływania promieniowania kosmicznego na materię, to natychmiast anihilują w wyniku oddziaływania z otaczającą je „zwykłą” materią. Istniałby więc niesłychanie trudny problem techniczny izolowania przechowywanej antymaterii od styczności z „normalną” materią pod groźbą natychmiastowego potwornego wybuchu. Co prawda uważa się, że mogłoby się to udać za pomocą potężnych pól elektromagnetycznych.

Skoro potrzebną do napędu gwiazdolu antymaterię należałoby najpierw wyprodukować, powstaje od razu pytanie, jak powinna wyglądać taka fabryka antymaterii i ile by zużywała energii?

Na pierwsze pytanie nie umiemy udzielić odpowiedzi. Odpowiedź na pytanie drugie prowadzi do deprymujących wniosków: ilość energii byłaby oczywiście nie mniejsza niż ta, którą by później uzyskiwano w silniku. Gdyby elektrownię w Bełchatowie można było wykorzystać do produkcji antymaterii i gdyby mogła to robić ze stuprocentową wydajnością, to w ciągu roku mogłaby wyprodukować tylko około 1,5 kg antymaterii.

Ile energii potrzeba na podróż międzygwiazdą w rejon najbliższej gwiazdy, Proxymy Centauri, odległej od Słońca o około 4,27 lat świetlnych? Posługujemy się rakietowym silnikiem fotonowym o ciągu 20 000 kg z naszego przykładu.

Załóżmy (dość dowolnie), że nasz gwiazdolot miałby masę 1 000 000 kg, czyli 1000 Mg – niezbyt wiele jak na załogowy statek mający być w podróży kilkadziesiąt lat i osiągnąć sąsiedztwo innej gwiazdy. Przede wszystkim ciąg silnika stanowiłby tylko 1/50 masy statku, toteż oczywiście nie mógłby on samodzielnie wystartować z powierzchni Ziemi. Przyspieszenie statku byłoby bardzo małe, stanowiłoby tylko 1/50 przyspieszenia ziemskiego, czyli że nabierałby on prędkości (lub hamował) stosunkowo powoli.

Załóżmy więc, że do połowy drogi statek leciałby cały czas napędzany silnikiem – okazuje się, że lot do połowy drogi trwałby 14 lat, osiągając prędkość 90 000 km/s. Hamowanie znów zajęłoby 14 lat lotu – z działającym cały czas silnikiem! Podobnie wyglądałaby podróż powrotna. Podróż trwałaby więc około 56 lat (przy tych prędkościach relatywistyczna dylatacja czasu nie odgrywa jeszcze istotnej roli) z działającym nieustannie silnikiem o mocy 15 000 elektrowni w Bełchatowie.

Ile by to kosztowało energii?

Okazuje się, że w tym celu potrzeba około 88000 (czyli 88 Mg) antymaterii (i tyle samo materii, ale tej by nie trzeba na szczęście produkować). Dla wytworzenia tej ilości antymaterii elektrownia w Bełchatowie musiałaby pracować około 60 000 lat, a wszystkie elektrownie w Polsce około 10 000 lat...

Można wykonać ten rachunek inaczej. Cała podróż wymagałaby zużycia około 4 500 000 000 000 000 kWh energii, podczas gdy światowe zapasy paliw chemicznych (węgla, ropy i gazu) ocenia się na około 50 000 000 000 000 kWh. Inaczej mówiąc bardzo skromna załogowa wyprawa kosmiczna w rejon najbliższej gwiazdy i z powrotem wymagałaby zużycia około 7 proc. ziemskich zapasów paliw chemicznych. Nawet najwydajniejszy z możliwych fotonowy silnik rakietowy, z najwydajniejszym z możliwych źródeł energii – anihilacją materii, wymaga spełnienia nierealnych postulatów technicznych.

Panuje jednak przekonanie, że po opanowaniu kontrolowanej reakcji termojądrowej na Ziemi zapanuje

era obfitości energetycznej. Nie jest ono bezpodstawne. Zignorujmy więc kolosalne zużycie energii, niezbędne dla odbycia podróży międzygwiazdnej i analizujmy tylko sam lot międzygwiazdny. Spróbujmy mianowicie ocenić, jak daleko udałoby się dolecieć? Posłużmy się fotonowym silnikiem rakietowym – bo lepszego po prostu nie znamy, wykorzystującym energię anihilacji materii, bo lepszego nie znamy. Będzie to jednak silnik potężniejszy, wytwarzający przez cały czas podróży przyspieszenie równe ziemskiemu (1 g). Nie można skazywać załogi gwiazdolu, aby przez długie lata znosiła przyspieszenie większe od ziemskiego! Założenie to oznacza oczywiście, że silnik przez cały czas musi wytwarzać ciąg równy aktualnej masie statku.

Załóżmy przy tym, że posłużymy się czteroczołową rakieta fotonową. Pierwszy jej człon będzie służył do napędzania jej do połowy drogi, drugi do hamowania przez pozostałą połowę drogi, trzeci do napędzania do połowy drogi powrotnej i wreszcie czwarty do hamowania w czasie ostatniej połowy drogi przed lądowaniem na Ziemi. Założmy też, że w każdym członie stosunek mas (materiału pędnego do konstrukcji) wynosić będzie 1:10 – co tylko z największym trudem osiąga się w chemicznych rakietach nośnych i co wydaje się zupełnie nierealne w rakietach fotonowych o napędzie anihilacyjnym.

Łączny stosunek mas wynosiłby więc 1:10 000. Gdyby więc gwiazdolot miał – jak poprzednio – masę 1000 Mg, to jego masa startowa (z napędową czteroczołową rakieta fotonową) musiałaby wynosić 10 000 000 Mg – z czego 4 500 000 Mg przypadłoby na antymaterię, a 4 500 000 Mg na materię. Taki statek kosmiczny byłby w stanie osiągnąć prędkość 0,98 prędkości światła (c) i dolecieć na odległość około 10 lat świetlnych. (I oczywiście powrócić na Ziemię, jeszcze raz osiągając prędkość 0,98 c). Tylko tyle. Na więcej nie wystarczy paliwa.

Pewne wyjście jednak istnieje. Załóżmy mianowicie, że nie będziemy cały czas forsować silnika i podtrzymywać przyspieszenie 1 g, a po osiągnięciu prędkości 0,94 c silnik wyłączymy i dalej polecimy rozpędem, po czym zaczniemy hamować. Tak samo postąpimy też w drodze powrotnej.

Otóż okazuje się, że można by wtedy dotrzeć na odległość 65 lat świetlnych od Ziemi w czasie 25 lat (według pokładowej rachuby czasu, z uwzględnieniem relatywistycznej dylatacji czasu, która przy tych szybkościach wyraźnie się już ujawnia). Tyle samo trwałaby podróż powrotna – czyli łącznie 50 lat. Na Ziemi upłynęłoby zaś 141 lat.

Odległość 65 lat światła to oczywiście więcej niż 10, ale w kosmosie nie stanowi ona rewelacji. Niestety, wydaje się, że to kres jakichkolwiek opartych na wzorach fizycznych rozważań. Dalej zalecieć w czasie trwania życia ludzkiego by się nie dało. Jest to nieprzekraczalna granica, jaką stawiają nam same prawa przyrody.

Następne odcinki trzyczęściowego tekstu Andrzeja Marks będą drukowane co dwa miesiące.

"Dlaczego piszemy ponuro?" – tak zatytułowane seminarium, połączone z bankietem i jedenastą już uroczystością wręczenia Śląka, odbyło się 3-5 czerwca br. w Katowicach. Większość prelegentów, którym słuchacze (fanowie, organizatorzy, pisarze, krytycy i... oczekujący swej kolejki prelegencji) przeszkadzali i przerywali w granicach prawa – poświęciła swe wystąpienia obecności bądź nieobecności humoru w SF.

Dlaczego ponuro?... Omijając chronologię trzydniowych dyskusji, powiem, że wyjściową tezę zakwestionował dowcipnie Jarek Grzędowicz. Z jego manipulacji statystyczne wynikało, iż proporcje „ponure-wesołe” układają się (np. w „Fenixie”) tak samo, z grubsza biorąc, jak

Ponuracy i komedianci!

u Anglosasów. W „NF” wygląda to właściwie podobnie, choć z kolei Dorota Malinowska stwierdziła, iż w zachodniej SF jest humorystów znacznie więcej i poparła swe obserwacje garścią niezłych nazwisk.

Pozostałych prelegentów teoretyzujących na temat dowcipu można podzielić na trzy grupy. Pierwsi, zwolennicy spiskowej teorii literatury, głosili, iż za ciemny, posępny ton naszej fantastyki (jednak!?) odpowiadają redaktorzy pozbawieni poczucia humoru oraz niechętny rozrywce mur wydawców; autorzy wolą nie forsować go dowcipami, by wydawców nie rozwścieczyć. Zwolennicy takiej tezy – Eugeniusza Dębskiego i Tomasza Kołodziejczaka – wspierali gospodarze seminarium: Piotr W. Cholewa (ostentacyjnie) oraz Ela Gepfert (z nienaganną, dyskretną elegancją).

Prelegentów grupa druga próbowała analizować skomplikowaną gramatykę komizmu w fantastyce i w ogóle. Powoływano się na Arystotelesa, Bergsona, na Eco. Niedostatek rodzimego komizmu wyprowadzano raczej z polskiego losu i odmiennych zadań, jakie SF spełniała w Polsce i gdzie indziej. Jacek Ingłot w wyjaśnieniach sięgnął aż do Paska. Maciej

Parowski bliżej, bo do komuny i stanu wojennego, oraz do teorii fantastyki jako snu-kosmaru cywilizacji (z ilu snów budzimy się z okrzykiem radości?). Marek S. Huberath wywołał strukturalizm, że w prozie SF opisujemy coś, co nie istnieje, i ta kreacja zajmuje zbyt wiele pojemności prozy, co sprawia, że konstrukcja udanego dowcipu mogą być kłopoty.

Stronnictwo trzecie, najbardziej praktyczne, zajęło się relacjonowaniem humorystycznych sytuacji z życia bądź udanych realizacji komediowych. I tak Piotr „Raku” Rak przywołał legendarne spięcia i skandale fandomu, głośne i obśmiewane przez lata (choć czasem podszyte grozą – jak choćby parogodzinne wyaresztowanie całego kierownictwa „Fantastyki”

w Staszowie '85). Waldemar Czerniszewski zajął się dowcipem na komiksowej planszy, uzupełniając to ciekawymi uwagami o formach multimedialnych, zaś Paweł Ziemiakiewicz przypomniał niebagatelny dorobek polskiej zabawnej kreskówki fantastycznej (filmu animowanego), która teraz w telewizji ustępuje pola zachodniej tandecie. Do tego ostatniego tematu, a także do wspomnień Raka spróbujemy wrócić na łamach „NF”.

Temat seminarium okazał się trudny, choć zabawny, i nieustannie wymykał się prelegentom oraz słuchaczom. Podczas dyskusji, raz komicznych, kiedy indziej merytorycznych, mówiło się o humorze jako chwilowym znieczuleniu serca, o dowcipie jako narzędziu walki, jako emocji dającej grupie tożsamość; o nie-trwałości satyry, o niższym społecznym prestiżu komików wobec tragicznych, o ponurości satyryków; o sprawdzonych sposobach konstruowania dowcipu, których są setki, ale najbardziej niezawodny to ten z posilgiem na skórcie od banana... Na szczęście, nie wałkowano tego tematu bez przerwy. Dzięki temu Mieczysław Prószyński, szef słynnej i ekspansywnej oficyny (wydającej także „NF” i „Fenix”),

mógł opowiedzieć o sobie jako wydawcy SF, co było o tyle wesołe, że sumarycznie na nas nie traci (dzięki któremu piśm – przez skromność zamilczę).

Ponadto Dariusz Zientalak znął się nad horrorem, który ustawia sobie negatywnych bohaterów jak chłopców do emocjonalnego bicia zamiast spróbować wyłożyć ich racje. Rafał Śliwiak w zastępstwie Wojtka Sedeńki opowiedział o nowym informacyjnym periodyku SF „Sfinks”. Robert Pieńkowski zachęcał zgromadzonych (zwłaszcza załogę „NF”), by więcej uwagi poświęcili komputerom i grom. Tadeusz A. Olszański zajął się słowiańską spuścizną mitologiczną, zaś Lech Jęczyński przyjrzał się politycznym i intelektualnym powinnościom fantastów w naszym fantastycznie zmieniającym się świecie.

Imprezę uświetniały, jeśli nie liczyć baru, projekcje znakomitych komedii Monthy'ego Pytona, autoreklamarskie wykrzykniki Dębskiego, fantastyczne i humorystyczne samoskarżenia Sapkowskiego oraz trzeźwiące i moderujące (sic!) uwagi Rafała A. Ziemiakiewicza i Marka Gumkowskiego. Prezydent fandomu, Lech Olczak, przysłuchiwał się obradom życzliwie, zaś Mirosław Kowalski (Nowa) testował kompetencje prelegentów, żądając od nich opowiadania dowcipów. Podczas uroczystego bankietu Śląkfy '93 otrzymali: FELIKS W. KRES za „Strażniczkę istnień” oraz TADEUSZ ZYSK za fantastyczny dorobek wydawnictwa Rebis. Jacek Ingłot liczył na uczciwie zapracowaną antynagrodę Złotego Meteora (za krwiożercze recenzowanie polskiej SF); dostali ją w końcu klubowicze z GKF z powodu niepoświętliwości finansowych stawek ustalonych dla gości z Zachodu. Jelenią głowę ze złoconymi rogami odebrał z godnością samotny na imprezie reprezentant Gdańska Marek Michowski. Może to i słuszne z tym meteorom, choć dziwi sytuacja, w której jeden z dwu najlepszych w Polsce klubów poplesznie uciera nosa temu drugiemu. Kolej na ruch gdańszczan – czekam nań z zainteresowaniem i... rozbawieniem.

Maciej Parowski

Pytania z sali są bardzo konkretne: „Czy mocz ma być świeży, czy odstany? Jak duże pić porcje?”

Metro pod Krakowem

Nocne spotkanie z astrologiem Michałem Kaszowskiem. Wizjoner zapowiada bliskie trzęsienie ziemi, które zniszczy pół świata, upadek korony brytyjskiej i koniec ery pieniądza. Polskę jednak, a zwłaszcza Kraków, czeka lepsza przyszłość, dzięki czakramowi i magicznym kopcom Krakusa i Wandy. Astrolog widzi fluorescencyjną smugę od Wieliczki do Bochni, zapowiada odkrycie kamienia filozoficznego i przedwiecznego miasta, leżącego pod Krakowem. „Zbudujemy tylko windy i powstanie wspaniałe metro” – wyrokuje.

Słuchacze przyjmują jego słowa w skupieniu.

Czekając na erę Wodnika

Przez trzy dni ludziom kładziono do głowy papkę z wymieszanych chaotycznie elementów kultur egzotycznych, wschodnich, systemów gnostycznych, ezoterycznych i prastarych tradycji pogańskiej Europy. Powoływano się na astronomiczny kalendarz, obwieszczający koniec ery Ryb (chrześcijaństwa), a początek ery Wodnika, mającego być czasem jednoczenia przeciwieństw, miłości i harmonii. Jak trafić na ścieżkę prawdy, wiedzą już dziś wybrani i wtajemniczeni.

Marek Kęskrawiec

SFINKS

Drugi numer tego „magazynu informacyjnego” ukazał się na początku czerwca; wiadać, że koncepcja zawartości była gotowa przed rozpoczęciem prac edytorskich. Od pierwszego numeru zostały wprowadzone stałe rubryki: Autorzy, Wydawcy, Nagrody, Fandom, Archiwum itp. Rubryk nie przybywa, wzbogaca się tylko treściowo ich zawartość. Wśród Autorów tym razem Zajdel, Sapkowski i Clarke, u Wydawców jak zwykle nowe książki (42 sztuki), zapowiedzi wydawnicze oraz polecenie konkretnych tytułów przez Wojtkę Sedeńkę i Andrzeja Sapkowskiego. W Archiwum tzw. Cyklon, czyli rzecz o cyklach – tym razem „Świat czarownic” Norton. Obok Cyklonu seria wydawnicza „Fantastyka – Przegląd” Iskier. Wśród Nagród Nebula, w Fandomie Nordcon, do tego ploteczki i sygnały, ciekawe listy popularności utworów. Zdjęcia nareszcie wyraźne, choć złośliwie zauważę, że multiskaner daje czasem gorsze efekty od zwykłego ksero. Ale

IKARIE

W marcowej „Ikarii” ogłoszenie prestiżowej Nagrody Ikarosa. Wcześniej opublikowano listę książek, które się w Czechach pojawiły w 1993 roku w dziedzinie SF, fantasy i horroru. Jest ich tym razem aż 352 (w 1992 r. 239), z tego tytułów rodzimej produkcji 43 (rok wcześniej 55). W zeszłym roku wśród tłumaczeń pojawiło się 135 tytułów SF, 55 fantasy i 107 horrorów. Z pozycji polskich tylko Sapkowski („Miecz przeznaczenia” w dwóch tomach) i Ziemiakiewicz („Skarby stolinów”). Tytułów czeskich było 43, z tego 24 SF, 13 fantasy i 6 horrorów. Wśród 12 zbiorów znalazły się 3 czeskie, 6 zagranicznych i 3 mieszane. Największym wydawnictwem jest tradycyjnie pilzneński Laser z 25 książkami. Wydawców fantastyki było w zeszłym roku aż 80! Jak na tak mały naród to chyba niezły dorobek.

Opowiadania w numerze wyszły spod pióra A. E. van Vogta, S. Baxtera, P. Murphy'ego i K. Hansena. Z czeskich pierwsza część noweli „Nahrdeľnik z Argenitu” (Naszyjnik z Argenitu), kontynuacji cyklu fantasy „Eternaal”. Dla zagorzałych Tolkienistów test na temat dzieła J.R.R.T. Grudniowa lista najlepiej sprzedawanych książek pod znakiem „Ręki Oberona” Żelazny'ego i dwóch tomów „Miecza przeznaczenia” Sapkowskiego. W galerii tym razem Chris Achilleos.

Kwietniowy numer rozpoczyna się od opowiadania Roberta Holdstocka „Thorn”, które naśladuje Roberta Silverberga (ostatnio chyba najczęściej goszczącego na łamach pisma). Obszerne artykuły poświęcono Ianowi Watsonowi. Pisarz brytyjski twierdzi, iż SF jest w pierwszym rzędzie pieśnią idei, tworzącym mit o miejscu człowieka we wszechświecie. Obok wydrukowano opowiadanie Watsona „On Cooking the First Hero in Spring”.

pokazanie w numerze jakichś 200 okładek jest niezmiernie istotne; niektórzy czytelnicy zobaczą je po raz pierwszy w życiu.

Całość robiona jest z fandomowym luzem, trudnym do zachowania w czasopiśmie zawodowym (np. podrubryka Autorów nazywa się Nova, niby taka gwiazda, poprzednio była nią Le Guin, następny będzie Aldiss). Od „Fantastyki” odróżnia „Sfinks” charakter informacyjny, chociaż i my pisaliśmy o Zajdlu, o cyklach, o seriach Czytelnika czy Iskier – ale nie byliśmy w stanie dać tyle materiału graficznego. Wojtek Sedeńko ma ambicję przy opisanu serii pokazać okładki wszystkich książek, które się w niej ukazały. Może, pisząc o jakimś autorze, dać reprodukcję jego książek wydanych w Polsce. Ma sporo zdjęć z różnych imprez, ma kontakty z autorami, większość tych z kraju to po prostu jego kumple.

Pytano mnie już po pierwszym numerze „Sfinks”, dlaczego „Fantastyka” dotąd nie robiła czegoś podobnego. Z paru powodów. Po pierwsze, częściowo jednak robiła. Po drugie, charakter miesięcznika jest inny, publicystyczny. Po trzecie – nie wszystkich to interesuje (nakład „Sfinks” – około tysiąca egzemplarzy). Po czwarte –

przykra sprawa – nie mamy dostępu do większości książek, które się ukazują na rynku (mniej więcej codziennie jedna). Wojtek Sedeńko zaś ma je wszystkie w zasięgu ręki – w swojej księgarni Verbum 2. Po piąte wreszcie, do złożenia każdego numeru „Sfinks” trzeba fanatyzmu. Nie chce mi się wierzyć, że prace redakcyjne dzieli między siebie trzech tylko ludzi. Przypomina mi to późne lata siedemdziesiąte i wczesne osiemdziesiąte, kiedy fanatyczni faniści zapominali o śnie, o ważnych sprawach życiowych, byle tylko wydać swój fanzin.

„Sfinks”, choć powstał z potrzeb czysto handlowych, wszedł na niezagospodarowane miejsce na rynku. Nazywamy go na wyrost „polskim Locusem”, licząc że z czasem doścignie pierwowzór. Co myśli o „Sfinksie 2” dusza całego przedsięwzięcia, Wojtek Sedeńko? *Jakość już lepsza, sądzę że przy trochę osiągnę poziom wcześniej założony... i podniosę poprzeczkę, pisze do mnie w liście. Ale dla otrzeźwienia proponuję zwrócić baczniejszą uwagę na poziom języka. Nie można przecież pisać w pierwszym zdaniu wstępu: Planując wygląd Sfinksu dręczę ty nas obawy.*

Marek Oramus

zwyciężył Charles Sheffield („Georgia on My Mind”), a w kategorii opowiadania Joe Haldeman („Graves” – Groby). Wszystkie wymienione utwory, prócz opowiadania Haldemana, znalazły się na finałowej liście pretendentów do nagrody Hugo 1994. Jest tam też powieść „Hiszpańscy żebracy” Nancy Kress.

Brian W. Aldiss wypowiada się na temat utopii. Twierdzi, że ten typ literatury jest w zaniku, a ostatnie bodajże dzieło tego rodzaju – „Wydzieńczeni” Ursuli Le Guin – nosiło podtytuł „Niejednoznaczna utopia”. I rzeczywiście, bo dla piszącego te słowa było jasne, że obraz społeczeństwa komunistycznego jest antyutopią, tymczasem czytelnicy zachodni odbierali je jako utopię. Utopie czytane z dzisiejszej perspektywy są według Aldissa nie tylko nudnawe, ale i zalatują faszyzmem.

Joe Haldeman opowiada o swojej panoramicznej powieści o roku 1968 i o nowych pracach fantastyczno-naukowych: powieści „The Coming” (Przyjście) o kontakcie z obcą cywilizacją oraz serii o prywatnym detektywie przyszłości z wizją przyszłego sądownictwa, policji i więziennictwa.

Lisa Mason mówi o swojej powieści „Summer of Love” (Lato miłości) sięgającej do hipisowskich lat sześćdziesiątych. Jej nowy utwór „Golden Nineties” (Złote lata dziewięćdziesiąte) jest też powieścią historyczną, a opowiada o pewnym szczególnym czasie i miejscu, jakim było San Francisco pod koniec ubiegłego wieku. Coś jest w tym nawrocie science fiction do przeszłości. Ucieczka od przyszłości?

Przez Kalifornię dociera też do nas wiadomość, że Borys Strugacki zamierza opublikować (pod pseudonimem) nową powieść. Samodzielności próbował wcześniej Arkady – z nie najlepszym skutkiem. Zobaczmy, co potrafi druga połowa braterskiej pary.

Lech Jęczyński

Tysiące ludzi z całej Polski przez trzy majowe dni oblegały Nowohuckie Centrum Kultury, gdzie odbywał się II Festiwal „Nie z tej ziemi” – krajowy zlot wróżek, szamanów, bioenergoterapeutów, magnetyzerów, chiromantów, astrologów, kabalarzy, radiestetów itp. W atmosferze imprezy dało się odczuć nie tylko przepływającą energię, ale i potężny wypływ pieniędzy z kieszeni naiwnych, którym wciskano różne pozytywne drobiazgi. Były szklane kule, talizmany anielskie i diabelskie, czujniki biopola, obrazy terapeutyczne, dyskiety komputerowe z horoskopami, generatory astralne z papieru zapewniające szczęście, a nawet kamera fotografująca (za jedyne 300 tys. zł) ludzką aurę. Imprezie towarzyszyło parę naukowych wykładów o kulturach egzotycznych i nieśmiertelności.

Wyspiański? Często z nim rozmawiam

Elżbieta Sokółowska jest plastyką, maluje obrazy odznaczające się mocą terapeutyczną. Posiada ogromną wiedzę o świecie, gdyż, jak twierdzi, przebywa na Ziemi setki lat. Pamięta, że w XVIII wieku, w jednym z poprzednich wcieleń, była bogatym mężczyzną, mieszkającą w renesansowym pałacu w Paryżu i zginęła pchnięta nożem przez nieznanego sprawcę. Ostatnia reinkarnacja była raczej trywialna – Sokółowska zaznała biedy w Bydgoszczy.

„Podróżowałam wiele po kosmosie. Byłam tam, gdzie chodzą oderwane ręce i szkielety, sly-

szalam wycia” – wyznała podczas wernisażu. „Często spotykam się z Wyspiańskim na wieży Eiffla, rozmawiam z nim. Rozmawiam też z energią, która materializuje się u mnie w pokoju”.

Pani Sokółowska twierdzi, że potrafi wydłubać ludziom palce. W tym celu każe położyć ręce

Debiliada

na udach, skupić się i potem złożyć równo dłoń. „Mój palec wydłużył się o dwa milimetry! A mój o pół centymetra!” – krzyczą ludzie.

Mocz pomoże ci wyzdrowieć

Bogusław Komorowski przeszedł ciężki zawał w 1984 roku. Lekarze nie dawali mu szans na długie życie. Pomógł mu pewien Duńczyk proponując osobliwą kurację – post urynowy. Bogusław przez 49 dni pił tylko wodę i własny mocz. Choroba ustąpiła, zgęstniały mu włosy, postanowił więc pomagać innym. Dziś ma na koncie 300 wyleczeń.

„Piję lub wciągając urynę wchłaniamy nie wykorzystane przez organizm mikroelementy” – zapewnia. „Kiedyś byłem w domu, w którym gospodyni wylała sobie na brzuch rozgrzany tłuszcz. Cała rodzina pomogła i dzięki moczu nie doszło do powstania bąbli. Mocz pomaga na wiele chorób, nawet na parazytozę – wystarczy dziesięciokrotnie przeplukać jamę ustną i nawet ruszające się zęby stabilizują się”.

Spojrzenie, oto nadchodzi. Idzie miękkim, ostrzegawczym krokiem, świadom swej oszałamiającej i groźnej urody, elegancji, gracji i wdzięku. Tak musiał prezentować się William H. Bonney, Billy the Kid, gdy szedł z uśmiechem uliczką miasteczka Lincoln. Tak musiał wyglądać Doc Holiday idący w stronę O.K. Corral. Ucieleśnione, mordercze piękno, którym przyroda potrafi obdarzać, w tym stworzeniu osiągnęło szczyt. Pistollero zwierzęcego świata – tak nazywał go Stephen King.

Popatrzcie. Przyszedł. Siada, mruży oczy. To forma przyjaznego powitania. Bardziej wylewne, entuzjastyczne gesty są poniżej jego godności. Odczekawszy chwilę, wskakuje na kolana. Zrób dla mnie miejsce, mówi. Dla mnie i dla mojej magii. Posiedźmy sobie razem na tym fotelu, pomruczymy o tym i o owym. Posłuchamy tego, czego oprócz nas nikt nie słyszy. Zapatrzmy się w to, czego oprócz nas nikt nie jest zdolny dostrzec.

Kot.
Był czczony w Egipcie jako wcielenie Ra, atrybut Izdy, jako święte zwierzę Bastet. W Grecji – jako atrybut Artemidy i Hekate. W legendach nordyckich związany był z Freją. Później, w wiekach średnich, prześladowano go. Cóż, za niezależność trzeba niekiedy drogo płacić. Oczywiście, zawsze można się jej wyrzec, by ratować skórę. Galileusz na to poszedł, kot nie. Zachował niezawisłość. Nie ułękł się tortur i stosu. A gdy w zamian za tępienie gryzoni w spichrzach przyrzekano mu łaskę i ochronę Awinionu, pokazał papieżowi zadarty ogon. Nie był kolaborantem.

Nigdy się nie ugiął, nie dał oszukać, przekabacić, opanować. Oswoić kota? Kto miał to uczynić? Człowiek? Śmiechu warte. Kot jest istotą wyżej stojącą w hierarchii natury. Azaliż ktokolwiek przy zdrowych zmysłach ośmieliłby się twierdzić, że to głupi młynarczyk miał kota w Butach? Dla każdego, kto zna bajkę, jasne jest, że było dokładnie odwrotnie.

Kot współżyje z człowiekiem wedle własnych reguł i zasad, które *homo sapiens* zmuszony był zaakceptować jeszcze

Istnieje święty i tajemny pakt, zawarty przez koty i pisarzy już przed wiekami, w czasach, które gubią się w niepamięci.

Tad Williams,
recenzja antologii „Catfantastic”

Nasz sposób na życie to gra. My gramy, bawimy się, przekomarzamy, drwimy. A robimy to tak, jak nam się podoba, bo mierzy nas sama myśl o tym, by starać się przypodobać innym. Gra to integralny składnik naszych osobowości. Ten, kto chciałby nawiązać z nami kontakt czy porozumieć się, musi to zaakceptować. Musi zrozumieć, że udział w naszej grze to warunek, bez którego spełnienia porozumienie jest wykluczone.

Kot Dirk (Terry Brooks, „The Black Unicorn”)

Kocia magia

w prehistorii, kiedy to Pierwszy Kot, Ten, Który Chadzał Własnymi Drogami, zdecydował się obdarzyć człowieka zaszczętem i pozwolić mu zamieszkać w tej samej jaskini. W czasie tego wspólnego bytowania człowiek nie raz i nie dwa usiłował podporządkować sobie kota, narzucić mu autorytet. Z marnym efektem. Kot nie tylko nie dał sobie narzucić autorytetu, ale nie zgodził się nawet na równorzędne partnerstwo. I tak to trwało – do chwili, gdy człowiek wziął na kolana płaski złomek bazaltu i po długim namyśle, spocząny jak diabeł, wydrapał na nim kością: „Pewnego razu poszła baba na mamuty...”

I w tym momencie Kot zaakceptował Pisarza. I polubił go. Z wzajemnością. Balzac, Hugo, Mallarmé, Dumas syn, Walter Scott, Gautier, Zola, Twain, Elliot, Shaw, Capek, Hemingway. To tylko kilka przykładów ludzi pióra, którzy zaofiarowali kotom swą przyjaźń. I zostali zaakceptowani. Ludzi, którzy udowodnili kotom, że nie wszyscy *homo sapiens* godni są politowania. Że są wśród ludzkiego plemienia

zasopisma, ale także i w książkach. I choć rzeczywistość niektórych ze starszych już nie żyją, a poniekąd zmienili *genre*, to przecież ich książki wówczas wydane istnieją. W wielu bibliotekach publicznych kompletnie zacytowane. W wielu już w ogóle nie istniejące, a i w księgarniach tych nowych, bez zaplecza magazynowego – nieobecne. Nie ma ich! Bo ani wydawcy, ani księgarze nie chcą ich mieć! A w serii, nawet w serii litera-

Czy starzy milczą?

tury polskiej, polskiej fantastyki, planowanej w naszej redakcji nie projektuje się wydawania czy wznawiania od czasu do czasu prawdziwej polskiej klasyki fantastycznej.

Jest to sprawa zupełnie niezrozumiała. Co odgrywa rolę zasadniczą w niewznowianiu od czasu do czasu Zajdla, Sawaszkiewicza, Borunia czy innej podpisanej? Czy to nie jakiś zabobonny strach przed dawnością albo niezbyt mądra „walka pokoleń” polegająca na tym, że młodszy „dokładający” starszym? A może, może – gorzkie niesie te słowa – może to zazdrość niszczących pokoleniową więź; z tej zawiści popelnia się wprost zbrodnię na starszych pokoleniach twórców? Tak zresztą dzieje się w wielu wypadkach i w „normalnym” nurcie literackim.

Ciągłe jeszcze z niechęcią wydawcy sięgają po Iwaszkiewicza, zaś młodzi odrzucają książki nawet romantyków tej miary co Mickiewicz i kwestionują wartości takich arcydzieł jak „Dziady” czy „Pan Tadeusz”.

i tacy, którzy mają też pozytywne, kocie cechy: wrażliwość, intelekt, zamilowanie do nocnej aktywności, indywidualność i niechęć do stada. Zdolność widzenia tego, co ukryte. I rzecz najważniejsza – nieobliczalność.

Kota i piszącego fantastykę łączy jeszcze więcej. I nie dziwota. Piękno tego stworzenia, jego legendarna boskość i bliskość bogom, jego tajemnicze moce i związki z magią zawsze fascynowały fantastów. Później dostrzeżono zagadkowość, potwierdzoną naukowo: zmysły i budowę, niespotykane u innych gatunków organy i cechy. Tajemnicze, do dziś nie wyjaśnione naukowo zwyczaje i zachowania, całkowicie zagadkowe związki z promieniowaniem wodnym... Kot dał fantantom nie tylko przyjaźń. Dał im znacznie więcej.

Najślawniejszym fantastycznym kotem literatury fantastycznej był i będzie Czarny Kot Edgara Allana Poe, ale tuż za nim plasuje się uśmiechnięty demonicznie Kot z Cheshire, bulhakowski Behemot i Koty z Ultharu Lovecrafta. A później kot zapiął pasy i ruszył w otlanie Kosmosu. Był nie tylko towarzyszem na pokładzie – jak ten czarny, chudy i bezimienny z „Terminusa” czy Furia u George’a R. R. Martina. Jako „zmysł” bojowych rakiet ratował ludzkość przed kosmicznymi agresorami u Cordwainera Smitha. A obok rozmaitych Bug Eyed Monsters w galerii istot pozaziemskich pojawił się Koto-Alien: sympatyczny i wesoły u Sturgeona, piękny, groźny i buntowniczy u Leibera, straszliwy u Van Vogta. Mało tego – powstała antologia SF, poświęcona w całości kotom: „Catfantastic”, wydana przez DAW Books, na którą złożyły się opowiadania takich znanych i zapamiętanych „kociarzy” jak Andre Norton, Jayge Carr, Mercedes Lackey, Marylois Dunn, Elizabeth H. Boyer i Ardath Mayhar. Wiadomo, że wielkim miłośnikami kotów są też Anne McCaffrey i Connie Willis, a z mniej znanych – Clare Bell, Wilanne Schneider Belden i Donna Farley.

A koty w fantastyce? Ha, tu jest ich prawdziwe królestwo, tu mają swój wielki udział, tu mają stałą, niezagrożoną pozy-

Średniactwo literackie natomiast – trzeba przyznać, że nowe, to jedno nie ulega wątpliwości – zawała półki księgarskie. Na nich już nie ma miejsca na wielkość, zwłaszcza rodzinne. O tempora, o mores! Zeromskiemu zarzuca się, że kompletnie nieczytelny, tymczasem jego „Przeziębłość” na małym ekranie obejrzałem ze smakiem. A dramat o Szeli? Od ćwierćwiecza nigdzie niewidoczny. Dokonuje się więc, jak widać, rodzaj zbrodni na literaturze, na sztuce, która nie znośi próżni. Jestem pewny, że te umyślne przerwy między poszczególnymi pokoleniami, budowane przez maniakalich zawistników, gorzej szkodzą wszelkim gatunkom pisarstwa niż zgorzkniała, udająca „czytaczki” i koneserów książki plejada zubożałych krytyków. Cóż w tej sytuacji, jaka się wytworzyła, pewnie zamiast szynki czy chleba z masłem będą ziemię gryzli.

Orbitujemy i patrzymy uważnie na ten padół zawiści.

Adam Hollanek

Dziwaczysz, Adamie! Ciężko wszystkim autorom (nie tylko starszym i nie tylko w Polsce), a dopatrywanie się w tym efekcie pozamerytorycznej gry zawistników – uważam za diagnozę niemądrą i nieszlachetną. Twoja generacja i Ty osobście mieliście szczęście oglądać wszystkie swe książki wydrukowane (i wznawiane) w nakładach kilkudziesięciu – a nawet stu tysięcy. Na to dzisiaj, najbardziej nawet utalentowane szczeniaki, szansę nie mają.

Najpierw trzeba wydać (i w piśmie i w książkach) to, co jako fantastyczna reakcja na szok zmiany AD 1989 wypisywali utalentowani młodzieńkowie – Dukaj, Cyran, Ingłot, Ziemkie-

cje, one, potomkowie świętych kotów z Bubastis i czarnych kotów czarownic. Tak, w fantastyce mamy całą galerię pięknie opisanych kotów. Jest tu Kot Moriah, jedna z Zapomnianych Bestii z Eld Patricii McKillip. Są Koty Bojowe z Lankmaru Leibera, jest męzny i wierny Kot Rumor z „Shannary” Terry Brooks’a i tegoż autora zagadkowy Kot Dirk („The Black Unicorn”). Jest Kotka Mmr u Davida Eddingsa („Ellenium”). U tegoż autora występuje też bezimienna kotka, ulubienica Imperatora Zakatha z Mallorai. Sceny, w których polityczne kłopoty Zakatha przeplatane są staraniami o znalezienie „dobrych domów i dobrych rąk” dla rozhukanego przychówku ukochanej kocicy, należą do moich ulubionych w światowej fantastyce.

A wśród piszących fantastykę – co większe nazwisko, to stuprocentowy *cat lover*: oprócz wymienionych powyżej Leibera, Norton, McKillip, Eddingsa, Brooks’a i Lackey wymienić trzeba Barbare Hambly, Marion Zimmer Bradley, Jacka Vance’a, Charlesa de Linta, Margaret Weis, Emmę Bull, Willa Shetterly’ego i Ellen Kushner. Wielkim przyjacielem kotów jest również Tad Williams, autor niedawno przedstawiony polskiemu czytelnikowi w trylogii fantastyki zatytułowanej „Memory, Sorrow and Thorn”. Warto wiedzieć, że Tad Williams napisał również powieść poświęconą w całości kotom – śliczną rzecz pod tytułem „Tailchaser’s Song”.

A na naszym, domowym poletku fantastyki, a zwłaszcza fantastyki? Kogo z naszych autorów obdarzyły przyjaźnią drapieżne kocury i boskie, księżycowe kotki Izdy? Z pewnością już się domyśliście. I nie mylicie się. Mirka Sedzikowska, Feliks W. Kres, Tomek Kołodziejczak, Darek Zientalak Jr. – to ci, których znam. O kocie sympatie mam prawo podejrzewać Artura Szrejtera i Tadeusza Oszubskiego. O sobie nie wspominam przez właściwą mi skromność.

Są też inni. Kotów nie lubią, a fantastykę piszą.

Szkoda.

Andrzej Sapkowski

wicz, Żerdziński... – a potem ewentualnie wznawiać to, co w reakcji na inną zmianę i inne szoki popelnili przed laty znani już publiczności Fiałkowski, Hollanek, Boruń, Lem i inni. Tak sądzę; inny redaktor może sądzić i postępować odmiennie, wcale mnie to nie zmartwi. Natomiast nowe teksty, dlaczego nie, choć jak wiesz, Lem po wielokroć nam odmawiał (jeszcze za twojej kadencji), Zajdel nie żyje, Sawaszkiewicz poszedł w pomyślność, zaś co się tyczy pozostałych weteranów? Proszę, napiszcie mi kawalek lepszy od ostatniego Huberatha, Sapkowskiego, Żerdzińskiego, Białoleckiej – obiecuję druk bez kolejk. To znaczy przy Fiałkowskim, nawet najlepszym, przynajmniej – ręka może mi zdradzić. Do dziś pamiętam, że jego „Adam, jeden z nas”, książeczka średnia, kunktatorska, banalna, ukazała się najpierw we Francji, nie w Polsce, z nadrukiem „Bestseller polskiej SF”, co było z definicji reklamowym kłamstwem. Ten pseudobestseller zaktualizowałem, francuski rynek na polską fantastykę. Gdybyśmy spróbowali zacząć tam od „Karlgoro godzina 18.00” Baranieckiego, bądź w ogóle od całego jego zbioru „Głowa Kasandry”, który był sensacją połowy lat osiemdziesiątych, zatkany najpewniej by nie nastąpiło.

Jeśli będziesz dalej naciskał, Adamie, mogę sobie nieścisłości przypomnieć kilka innych podobnie dwuznacznych przypadków. Dlatego zamykam tę kwestię, powtarzając z naciskiem i całym należnym szacunkiem – dziwaczysz! Aha – Oramus jednak pisze prozę SF i ma już na nią wydawcę (polskiego i bez białomutnego nadruku); ja rzeczywiście skończyłem chyba na krytyce, choć wolałbym niczego nie przesądzać.

Maciej Parowski

Krakowskie wydawnictwo Signum zafundowało nam „Potęgę mitu” – wywiad rzekę z Josephem Campbellem. Autor „Bohatera o tysiącu twarzy” i „Masek Boga”, największy bodaj autorytet w swojej dziedzinie, który poświęcił życie zbieraniu i porównywaniu mitów i religii ludów całego świata, podsumowuje w tej książce swoją wiedzę, spisuje niejako testament swojego życia na nauce.

Jaka jest najważniejsza prawda, którą wynosi ten stary człowiek ze swojego kontaktu ze światem duchowym wielu różnych społeczeństw? Chyba ta, że mity i stojąca za nimi religia są nie tylko niezbędnym, ale i bodaj najważniejszym elementem ładu społecznego i ładu moralnego jednostki. Mówi Campbell: *Mity w zasadzie pełnią cztery funkcje. Pierwsza jest mistyczna (...)* Mit otwiera świat na wymiar tajemnicy, na zrozumienie, że ta tajemnica leży u podłoża wszystkich form. (...) *Jeżeli tracisz ten wymiar, tracisz mitologię... Druga funkcja jest wymiarem kosmologicznym, tym, z którym ma do czynienia nauka; ukazuje ci kształt wszechświata, ale w taki sposób, że znów dostrzegasz w nim tajemnicę (...)* Trzecia funkcja jest socjologiczną, polega na podtrzymaniu i uzasadnieniu pewnego porządku społecznego (...) *Jest jeszcze czwarta funkcja mitu, pedagogiczna: w jaki spo-*

Świadomość określa byt

sób żyć po ludzku w każdych okolicznościach. Mity mogą nas tego nauczyć.

Przypomina się Grigorij Schwarz, współczesny czarownik mieszkający w Warszawie. Postrzega on chorobę jako dysonans w organizmie, leczenie zaś jako przywrócenie harmonii, skierowanie wszystkich wektorów organizmu w jednym kierunku. Można to osiągnąć metodą oddziaływania psychicznego, chemicznego, można harmonizować muzyką, zapachami, kolorami. Jeżeli przemieść to na życie społeczne, to religia, mit, wspólny system wartości, wspólny kanon estetyczny odgrywają rolę harmonizującą. *Katedra, zamek, chata pracują w tym samym polu symbolicznym* – mówi Campbell. Bez tego pola wektory rozlażą się we wszystkie strony, mamy rozstrój organizmu społecznego, czyli chaos.

Trudno nie pomyśleć tutaj o Polsce. Oto w wieku XIX elity nasze (wyrósł przecież pod zaborami) potrafiły wytworzyć mity i bohaterów, które kształtowały świadomość wielu pokoleń Polaków. „Pan Tadeusz” i Trylogia, Grottger, Samosierra, Kościuszkowski składający przysięgę na rynku w Krakowie, książkę Józefa skaczącego do Elstery, to były książki i obrazy obecne wszędzie. Postacie literackie i postacie historyczne, ale zmitologizowane, zastygłe w najwznioślejszym momencie swojego życia. Ci herosi niewątpliwie dodawali siły narodowi i w wojnie 1918-1920 roku, i potem w drugiej wojnie światowej, prowadząc do walki tysiące swoich naśladowców. Już przed wojną Boy Zeleniński, ze swoim programem „odbrązowienia” zaczął dziobać fundament świadomości narodowej, po wojnie kontynuował jego pracę komunizm. Co robi naród pozbawiony swoich bohaterów? Uznany autorytet w kwestii niszczenia narodów, Adolf Hitler, mówił: *Odbierzcie narodowi pamiętki jego przeszłości, a w drugim pokoleniu przestanie być narodem*. Nie darmo podczas wojny na śmierć i życie okupant niemiecki znajdował czas i środki na niszczenie pomników wielkich Polaków. Też „odbrązawiał”, tylko w wymiarze materialnym!

Niezwykle przekonująco mówi Campbell o roli obrządku, rytuału, sakramentu. Małżeństwo to powtórne zjednoczenie rozdzie-

lonej dwójni. I dalej: *Gdy człowiek poświęca coś dla małżeństwa, nie robi tego dla partnera, ale dla zachowania jedności związku*. Traktowanie małżeństwa jako romansu, w kategoriach erotyki bez mistyki, jest dla Campbella (i Oramusa – przyp. MO) świadectwem upadku. Podobnie z zanikiem rytuału przejścia z wieku dziecięcego do męskiego. Campbell wspomina o przejściu w czasach jego młodości z krótkich spodenek w długie. Młody chłopak starał się naśladować dorosłych, nie mógł się doczekać, kiedy zostanie przyjęty do społeczności dorosłych. Dziś wśród narodów cywilizowanych tylko naród żydowski zachował obrządek przejścia – uroczystość Bar Micwa. U nas zaginęły wszystkie te postrzyżyny (przejście ze świata kobiet do świata mężczyzn), oczepiny (przejście roli kobiety-matki), inne zaś, takie jak otrzęsiny, zakończenie okresu rekrutkiego czy pasowanie na oficera zatraciły swój wymiar sakramentalny.

Nawiasem mówiąc takie pasowanie na wojownika, myśliwego czy rzemieślnika byłoby poprzedzone obowiązkowym okresem cierpienia i poniżenia, więc instytucja „kotów” w wojsku jest stara jak świat. Społeczeństwo bez rytuału przejścia do społeczeństwa pomieszanych ról, skonfundowane. Przykładem choćby starzy gwiazdorzy rocka zastępli w rolach nastolatków i klienci salonów

kosmetycznych, nakładający sobie maski osób niedojrzałych.

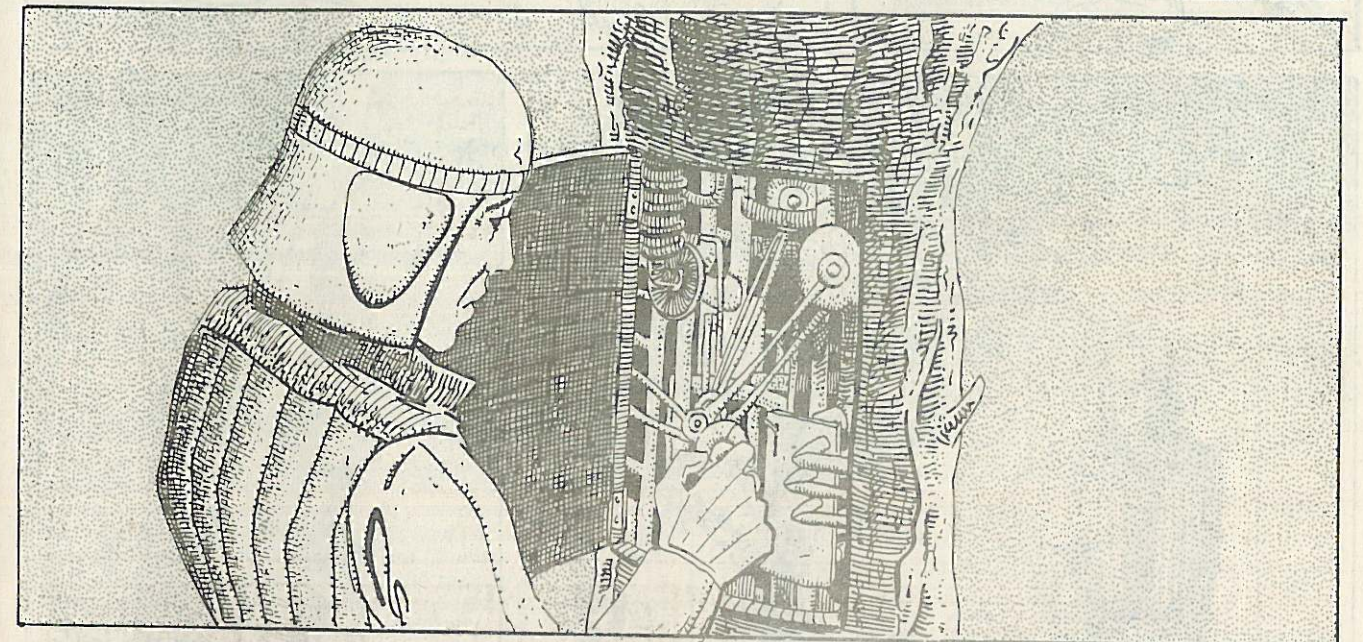
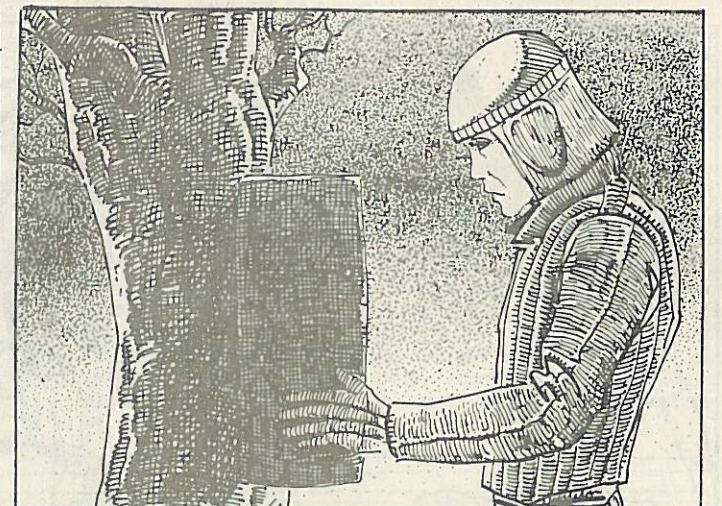
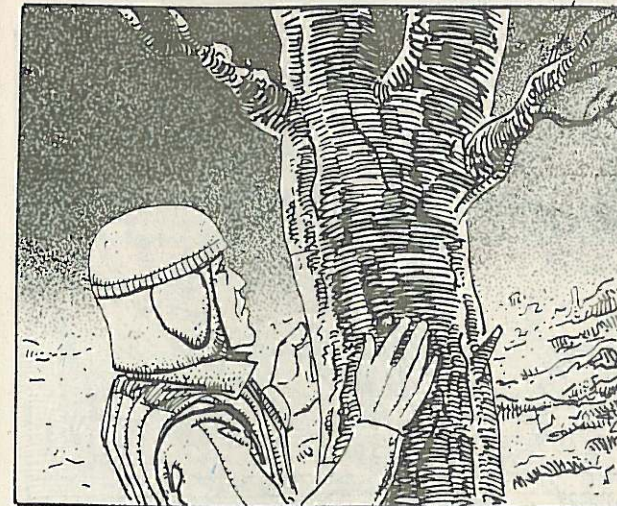
Ciekawe jest to, co Campbell mówi o strojach. *Kiedy sędzia wchodzi do sali i wszyscy powstają, to przecież nie na widok tego właśnie faceta, tylko togi, która symbolizuje rolę, jaką za chwilę zacznie on pełnić*. Wszyscy wiemy o symbolicznej roli mundurów i jego oddziaływaniu na pleć piękną, czy o roli stroju osoby duchowej. W tym świetle pomysły rezygnacji z sutanny u księży oznaczają nie tylko osłabienie Kościoła, ale i społeczeństwa jako całości.

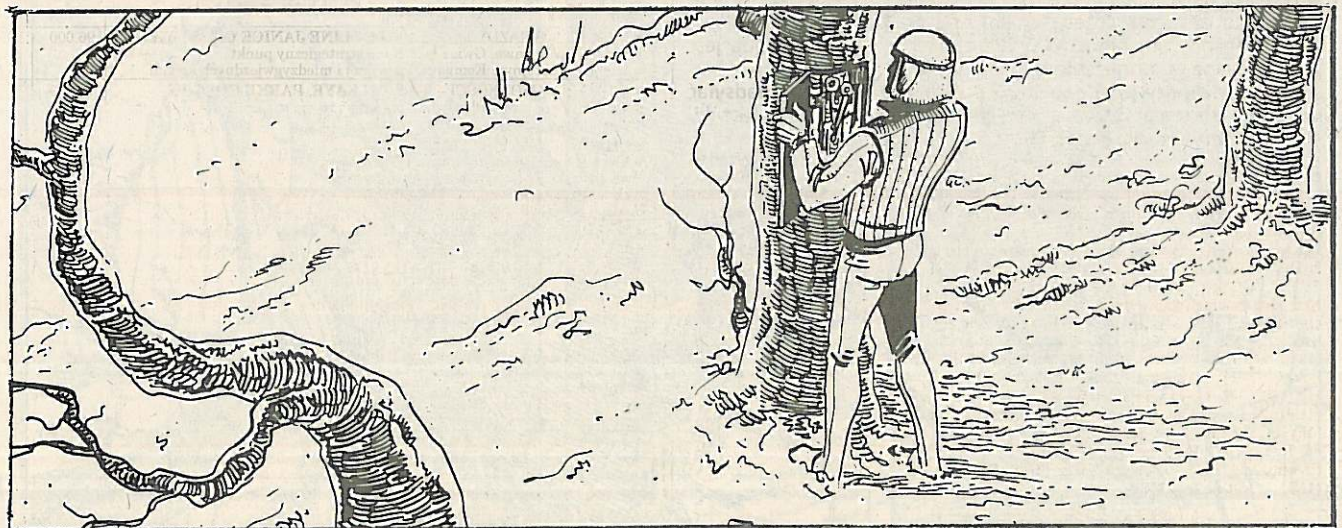
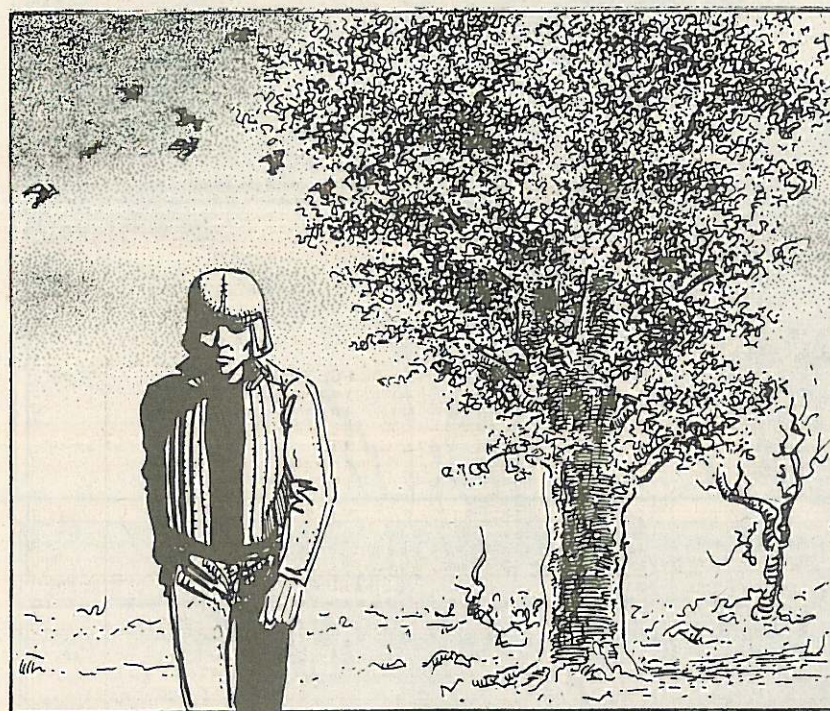
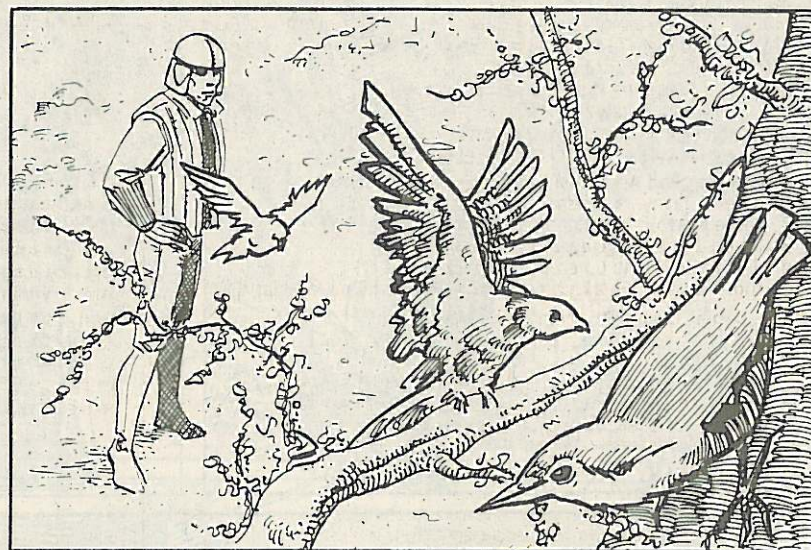
To rozumienie roli religii i opartej na niej mitologii nie oznacza, że Campbell sam jest wyznawcą jakiegś religii. Wprawdzie, jak twierdzi, powołując się na swoich studentów, studiowanie innych religii i znajdowanie podobieństw między nimi nie musi prowadzić do osłabienia wiary, ale sam Campbell odszedł od chrześcijaństwa, zabrnął w synkretyzm i gnozę, a nawet fascynację masonerią.

Obserwując upadek pierwiastka religijnego i mistycznego we współczesnej cywilizacji Campbell przewiduje koniec pewnego cyklu historycznego (jego rozmówca nazywa to życiem między historiami). Nowa historia musi oznaczać Nowe Średniowiecze – cywilizację zakorzenioną w tym, co odwieczne i mistyczne. Campbell nie przewiduje odrodzenia starych religii – katolicyzmu czy islamu. Sądzi on, że zrodzi się nowy mit, który będzie mówił o tym, o czym mówią wszystkie mity, *tylko że społeczność, o jakiej będzie on mówił, jest społecznością globalną. Dopóki to nie nastąpi, nie będziemy mieli nic*. Otóż Campbell jako futurolog przyjmuje tutaj milczącą dwa wątpliwe założenia: po pierwsze, że religia Chrystusowa nie jest religią uniwersalną, po drugie, że proces globalizacji nie ulegnie odwróceniu. A przecież sam zauważył, że pewne rytmy i obrzędy odradzają się na poziomie gangów młodzieżowych. Może więc nowa historia będzie się kształtować na tym poziomie, a na byłych ziemiach polskich powstana księstwa Legii i Lecha?

Lech Jęczyński

Potęga mitu. Rozmowy Billa Moyersa z Josephem Campbellem. Tłum. Ireneusz Kania. Signum 1994.





LISTA BESTSELLERÓW • CZERWIEC 1994

A na naszej liście już wakacje. Dwóch z pięciu naszych stałych kontrahentów udało się na urlopy, pozostali narzekają na stagnację w handlu książkami. Księgarnia „U Izy” radzi sobie oferując starsze książki. W tej chwili, jeśli jakiś wydawca sprzedaje nakład pięciotysięczny, skłonny jest mówić o sukcesie. Stanisław Lem, do którego zadzwoniłem, podaje, że jego książki bardzo dobrze idą w Niemczech i w Rosji (ale Rosjanie nie płacą – ot, drobniutki), podczas gdy w Polsce, kraju języka jego powieści, nie chce się po nie sięgać psu z kulawą nogą. Kto z Polaków ma szansę na sukces wydawniczy, jeśli „Człowieka z Marsa” Lema sprzedano zaledwie 3 tysiące? W tej sytuacji za odważną należy uznać decyzję jednego z wydawców, by z okazji 50-lecia twórczości Lema wydać całą jego twórczość w twardych okładkach.

Księgarnia „Pod Arkadami”, Myślenice, Piotra Skargi 1
1. Roger Zelazny: *Ja, nieśmiertelny* (Zysk i S-ka)
2. Andre Norton: *Tkaczka pieśni* (Amber)
3. Robert Jordan: *Oko świata 1/2* (Zysk i S-ka)
4. Clifford D. Simak: *Cmentarna planeta* (Amber)
5. Andre Norton: *Galaktyczne pustkowia* (Wyd. Poznańskie)

Księgarnia „Oramus”, Warszawa, Młynarska 9
1. Harry Harrison: *Galaktyczni zwiadowcy* (Zysk i S-ka)
2. Robert Jordan: *Oko świata 1/2* (Zysk i S-ka)
3. Andre Norton: *Galaktyczne pustkowia* (Wyd. Poznańskie)
4. Harry Harrison: *Narodziny Stalowego Szczura* (Amber)
5. Michael S. Rohan: *W pogoni za porankiem* (Amber)

*Nie jestem właścicielem ani udziałowcem tej księgarni – Marek Oramus.
Księgarnia „U Izy”, Warszawa, Wilcza 71
1. Robert Jordan: *Oko świata 1/2* (Zysk i S-ka)
2. Harry Harrison: *Stalowy Szczur / Narodziny Stalowego Szczura* (Amber)
3. Jonathan Carroll: *Głos naszego cienia* (Rebis)
4. Harry Harrison: *Galaktyczni zwiadowcy* (Zysk i S-ka)
5. Margaret Weis, Tracy Hickman: *Smoki zimowej nocy / Smoki jesiennej zimy* (Zysk i S-ka)
6. Arkadij i Borys Strugaczi: *Piknik na skraju drogi* (SR)

Dział Handlowy „Amberu”, Warszawa, Jana Kazimierza 31/33
1. Harry Harrison: *Stalowy Szczur / Narodziny Stalowego Szczura*
2. Michael Moorcock: *Gloriana*
3. Andre Norton: *Tkaczka pieśni*
4. James Blish: *Będą im świecić gwiazdy*
5. Michael S. Rohan: *W pogoni za porankiem*

Rekomendujemy: Blish: *Będą im świecić gwiazdy*; Strugaczi: *Piknik na skraju drogi*; Zelazny: *Ja, nieśmiertelny*; Weis, Hickman: *Smoki zimowej nocy*.

(MO)

NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA 1993

Nagroda im. Janusza A. Zajdla jest przyznawana corocznie przez miłośników SF autorom najlepszych polskich utworów w dziedzinie fantastyki w dwóch kategoriach: powieści i opowiadania. Decyduje głosowanie wszystkich uczestników Polconu. Poniższa lista przypomnień oprócz powieści zawiera nazwiska autorów wszystkich utworów literackich, wydanych po raz pierwszy w roku kalendarzowym 1993. W nawiasach podano liczbę opowiadań opublikowanych w odpowiednich periodykach, np. (3NF, 2F, 1V, 5MiM, 7K) oznacza, że autor opublikował trzy opowiadania w „Nowej Fantastyce”, dwa w „Fenixie”, jedno w „Voyagerze”, 5 w „Magii i Mieczu” i siedem w książce (zbiorku opowiadań). Każdy czytelnik „NF” może wybrać od jednego do trzech utworów w jednej i drugiej kategorii. Na podstawie zgłoszeń Komitet Organizacyjny Polconu ustali maksymalnie po pięć tytułów, które otrzymają największą liczbę głosów. Dopiero spośród tych nominowanych utworów uczestnicy Polconu dokonają wyboru laureatów Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 1993. Nagroda jest przyznawana w formie statuetki i dyplomu.

Listy z propozycjami nominacji do Nagrody prosimy nadsyłać do końca sierpnia 1994 r. pod adresem: Śląski Klub Fantastyki, 40-956 Katowice, skr. poczt. 502.

Powieści: Feliks W. Kres – „Straznicza istnieć” (Przedświt), Konrad T. Lewandowski – „Rozanooka” (Aurora), Tadeusz Osuński – „Mesjasz” (Ceglarski), Władysław Pasikowski – „Ja, Gelerth” (Zebra), Mirosława Sedzikowska – „Czarodziej mieszkał za rogiem” (Marszałek), Jan Witold Suliga – „Miasto twarzy” (Czytelnik).

Opowiadania: E. Białolecka (2F), J. Bogucki (1F), I. Cypriak (1NF), J. Cyran (1NF), E. Debski (2F, 1NF, 1V), C. Domarus (1NF), M. Drogosz (1NF), A. Drzewiński (1F, 1V), O. Dudek (1F), J. Dukaj (1F, 1V), P. Górski (1NF, 1F), J. Grundkowski (1F), M.S. Huberath (1NF), J. Inglot (1NF, 2F), L. Janion (2NF), G. Janusz (4NF), K. Kochański (1F), T. Kolodziejczak (1MiM), M. Kondas (1V), M.D. Kowalska (1F), F.W. Kres (1V, 2F), J. Komuda (1V), P.W. Lech (10K), K.T. Lewandowski (1NF), J. Lipka (1NF), M. Łukaszewicz (1NF), M. Michalska (1V), M. Nabialek (1NF), A. Napierkowski (1NF), Ł. Nowicki (1NF), J. Nowosad (1F, 1V), M. Oramus (1V, 1NF), R. Pawlak (1NF, 1F), M. Pakiński (1NF), B. Pietras (1NF), E. Popik (1F, 1NF), S. Prochocci (1NF), D. Romanowski (1F), A. Sapkowski (3K, 1F), B. Sas (1NF), M. Sedzikowska (1F), J. Sobota (2NF), Sohej (2V, 1F), A. C. Szejter (1F, 1NF), M. Szymula (1NF), M. Trela (1NF), W. Trzcinka (1F), M. Urban (1NF), K. Urbanowicz (1V), S. Walencykowski (1F), R.A. Ziemiakiewicz (1NF), D. Zientalak jr (1NF, 1F), M. Żerdziński (1NF), I. Żółtowska (1NF).

Oferta Księgarni Wysyłkowej „NS”

Księgarnia Wysyłkowa „NS”
00-979 Warszawa 34
skr. p. 40
tel./fax (02) 642-84-10

SZANOWNI PAŃSTWO!

Zapraszamy do korzystania z usług Księgarni Wysyłkowej „NS”. Naszą ofertę możecie Państwo traktować jako formularz zamówienia, wpisując w rubryce „Z” zamówioną liczbę egzemplarzy danego tytułu i wypełniając czytelnie zamieszczony kupon. Wybrane pozycje otrzymacie Państwo za zaliczeniem pocztowym. Ceny uwzględniają koszt nadania przesyłki, koszty pobrania ponosi odbiorca. Aktualne pozostają również propozycje z numeru czerwcowego i lipcowego. Pełną ofertę Księgarni „NS” możecie Państwo otrzymać przesyłając pod naszym adresem kopertę ze znaczkiem i adresem zwrotnym.

Pozycja	Cena (w zł.)	Z (egz.)
SCIENCE FICTION		
* NIEDOSKONALI – ARKADIJ I BORYS STRUGACZY Wyd. Alfa, Warszawa. Z anonimowego mieszkania w wielkim mieście DEMIURG po raz kolejny usiłuje znaleźć swiatu lekarza.	58.000	
* PIKNIK NA SKRAJU DROGI – ARKADIJ I BORYS STRUGACZY Wyd. S. R. Warszawa. „To nie tylko literatura, to nie tylko fantastyka – to początek kultury”	65.000	
* POZA NAJDAŁSZA GWIAZDA – EDGAR RICE BURROUGHS Wyd. Alfa, Warszawa. Am John Carter na Marsie, ani Tarzan w egzotycznych krajach nie doświadczali bardziej niezwykłych przygód niż człowiek, który uzyskał miano Tangora. (Seria Srebrny Glob – klasyka SF)	47.000	
* PUŁAPKA CZASU – HENRY KUTTNER Wyd. Alfa, Warszawa. Ciśnięty przez rozpętaną energię atomową w głąb czasu Mason miał tylko jedną szansę ocalenia. (Seria Srebrny Glob – klasyka SF)	50.000	
* LEGION UMARŁYCH – JACK WILLIAMSON Wyd. Alfa, Warszawa. Bogactwo i szczęście ludzkiej cywilizacji w przyszłości zmienia się w Apokalipsę. (Seria Srebrny Glob – klasyka SF)	55.000	
* ŁAD ZAPOMNIANY PRZEZ CZAS – EDGAR RICE BURROUGHS Wyd. Alfa, Warszawa. Warta akcja przenosi czytelnika w pierwotne dzungle wyspy Caspak, gdzie współcześni ludzie muszą stawić czoło dinozaurom i okrutnym ludzkim bestiom z zanikających epok. (Seria Srebrny Glob – klasyka SF)	64.000	
* POKARM BOGÓW – HERBERT GEORGE WELLS Wyd. Alfa, Warszawa. Dwaj biondzy odkrywają substancję, która sprawia, że tempo wzrostu żywych organizmów staje się nieprzerwane. (Seria Srebrny Glob – klasyka SF)	72.000	
* LABIRYNT ŚMIERCI – PHILIP K. DICK Wyd. Alfa, Warszawa. Na planecie Delmak – O z polecenia władz wojskowych Ziemi gromadzi się grupa osób ściągających z najodleglejszych zakątków Kosmosu.	39.000	
* NASI PRZYJACIELE Z FROLIA 8 – PHILIP K. DICK Wyd. Alfa, Warszawa. W XXII stuleciu Ziemia znajduje się pod całkowitą kontrolą nowych, genetycznie zmodyfikowanych ludzi, którzy zwykli traktować jak podrzędny gatunek.	48.000	
* URODZENIE POD MARSEM – JOHN BRUNNER Wyd. Alfa, Warszawa. Ray Mallin po powrocie z gwiazd stwierdza, że jego rodzina planeta – Mars – popadła w przerzający rozkład i apatie.	34.000	
* ŁOWCY Z CZERWONEGO KSIĘŻYCA – MARION Z. BRADLEY Wyd. Alfa, Warszawa. Reguły polowania były pozornie sprawiedliwe, a naprawdę okrutne i przewrotne. „Zwierzyzna” to istoty rozumne z odległych planet.	56.000	
* PIĘSN KRWI – GREG BEAR Wyd. Alfa, Warszawa. Vergil Ulam, genialny odkrywca, opracował myślenie komórki ludzkiego organizmu.	44.000	
* LUDZIE Z GWIAZDY PELLA – CAROLINE JANICE CHERRYH Wyd. Alfa, Warszawa. Gwiazda Pella to strategiczny punkt w konflikcie zbrojnym Kompanii Ziemi i międzygwiazdnych kolonii.	96.000	
* WŁADCY SAMOTNOŚCI – MARVIN KAYE, PARKE GODWIN Wyd. Alfa, Warszawa. Plemiona Lasu jednoczą się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa – dziesiątkuje je zaraza, a jedyny ratunek znajduje się w zamkniętym supermieście.	73.000	
* KING KONG BLUES – SAM LUNDWALL Wyd. Interart, Warszawa. Nowoczesne grobowce w wieżowcach, brak wody do picia, mafia i skomputeryzowana inwigilacja każdego mieszkańca to tło wydarzeń tej interesującej powieści SF.	43.000	
* NARODZINY STALOWEGO SZCZURA – HARRY HARRISON Wyd. Amber, Warszawa. Dwa pierwsze tomy cyklu przygód nieuchwytnego, kosmicznego geniusza zbrodni Jima DiGriza – Stalowego Szczura.	74.000 59.000	
* ŁZY SMOKA – DEAN R. KOONTZ Wyd. Amber, Warszawa. Po ogłoszeniu okrutnego wyroku cały świat otaczający bohaterów zmienia się i wszędzie czują niebezpieczeństwa.	100.000	
* WŁADCY PODZIEMI – BRIAN LUMLEY Wyd. Limbus, Bydgoszcz. Wprost z mrocznego i koszmarnego świata mitów z kręgu Wielkiego Cthulhu H. P. Lovecrafta pochodzi ta powieść o ostatecznej rozprawie między ludźmi a monstrami z piekła rodem.	49.000	
* JA, ROBOT – ISAAC ASIMOV Wyd. Limbus, Bydgoszcz. Jedną z najsłynniejszych książek w historii SF, fascynujący świat ludzi i robotów i specjalnych obowiązujących w nim praw.	49.000	